



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

NOTATKI Z PODRÓŻY

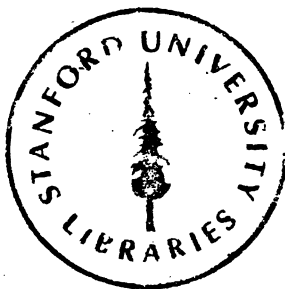
PO
AMERYCE
POŁNOCNEJ
S. NESTEROWICZA

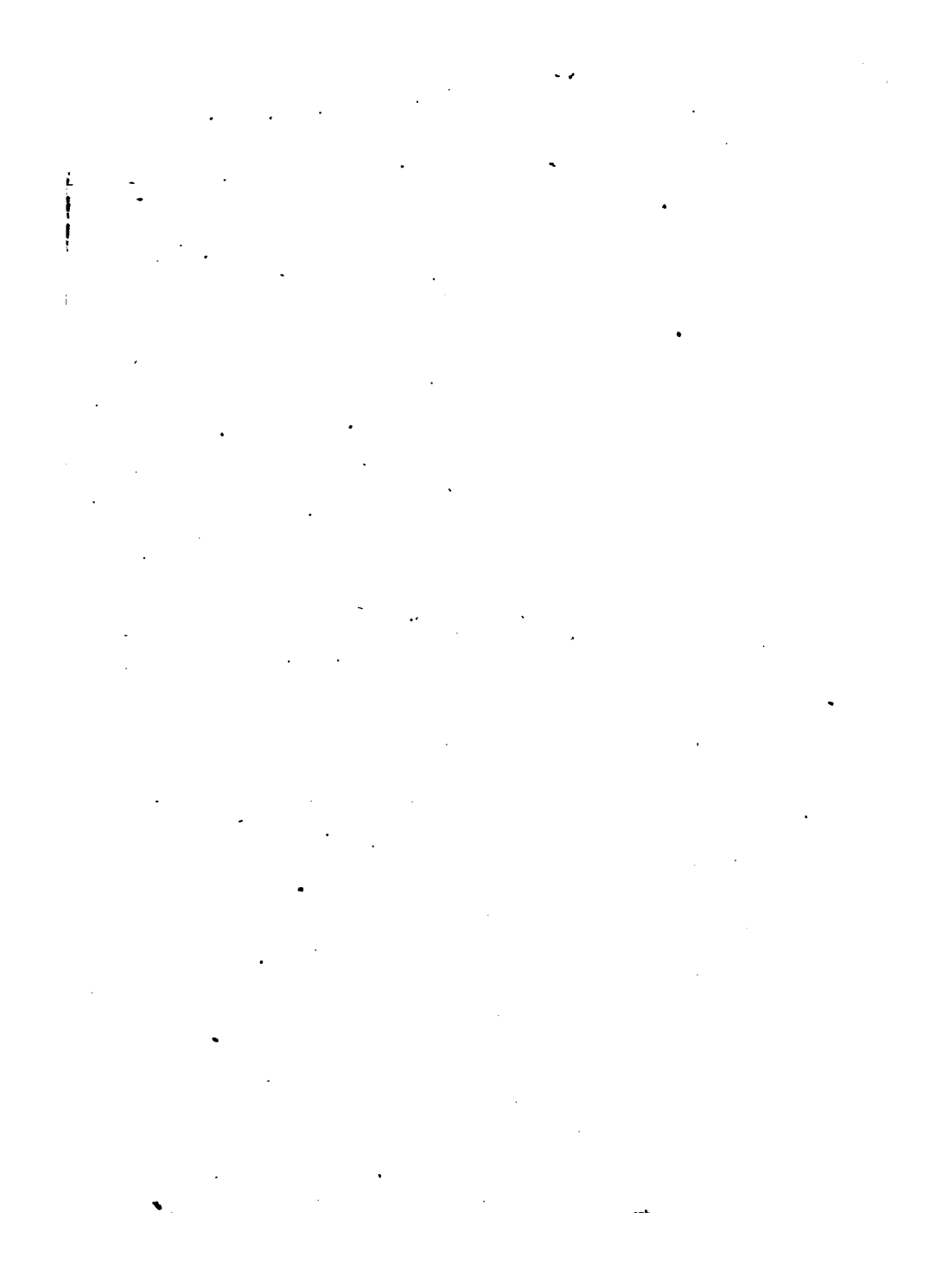


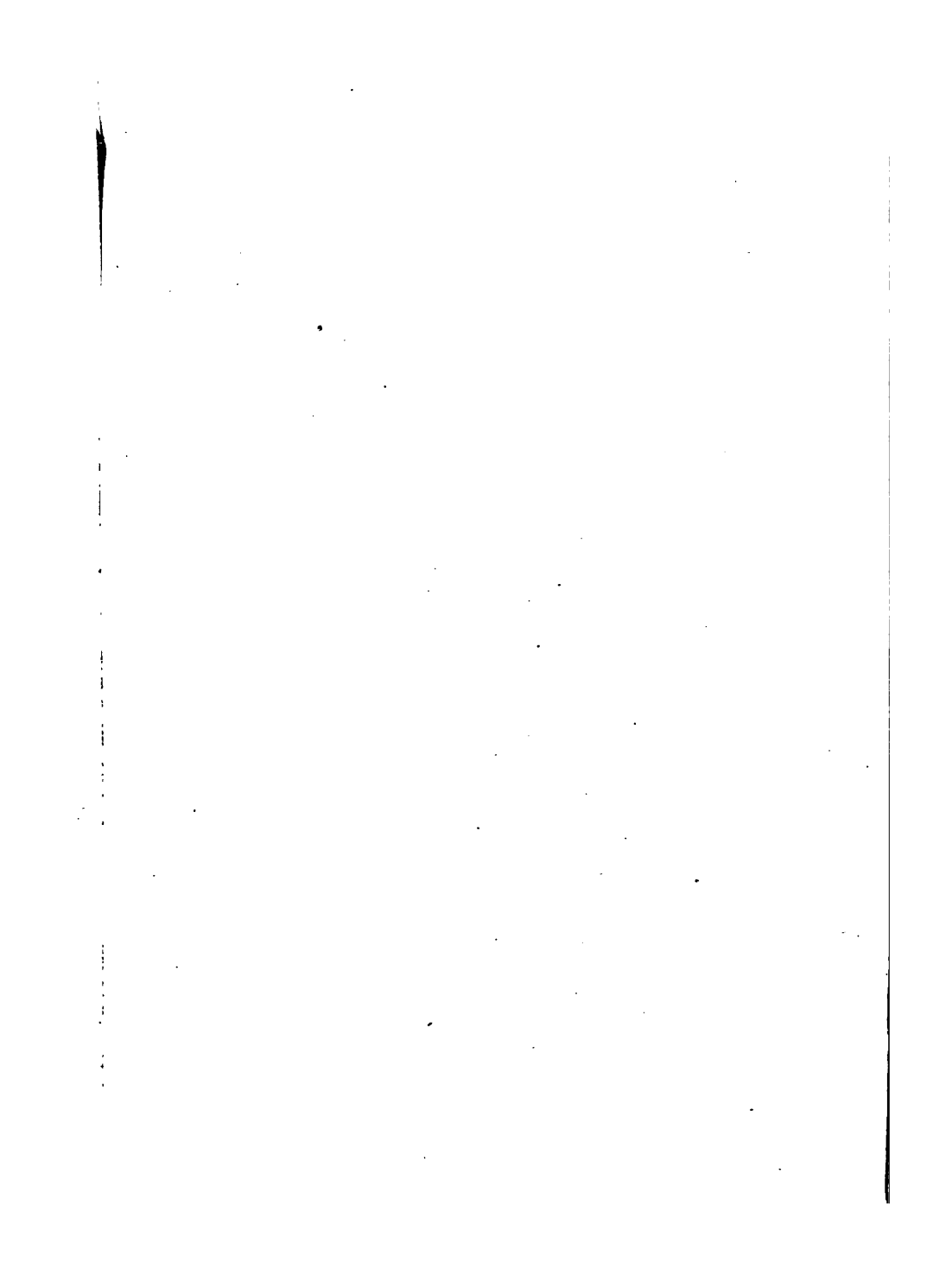
1910

SKŁAD GŁÓWNY
A. A. PARYSKI, TOLEDO, OHIO, U. S. A.

10571



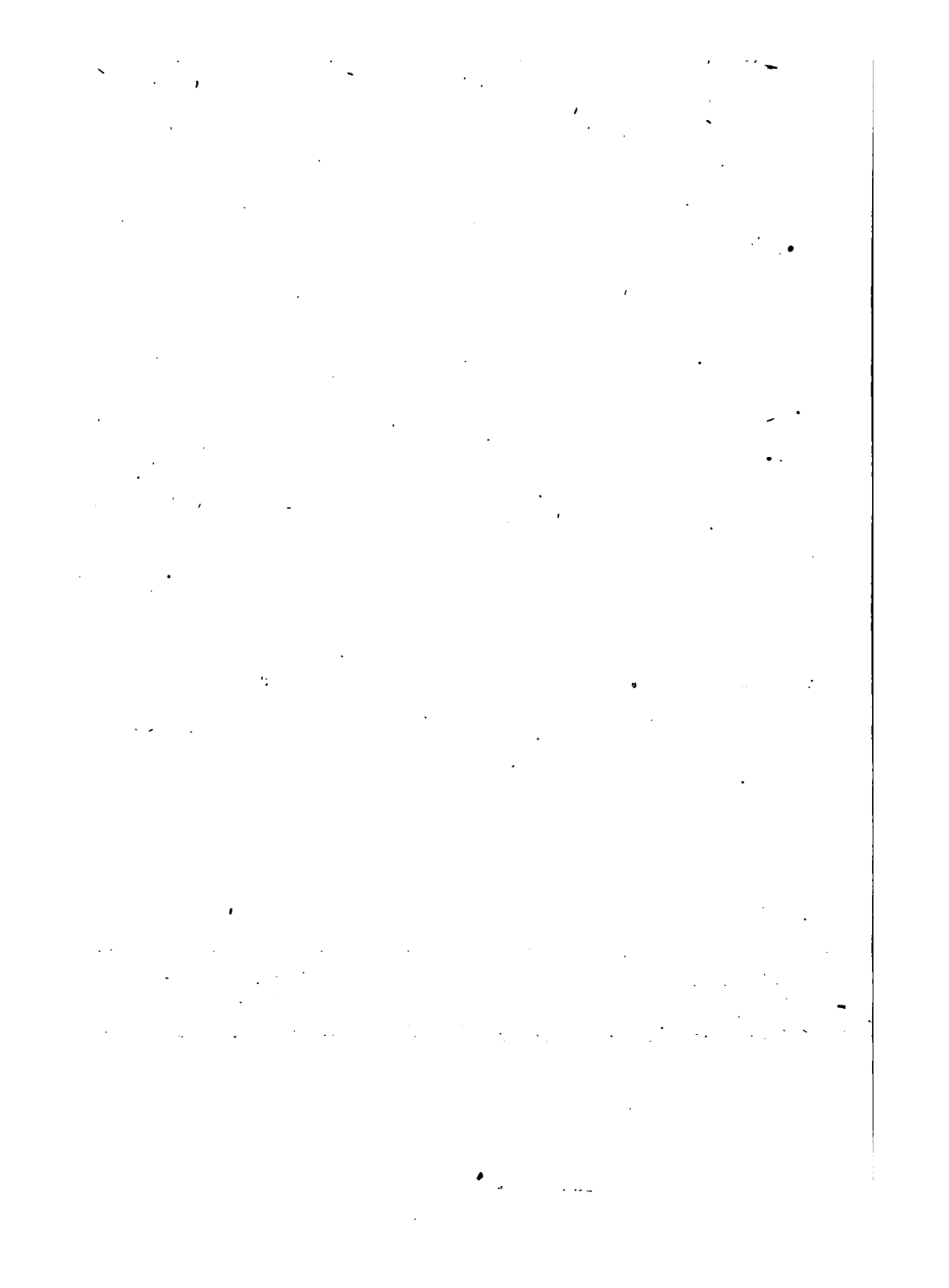






NOTATKI Z PODROŻY





NOTATKI Z PODROŻY

PO PÓLNOCNEJ I ŚRODKOWEJ
AMERYCE.

PRZEZ

S. NESTEROWICZA.

//



1909

PEOPLES BOOK STORE
KSIEGARNIA LUDOWA
5223 CHENE ST. DETROIT, MICH.

E169
N48

Jadąc od St. Louis ku południowi czarni mają już swe oddzielne przedziały w wagonach kolejowych.

A jednak o ile zachowanie się tych wydziedziczonych sympatyczniejszym jest aniżeli rasy uprzywilejowanej.

Kiedy w murzyńskim oddziale panował spokój, przerywany od czasu do czasu cichym smętnym śpiewem, to równocześnie biali pasażerowie robili wrażenie dzikusów, jak gdyby krzykiem i wyciem chcieli zamarnifistować swą wyższość.

Mimo widocznych napisów, naznaczających za płucie \$5.00 grzywny, cała podłoga wagonu, była pełna plwocin, a gdy konduktor zwrócił na to uwagę pasażerów w sposób bardzo grzeczny i wskazał odnośny napis, jakby na komendę splunęli wszyscy razem.

Pociągi tutejsze nie są zbyt pośpieszne, na przebycie 378 mil potrzebowaliśmy 11 godzin czasu.

Miasto **Little Rock, Ark.**, założone na południowej stronie rzeki Little Moer nie różni się niczem od zwykłych miast amerykańskich.

Czarni stanowią tu trzecią część ogólnej ludności wynoszącej około 45,000.

Polaków mieszka w Little Rock zaledwie dziesięć rodzin, a z tych połowa posiada własne przedsiębiorstwa, a mianowicie: J. Bujarski sklep spożywczy, A. Rogowski zakład plomberski, V. Rogowski, sklep spo-

żywecy, Bracia Lewandowscy, zakład piomberski, P. Michniewicz (Litwin) zakład krawiecki.

Zydowska kolonia tutejsza liczy paręset rodzin, które trzymając w swych rękach większą część handlu, dorobiły się fortun i znaczenia. Są między nimi milionerzy.

Przed paru laty zmarł Salomon Lasker, którego sukcesorowie po dziś dzień prowadzą dom handlowy pod firmą Henry Lasker & Co., przybył w te strony jeszcze przed wojną domową, a w życiu tutejszej Polonii dość ważną odegrał rolę.

ARGENTA, ARK.

Na północnej stronie rzeki Little River, która mimo swej skromnej nazwy jest spławna, a łozysko jej mierzy $\frac{1}{3}$ mili szerokości, leży miasto Argenta, liczące 12,000 ludności.

Little Rock i Argenta połączone są czterema mostami, z których przeznaczony dla pieszych i wozów ma długości 1,500 stóp.

W Argenta mieszka około 70 polskich rodzin. Są to przeważnie dzieci farmerów z Marche, które przelożyły pracę w fabrykach po nad wiejskie trudy.

Większa część tutejszych Polaków zajęta jest od sztuki, zarabiają \$2 — 3 dziennie.

Obecnie bezrobotnych jest mało, świeży jednak przy-

bysz nie znalazł by tu zajęcia, zwłaszcza nie umiejący mówić i pisać po angielsku.

Przedsiębiorstw polskich w Argenta jest trzy: sklep rzeźniczy pod firmą Linda & Co., zakład szewski A. Madaja i hotel "Pulaski" z restauracją utrzymywany przez R. Wojtkiewicza. Wszystkie te interesa mieszczą się przy Main st., najgłówniejszej tu ulicy.

Polacy tutejsi uczęszczają do irlandzkiego kościoła Sw. Patryka, do którego raz na miesiąc dojeżdża ks. Hartel, proboszcz polski z Marche.

Towarzystw polskich w Argenta jest dwa. Grupa 178 Zw. N. P. Pulaskiego liczy 80 członków mężczyzn i kobiet. Na rok bieżący grupa wybrała następujący zarząd: Prezes A. Madoy, wice Pr. A. Kołodziejski, Sek. fin. S. Kaczka, Sekr. prot. M. A. Łukaszewicz, Kasyer J. J. Lijewski.

Grupa 273 Zjed. Katolickiego liczy 36 uczestników. Do zarządu wybrani zostali prezes S. Garstka, sekr. fin. M. P. Wilkiewicz, sek. pr. J. Kościelny.

Oprócz powyższych towarzystw zawiązał się tu klub T. Kościuszki, który ma na celu zebranie funduszu na budowę domu polskiego.

W Little Rock i Argenta artykuły spożywcze zwłaszcza mięso i jarzyny droższe są aniżeli na północny i toż samo odnosi się do obuwia i odzienia.

Jak ciężkie były początki osadnictwa polskiego w tych stronach i jak często padali oni ofiarą wyzysku łapichłopów, rekrutujących się niestety z własnych braci, świadczy opowieść Michała Czajkowskiego, którą przytaczam dosłownie:

"W. F. Werner nasz ziomek z pod Pleszewa (Ks. Poz.), który dawniej wyemigrował do Ameryki, pisywał

do nas listy donoszące cuda o tutejszym kraju i dobrobycie robotnika. Kiedy wielu nas oświadczyło się za emigracją, namówił byśmy przyjechali do niego.

Jechało nas 48 rodzin, a po długiej i uciążliwej podróży dostaliśmy się na koniec do Cretenton Co. Ark. na wiosnę 1874 roku.

Tu Werner miał do spółki z Dr. Watkins 1,600 akców ziemi obsianych bawełną.

Gdy stanęliśmy przed obliczem rodaka, oświadczył on nam, że jesteśmy jego niewolnikami i że pod karą śmierci opuścić nam tego miejsca nie wolno. Dostawszy na mieszkanie nędzne budy, wydano nam na każdą rodzinę: 4 fun. mąki pszennej, tyleż kukurydzanej i 4 funty mięsa. Ta skromna porcja, bez żadnych innych dodatków starczyć miała familii na cały tydzień. Oprócz nas mężczyźni pracować musiały nasze żony i nasze dzieci, poczynając od 5-cio letnich. Za pracę rodziny obiecywał Werner płacić \$8.00 miesięcznie, które jednak można było wybrać tylko towarem.

Kto wie czy nie wymarlibyśmy tam byli, pracując ciężko przy niewystarczającym pożywieniu, gdyby nie zjawił się w te strony Żyd pedlarz, który nam wytłumaczył, iż niewolnictwa tu niema.

Udając, że godzimy się z naszym losem, uśpiliśmy tym sposobem czujność Wenera i uciekli, pozostawiając mu większą część naszych rzeczy.

W Memphis, dokąd dotarliśmy dogonił nas Werner, ale tu polscy Żydzi wzięli nas w opiekę, żywili przez tydzień, a następnie wyszukali pracę. Rodzinami naszymi zaopiekowali się Niemcy O. O. Franciszkanie.

W ciągu kilku lat częściowo opuściliśmy Memphis.

Ja mieszkałem czas jakiś na kolonii Marche, a następnie przenieśliem się do Argenta, gdzie pracuję w "Car Shop."

MARCHE, ARK.

O 10 mil od Argente ku północy leży kolonia Marche, rozrzucona na przestrzeni 50 mil kwadratowych.

Większa część tego obszaru znajduje się w rękach Polaków, którzy mieszkają na wschodniej stronie w liczbie 55 rodzin.

Amerykańskich farmerów jest tu zaledwie kilku. Czarni, liczebnie dorównywający polskiej ludności Marche, mieszkają na zachodniej stronie kolonii, oprócz kilku rodzin, mających swe farmy między Polakami.

Założycielami polskiej kolonii w Marche byli: W. Dyniewicz i P. Choiński, którzy może bez zupełnej świadomości, w każdym razie dla zysku, odegrali tu rolę łapichłopów.

Na skutek wielce obiecujących reklam "Gazety Polskiej" (Dyniewiczówki) na jesieni 1875 roku przybyła z różnych stanów do rzekomej ziemi obiecanej gromada polskich osiedleńców, licząca około 80 rodzin, której przewodniczył W. Dyniewicz we własnej osobie. P. Choiński oczekiwał na przybycie i ulokował ich w ciasnej szopie, gdzie nie było nawet tyle miejsca, by pokotem ledz można.

Gdy przybyli obejrzeni przeznaczone im grunta, zobaczyli mało urodzajne niziny i kamieniste, nie nadające się do uprawy wzgórza, a wszystko to pokryte lasem, z którego jednak kolej zabrała starodrzew na podkłady i opał; popadli oni w rozpacz.

Postanowiono wracać, skąd kto przybył, nie wszyscy jednak posiadali po temu środki materialne.

Pierwszy, ratując swą skórę, zemknął Dyniewicz. Jego wspólnik Choiński ukrył się na czas pewien starannie, unikając tym sposobem doraźnej zemsty zrozpaczonego ludu.

Z całej gromady przybyłych wraz z Dyniewiczem i przybywających nieco później pozostali i mieszkają po dziś dzień następujący: J. Nojman, Ig. Szymański, Wik. Gubański, Mar. Hamernik, Mar. Chwaliński, Barb. Raczkowska, bracia Koscielni i M. Makowski.

Przyjęli oni, bo przyjąć musieli na podyktowanych im warunkach wydzielone grunta, a że z kompanią porozumieć się nie mogli, przebaczone przeto Choińskiemu i używano go dłuższy czas jako pośrednika.

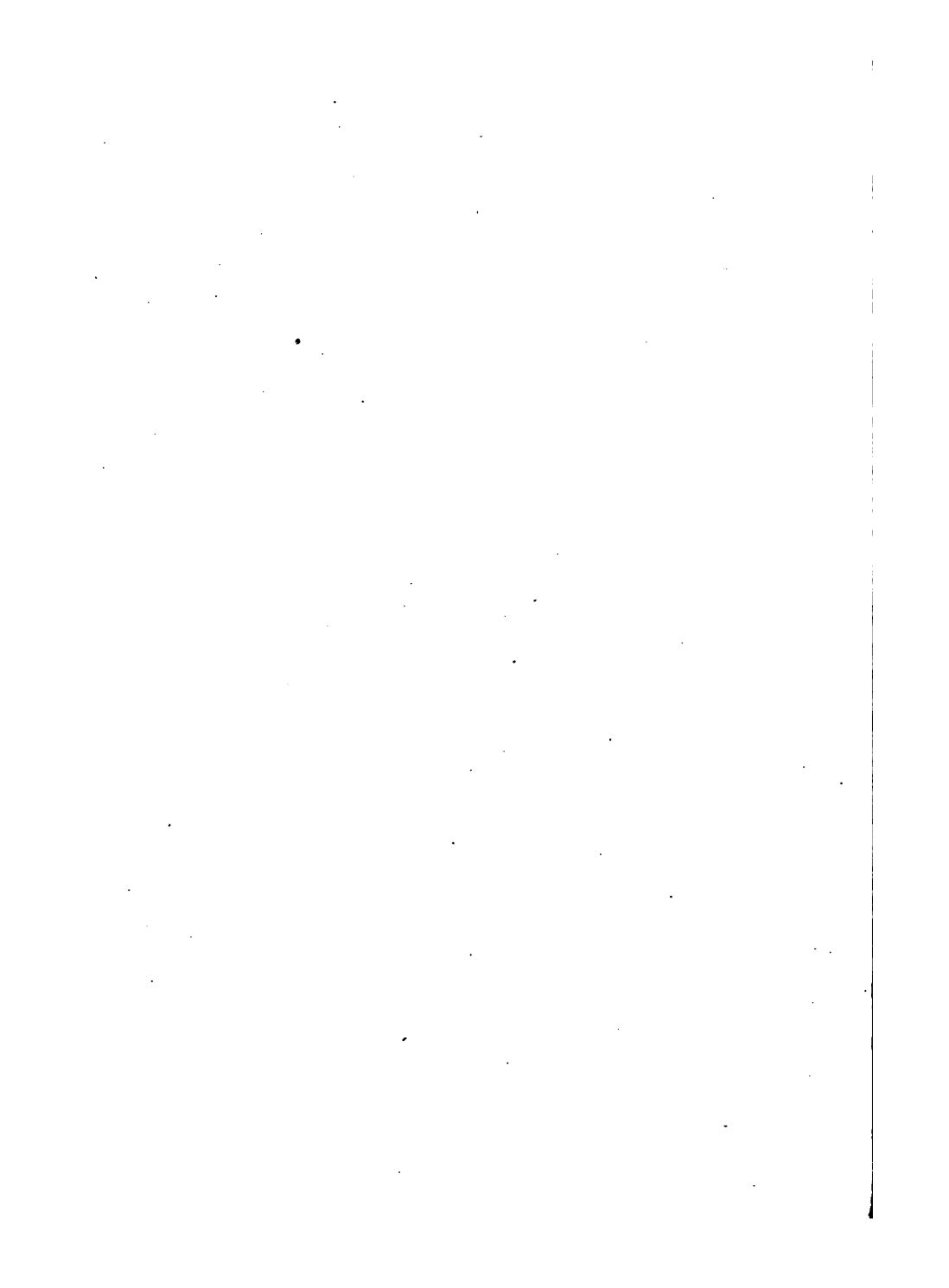
Kto wie jak ciężkimi były by pierwsze kroki polskich osiedleńców w Marche i czy wogóle doczekali się by oni byli pierwszych plonów swej pracy, gdyby nie doraźna pomoc ze strony Salomona Laskera, kupca z Little Rock.

Przypuszczalnie ten Izraelita nie miał na widoku celów filantropijnych, jak ci, którzy skierowali tutaj polską emigracyę, znając jednak pracowitość i uczciwość naszego ludu postanowił im pomódz i na tej pomocy zarobić.

Lasker każdemu polskiemu koloniście, udającemu się doń czy to po gotówkę, czy towar, kredytu nie od-



Kościół polski w Marche, Ark.





NOTATKI Z PODROŻY





- Szkoła Polska w Marche, Ark.



Dzieci szkolne w Marche, Ark.

Grubszej zwierzyny niema na polach i w lasach Marche, nie było jej już, gdy tu przybyli pierwsi polscy osadnicy. Sarna należy do rzadkości, zające tylko i dzikie kaczki są jeszcze. Kaczki wolno rok cały strzelać, ale tylko na własny użytek. Sprzedawanie ich, a nawet darowanie sąsiadowi pociąga za sobą grzywnę.

O 20 mil stąd na wschód i zachód spotkać można dzikie indyki, sarny, lwy, koty dzikie i pantery, zaś zapuszczając się dalej w lasy natknąć się łatwo na niedźwiedzia, a nawet jaguara.

Mimo ciężkich warunków rolnych większość Polaków w Marche doszła do dobrobytu. Posiadają oni domy wygodne, zabudowania, liczne inwentarze, niektórzy kilka setek odłożonych oszczędności, a inni, zwłaszcza Galicyanie wysyłają zbywający grosz do kraju.

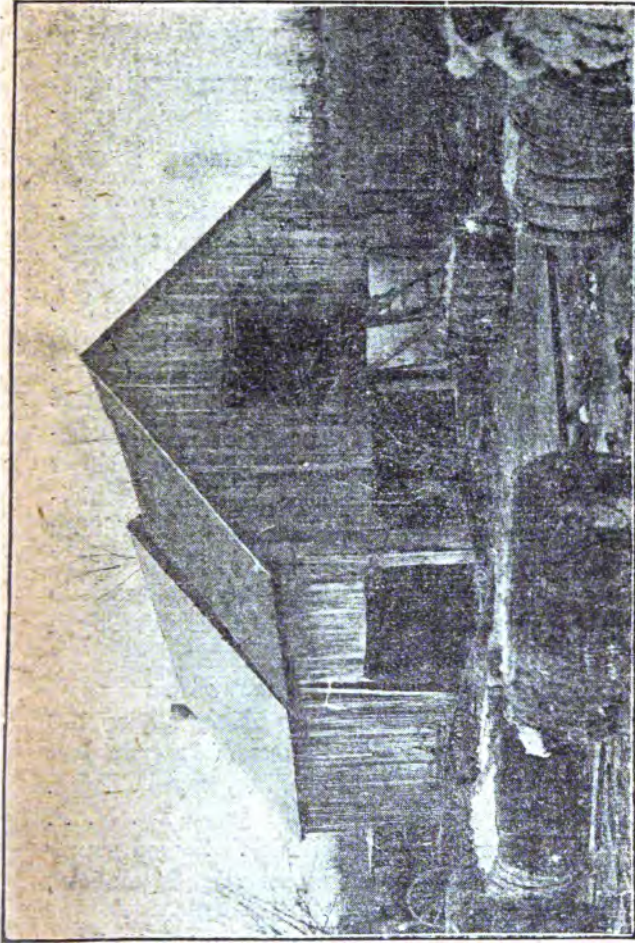
Ten względny dobrobyt zawdzięczać może tutejszy farmer wyłącznie swej ciężkiej wytrwałej pracy, swym małym wymaganiom, zapobiegliwości kobiety i pomocy dzieci.

Tyle wspólnych usiłowań, zwróconych w jednym kierunku, musi dać dobry rezultat.

W tych samych warunkach znajdujący się amerykańscy farmerzy, zmuszeni tu osiedlić się, przymierają z głodu.

Gdyby w czasie przybycia tu pierwszych polskich osadników znalazł się był człowiek, któremu by dobro ludu leżało na sercu i zamiast osiedlać ludzi na najgorszej w okolicy ziemi skierował ich w dolinę rzeki, to dzisiejsi farmerzy z Marche bez nadludzkich wysiłków byli by dzisiaj ludźmi bogatymi.

Były tu wolne przestrzenie na porzeczu, które po tej



.. . . . Fabryka (o czyszczenia surowej bawełny Barbary Raczkowskiej

samej cenie i na takich warunkach spłaty dostać było można.

A jakaż różnica w plonach!

Gdy w Marche z 3 akrów dobrze uprawionej ziemi otrzymuje farmer belę bawełny, to na nizinach przy identycznie tej samej pracy zbiera także belę z jednego akra.

Kiedy ziemia w Marche płacona przed 30-tu laty \$5 — 7 za akier, o tyle nie podniosła się nawet w cenie, ile warte są postawione na niej płoty i budynki, to na nizinach akier ziemi ongi tyle co tam płacony wart jest dzisiaj bez budynków \$20 — 30.

Farmer polski, pamiętający starokrajską pańszczyzną, nie ceni swej ciężkiej pracy, byle w zamian mieć upragnioną niezależność, ale dzieci jego gromadnie uciekają do miasta, gdzie dobrowolnie zaprzęgają się w jarzmo fabryczne, uważając je za lżejsze i korzystniejszy niż mało wdzięczna, a wymagająca dużo zachodu rola.

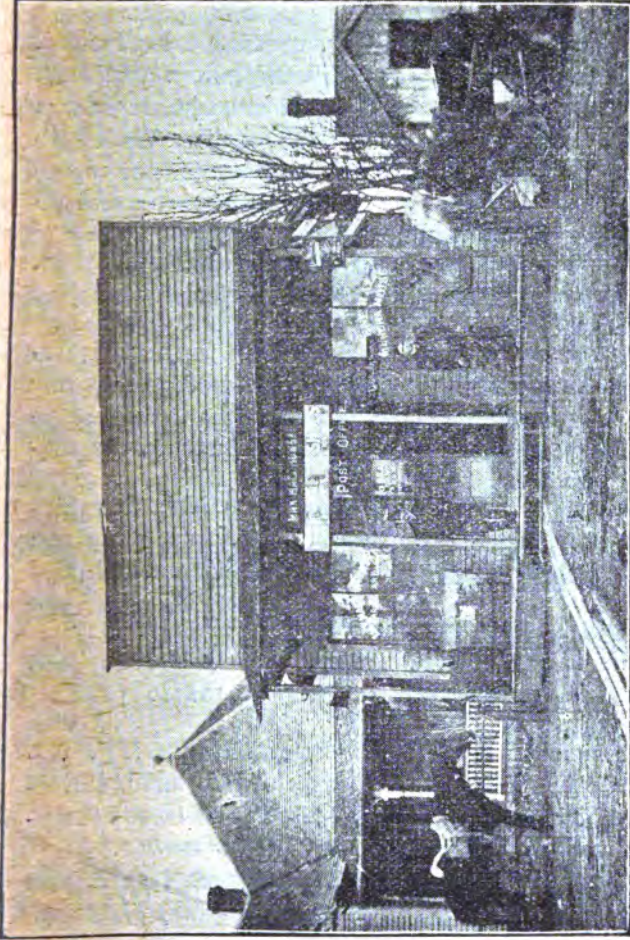
Zjawisko to nie miało by miejsca na łatwiejszej do uprawy ziemi, dającej możliwość dojścia do dobrobytu bez nadzwyczajnych wysiłków.

W Marche istnieją trzy polskie towarzystwa:

Bractwo Różańcowe, do którego należy z górą 100 uczestników i uczestniczek. Preszesem bractwa jest F. Gawlik, sekretarzem A. Pasierb, kasyerem F. Zając. Tow. Niepokal. pocz. N. M. P. 201 grupa Zw. N. P. liczy 34 członków męzkich i żeńskich. Zarząd grupy stanowią: Prezes T. Szczepaniak, sekr. Ig. Szymański, kas. W. Pubański.

Zjednoczenie Rzym. Kat. grupa 5 liczy 50 członków.

W maju roku zeszłego przeszedł przez Marche cyklon



Jedyny polski sztor p. M. Malachowskiego.

pasem na milę szerokim, siejąc straszne spustoszenia. W lesie na całej przestrzeni ogarniętej przez cyklon leżą pokotem olbrzymie dęby, wyrwane z korzeniami. Wiele budynków farmerskich ucierpiał, a dom Jana Łukaszewicza runął, grzebiąc pod gruzami gospodarza i jego kuzynkę Maryannę Szczepańską. Wydobyto oboje martwych. Bydło uciekło w popłochu w odległe okolice i gdy je już miano za stracone, powróciło co do sztuki po paru tygodniach.

Właścicielem jedyne go sztoru na kolonii Marche, znajdującego się naprzeciw przystanku kolejowego, jest M. Małachowski.

Zaczawszy interes z niewielkim funduszem doszedł on do posiadania dobrze zaopatrzonego w towar sklepu i pełnych magazynów, a wszystko to dzięki niezmordowanej pracy i zadowoleniu się małym, ale częstym zarobkiem.

Kupcy w Little Rock, zaczynając p. Małachowskiego uważać za groźnego dla się konkurenta, robią mu różne ponętne propozycje, byle go tylko z kolonii wydestać.

Sprzedaż trunków w Marche jest wzbronioną.

Jak to już powyżej zaznaczyłem w Marche ilość mieszkańców czarnych dorównywa prawie polskiej ludności.

Pomiędzy nimi farmerów samodzielnych t. j. posiadających własne grunta jest zaledwie kilku, kilkunastu wzięło ziemię na spłatę lub w dzierżawę, reszta żyje z zarobku bądź u farmerów, bądź w mieście.

Polacy chwalą czarnych jako dobrych i zgodnych sąsiadów.

Ogólnie biorąc wśród czarnych panuje bieda, mimo małych ich wymagań.

Przyczyną ich biedy jest z jednej strony wyzysk, z drugiej brak poczucia obowiązku i nieopatrność.

Są to następstwa długoletniej niewoli i dzisiejszej tego plemienia poniewierki.

Pola ich są nędznie obrobione, inwentarze źle utrzymane, produktami rolnymi pokrywać muszą zaległe procenta i długi, a kupując następnie wszystko na kredyt płacą ceny wygórowane.

Kupcy twierdzą, że najlepszymi ich klientami są czarni, najłatwiej od nich dług wydostać, to też kredytują im chętnie, jaki z nich jednak za tę chwilową dogodność ściągają haracz do tego nie radzi by się zapewne przyznać.

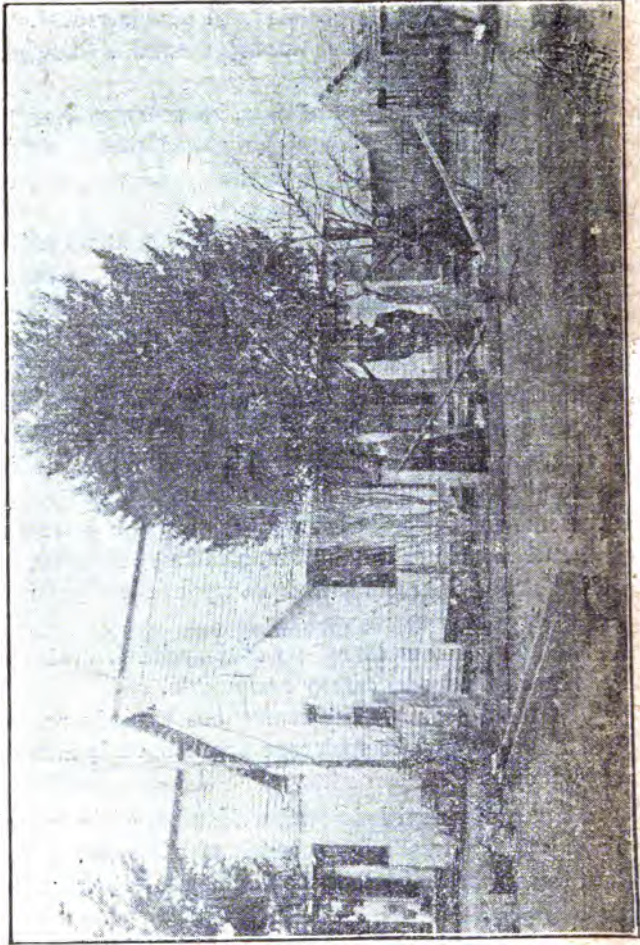
Najcieższą jest bodaj dola czarnego, który szukając niezależnego bytu, kupił na wypłatę lub wydzierżawił farmę. W pierwszym wypadku kredytor zastrzega sobie pierwszeństwo do zbiorów zboża, jako zabezpieczenie rat i procentów, w drugim, dając ziarno na zasiew i inwentarz do obróbki, zabiera $\frac{2}{3}$ zbiorów, zaś pozostałą $\frac{1}{3}$ bierze również za wydane w ciągu roku dzierżawcy artykuły żywności.

Z obu tych kombinacyj po dłuższych lub krótszych wysiłkach wychodzi czarny nędzarzem.

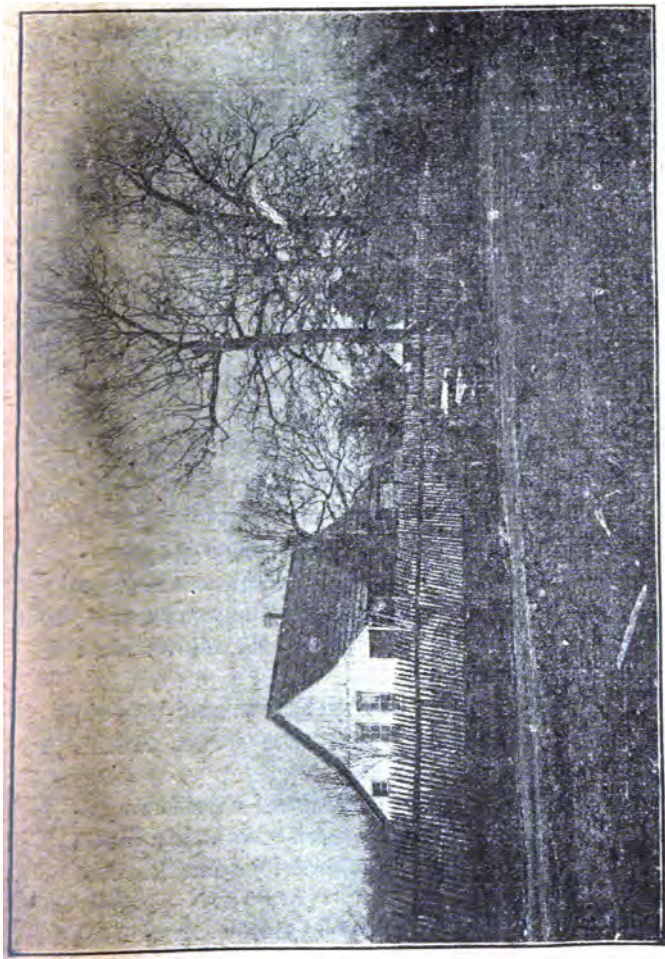
Jak mało ceniony jest czarny bez względu na swą wartość i stanowisko społeczne przekonał mię fakt następujący:

Na pustej stacyi kolejowej w Marche, gdzie na spóźniony pociąg trzeba było oczekiwać kilka godzin, miałem towarzysza niedoli w osobie miejscowego czarnego nauczyciela.

Ma to być człowiek bardzo zacny i inteligentny, nade wszystko zaś wprost pociąga ku sobie rzadko u czar-



Zagrođa Stefana p. Prusa.



Zagroda p. Szczepaniska.

nych spotykana nad wyraz miłą powierzchownością.

Następnego dnia tegoż czarnego profesora spotkałem w publicznym miejscu w Little Rock, a gdy mię z daleka pozdrowił podszedłem doń i podałem mu rękę, którą on z nieśmiałością uściśnił serdecznie.

Fakt ten na otaczających zrobił bardzo złe wrażenie. Pokazywano mię sobie palcami, obrzucano szyderczym spojrzeniem, cò miało miejsce zawsze, ilekroć tam pokazywałem się.

Kiedy o czarnych, ich biedzie i lekkomyślności rozmawiałem z polskimi farmerami, odpowiedzieli mi:

“Toć nasi ojcowie za pańszczyznianych czasów lepszymi pewno nie byli. Po co dbać o jutro, gdy ono niczem nie nęci.”

Ileż jest prawdy i tolerancyi w tych prostych słowach! Kto zaznał niedoli, ten wyrozumiałym być potrafi.

Nicco może za obszernie rozgadałem się o gospodarstwie tutejszem i jego warunkach. Spostrzeżenia moje jednak może w Marche będę mógł porównywać z tem, co w dalszej zobaczę podróży, powoływać się na nie i dopełnić w miarę potrzeby.

O 45 mil od Little Rock, ku zachodowi znajdują się licznie przez Amerykanów nawiedzane gorące źródła lecznicze.

Wartość ich przy leczeniu skrofulów i chorób wencrycznych jest pierwszorzędna, niestety nie każdy może sobie pozwolić na kosztowną podróż i jeszcze kosztowniejszy pobyt.

Dzięki tym źródłom powstało ładne miasto Hot Spring, pełne wygodnych wili, które wzrasta szybko z każdym rokiem.

W obecnej porze nie pociągającej kuracjuszków ruchu mały.

Pragnąc zobaczyć przynajmniej tyle, ile z okna wagonu kolejowego widzieć można w drodze z Little Rock, Ark. do New Orleans, La. postanowiłem przerywać tam podróż, gdzie mię noc zastanie.

Czasu na obserwacje nie brak, gdyż pociąg kolei St. Louis Iron Mountain, którym jadę, niczem "Bombel" starokrajski robi w pełnym biegu zaledwie 18 mil na godzinę, a obserwując wszystkie stacje i przystanki na niektórych zatrzymuje się po kwadransie i dłużej.

Posuwając się ku południowi, na przestrzeni pierwszych 60 mil farm mało, położenie niskie, naokół lasy w obecnej porze w całości lub częściowo zalane wodą.

Pnie drzew, u obsady nadmiernie grube na wysokości dwóch stóp po nad powierzchnią ziemi zwężają się raptownie i rosną już dalej proporcjonalnie.

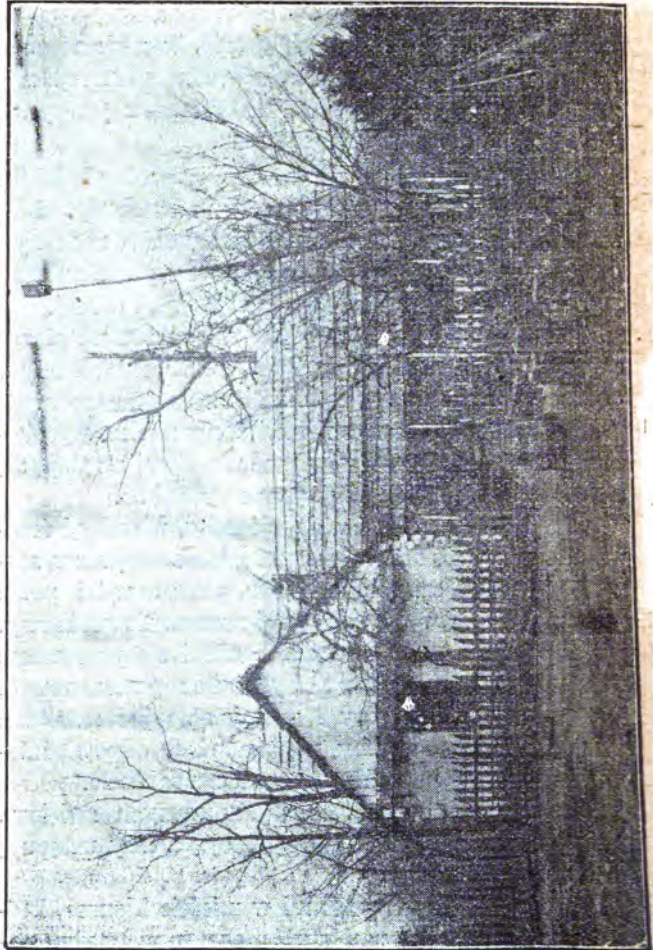
Na miejscach niskich widzi się dęby, wierzby i drzewa gumowe (nie dające gumy) i gdzie suszej rosną sosny i cyprysy, a czasami magnolie, pokryte w tej porze gęstym i lśniącym liściem żywej szmaragdowej barwy.

Na polach i w miasteczkach widzi się przeważnie czarnych, biała rasa musi tu być słabo reprezentowaną.

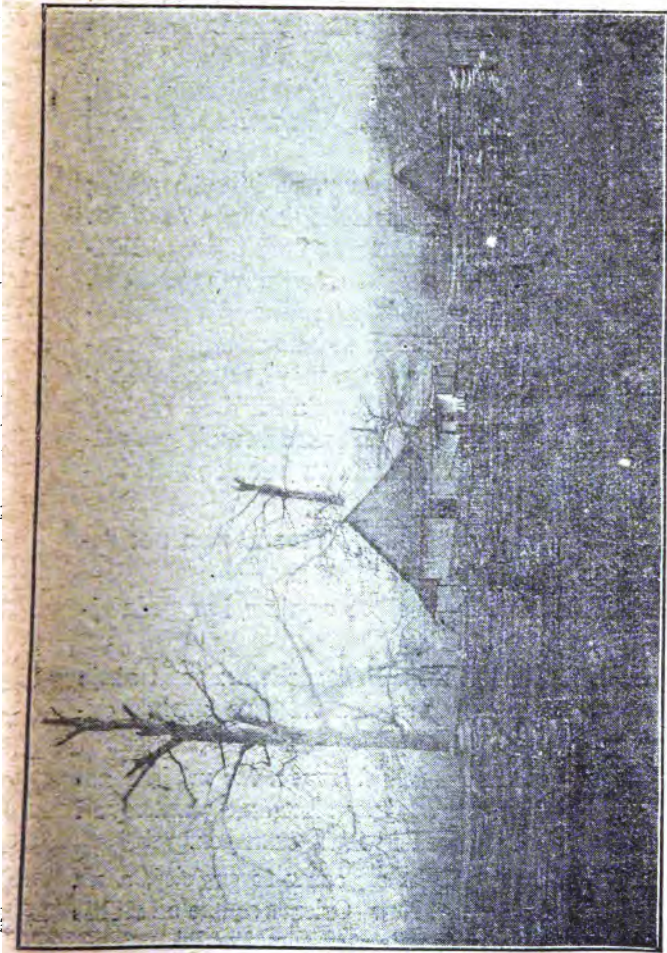
Wszystkie magazyny i rampy stacyjne zawałone bawełną. Dużo bawełny, nie znalazłszy odpowiedniego miejsca, leży pod odkrytym niebem w błocie.

Po za stacją Bonita ilość pól uprawnych zwiększa się stopniowo, zaludnienie gęstnieje, a lasy ustępują na dalszy widnokrąg.

Pierwszy nocleg wypadł mi w mieście Monroe, które tylko chyba tem upamiętnić mogę, że za brudny pokój i marne jedzenie drogo kazano sobie zapłacić.



Zagroja p. A. Kaplana.



Zagrodá p. Jana Kaplána.

Służba pociagowa pojechała dalej aż do Alexandria, czyli że czuwać ona musi 17 godzin bez przerwy. Co na to powiedzą uniści.

Następnego dnia ujechałem zaledwie kilkanaście mil, gdy pociąg nagle wstrzymano. Okazało się, iż część plantu podmyła nocna ulewa.

Zanim podstemplowano szyny, po których pociąg przesunął się z wielką ostrożnością, upłynęło 7 godzin.

Jakiś sprytny Włoch dostarczył zgłodniałym podróżnym kosz "sandwiches" z szynką, każąc sobie płacić za sztukę 25c. To zdzierstwo było równocześnie dobrodziejstwem, gdyż nuda i brak świadomości, kiedy ruszymy wdalszą drogę potęgowały apetyt, to też butersznity zostały momentalnie rozchwywane.

Dystans pomiędzy Monroe i Alexandria nudzi podróżnego swą jednostojnością, grunta tu jednak o wiele lepsze, a lasów widać mało.

Z powodu przerwy w podróży na następną noc zatrzymałem się w Alexandria.

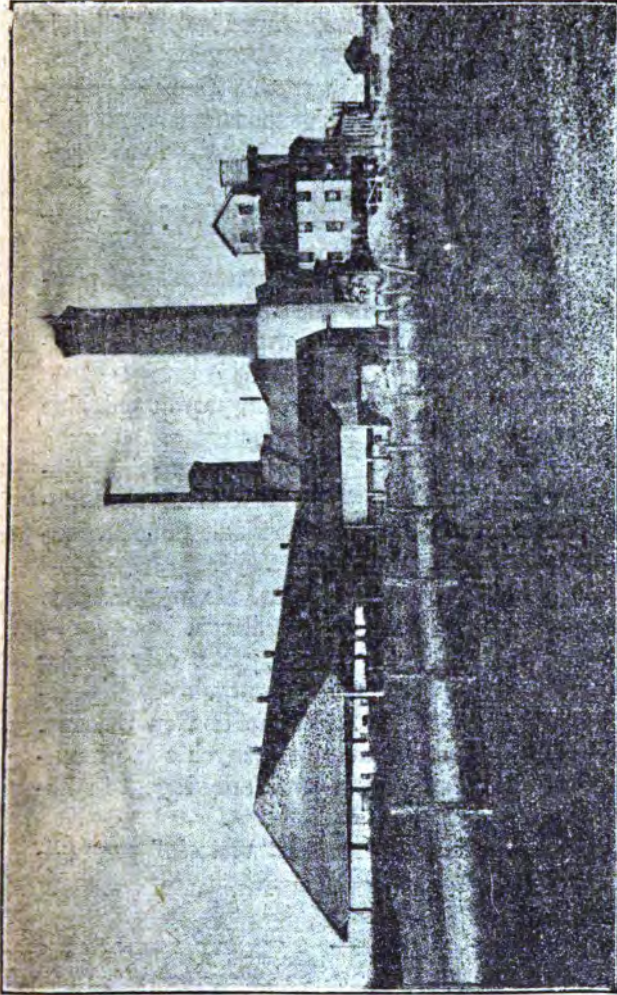
Dalszą drogę odbywam nieco czystsza i wygodniejszą koleją Texas Pacific.

W miarę oddalania się od Alexandria ziemia staje się coraz to bogatsza, a bawełna ustępuje trzcinie cukrowej.

Nieco dalej nikną pomału farmy, a ich miejsce zastępują obszarnicy, posiadający olbrzymie plantacje i setki pracujących wyłącznie prawie czarnych.

Fabryki cukru napotyka się coraz to częściej, a na kilka godzin drogi przed New Orleans są one od siebie oddalone zaledwie o dwie mile, a czasem i mniej.

Mało już jest cukrowni dawnego typu, prymityw-



Cukrownia starego systemu w pobliżu New Orleans, La.

nych zastąpiono je nowemi, stanowiącemi ostatnie słowo techniki.

Nie opodal fabryk widać wygodne domy obszarników, nieco dalej zabudowania gospodarskie, a na uboczu długie rzędy barakowych domków dla licznej rzeszy czarnych pracowników.

Pola pocięte są głębokimi rowami, w których większą część roku stoi woda.

Praca tu już wre około przygotowania pól pod plantacje trziny. Robotników widzi się tylko czarnych, uwijających się pod kontrolą równie czarnych dozorców.

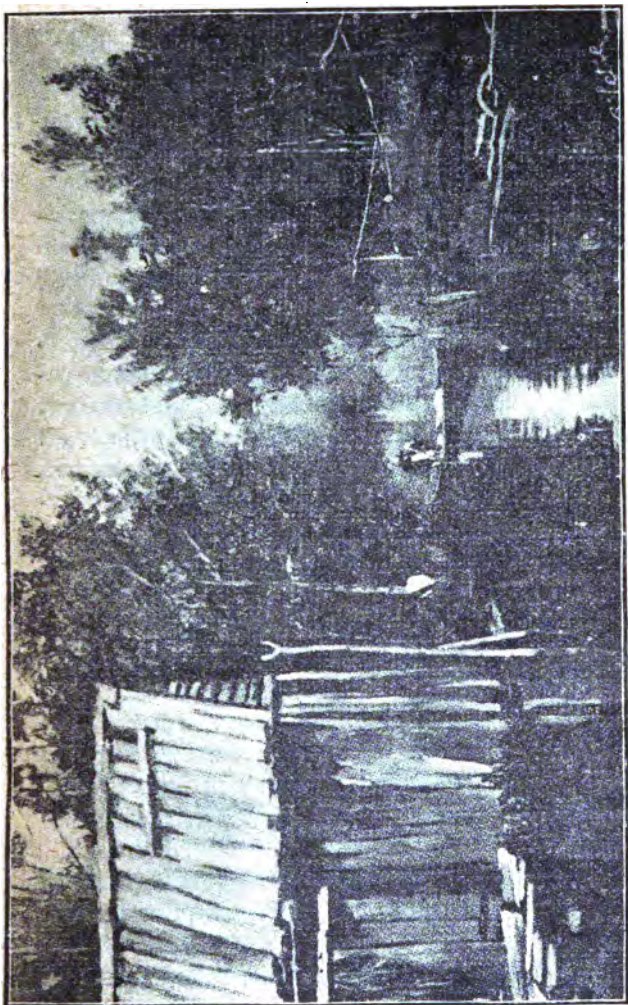
Białego bardzo rzadko się spotyka, prawdopodobnie to sam "boss."

Na 20 mil przed New Orleans coraz to częściej pojawiają się bagna pokryte karłowatym lasem, lub olbrzymiej wysokości trawą, lub wreszcie niskie silnie nawodnione przestrzenie przeznaczone na ryż.

Miejscami stoi mętna, cuchnąca, nie wysychająca nigdy woda, w której gnieździ się malarya.

Wieczorem stanąłem w Algiers, gdzie cały pociąg wprowadzono na olbrzymi prom parowy, który go przewiózł przez szerokość rzeki Mississippi do New Orleans. Po wyjściu z wagonów opada podróżnych cała gromada oczekujących na zarobek doróżkarzy i agentów hotelowych, zachwalających swe interesa.

Stanąłem w francuzkim Hotelu "Victoria" przy ulicy St. Charles.



Bayou, Baratavia, La.

BOWIE, LA.

Dzięki uprzejmości p. E. Dufrin zwiedziłem jego posiadłość, położoną o 40 mil od New Orleans ku zachodowi, o 2 mile odległą od stacji Bowie.

Pan Dufrin, osiadły tu od lat 20 Francuz jest posiadaczem 1,000 akrów przestrzeni, na której plantuje trzcinę cukrową, ryż i nieco kukurydzy na potrzeby swego inwentarza.

Ziemia wspaniała i akier wart \$150—180. Cukrowni własnej p. Dufrin nie posiada jeszcze, trzcinę sprzedaje na kontrakt, któremukolwiek ze swych sąsiadów.

Żałowałem bardzo, iż nie mogłem widzieć pól na plantacjach, które mają wprowadzać w zdumienie swą bujnością i bogactwem zbioru. W obecnej porze przygotowuje się ziemia pod zasiew.

Trzcina dochodzi tu do 10 stóp wysokości, kukurydza nie wiele jest niższą.

Na ziemi przygotowanej pod trzcinę cukrową zakopuje się na zagonie zeszłoroczną łodygę, z każdego kolanka której wyrastają nowe latorośle. Wtedy trzeba je obradzić, a następnie okopywać motyką, aż dopóki nie wezną one góry nad chwastami i nie zagłuszą je. Tworzy się wtedy las trzcinowy, nie przepuszczający promieni słonecznych, w który zagłębiwszy się zbłądzić można.

Tak zaprowadzona plantacja trzciny rodzi trzy lata z rzędu, dając w drugim roku plon lepszy, a w trzecim najobfitszy.

Trzcinę przeznaczoną na sadzenie, zakopuje się na czas zimowych miesięcy:

Przemarznięta trzcina daje największy procent cukru, ale musi przed nadejściem odwilży dostać się pod walce cukrowniane, w przeciwnym razie traci dużo na swej wartości.

Pola ryżowe pocięte dość głębokimi bruzdami znajdują się w pobliżu kanału, z którego ciągnie się parowemi pompami woda, by roślina przez cały czas swego wzrostu, aż dopóki ziarno nie dojrzeje, otoczona była wodą.

Na plantacjach p. Dufrin pracują przeważnie czarni, czasami i Włosi.

Miewał on i polskich pracowników, których pracę chwalił bardzo, rzadko jednak dłużej jak parę miesięcy utrzymać się mogli,—wyganiała ich z tych stron malarya.

Robotnik, korzystający z życia plantatora, zarabia \$15 miesięcznie, będący na swoim wikcie 75—85c. dziennie.

Wieczorem po ukończeniu robót w polu zaszliśmy do baraków zajmowanych przez czarnych pracowników, którzy u p. Dufrin są stosunkowo dobrze traktowani.

Wewnątrz dość wygodnych domków mało znać było dbałości ze strony ich mieszkańców o czystość i ład, za to bawią się oni znakomicie. Tańczą, śpiewają, a w tej zabawie biorą udział wszyscy bez wyjątku.

Stary czarnuch, ledwie mogący się na nogach utrzymać, zziębnięty, spocony, wyężdżając ostatnie siły deptał zawzięcie, a obok niego podżyła wiekiem otyła matrona płasała jak podłotek. Młodzież w czasie tańca wpada w kompletny szal.

Śpiewy ich jakby zadając kłam rozpromienionym

śmiejącym się twarzom, są smętne i tchną jakąś powagą.

Po śpiewach znów tańce i tak kolejno bez przerwy, aż dopóki zmęczenie nie weźmie góry i nie legną pokotem na spoczynek.

Jeżeli tak jest wszędzie, to te stare czarne dzięciuchy, czują się na swój sposób szczęśliwemi.

Wieczór spędziłem bardzo przyjemnie w gościnnym domu pp. Dufrin, gawędząc to o Europie, to znów opowiadając o mych podróżach po świecie.

Wracając do New Orleans ostatnim pociągiem już po północy, obiecałem żegnającym mię serdecznie gospodarzom, że ich odwiedzę jeszcze przed wyjazdem, niestety tej przyjemności odmówić sobie musiałem.

NEW ORLEANS, LA.

W roku 1699 do wioski indyjskiej Hozma przybyła ekspedycja francuzka, a zatrzymawszy się tu, założyła swą kolonię. Na cześć ówczesnego regenta Francyi, księcia d'Orlean nazwano ją New Orleans.

W roku 1726 New Orleans został stolicą francuskiej prowincyi Louisiana, która w r. 1804 przeszła w ręce Hiszpanów.

W ośm lat później Louisiana przyłączyła się do Unii, pozostawiając New Orleans swą stolicą.

Pod względem zajmowanego obszaru (około 30,000

akrów) New Orleans większym jest pono aniżeli New York, mimo że liczy zaledwie 325,000 ludności. Miasto ostatnimi czasy wskutek wzrostu portu Galveston i kierowania tam ładunków bawełny stosunkowo mało bardzo powiększa się.

Od zachodu do wschodu, poczynając od rzeki Mississippi, ciągnie się najpryncypalniejsza i jedna z największych ulic miasta Canal. Szerokość jej pozwala na to, że środkiem biegnie pięć par szyn tramwajowych, a po obu ich stronach jest jeszcze dosyć miejsca dla ruchu wozowego.

Na Canal około poczty przechodzą nieomal wszystkie tramwaje, które idąc następnie ku wschodowi rozchodzą się na wszystkie strony miasta, by następnie wrócić w toż same miejsce.

Sama ulica Canal, kilka jej równoległych na północ, a zwłaszcza południe, oraz przecznice na tej wysokości stanowią handlową dzielnicę New Orleans. Pełno tu sklepów departamentowych i mniejszych handli, wśród których uderza zbyt wielka ilość magazynów jubilerskich.

Właściciele magazynów konfekcyi damskiej na sprytny wpadli tu pomysł. Wiadomo, że panie robią sobie sport z obchodzenia magazynów, w których ograniczając się przeważnie na oglądanie i przerzucanie towaru, niepotrzebnie zajmują czas subjeptom.

Ażeby tego uniknąć cała frontowa część niektórych tutejszych magazynów na znacznej głębokości nie jest przeznaczoną do sprzedaży, lecz na wystawę wzorów. Tu mogą damy spokojnie chodzić i przypatrywać się wystawionym w szklanych szafach strojom i materjałom, nie niepokojąc nikogo. Oddział ten otwarty jest

i oświetlony noc całą. System taki ma tę jeszcze dobrą za sobą stronę, że gapiący się, będąc we wnętrzu budynku nie tamują ruchu ulicznego.

Oddalając się od centrum miasta coraz częściej spotykać można niezabudowane place, a dalej jeszcze całe próżne bloki.

Wspaniałą ulicą rezydencyjną jest St. Charles i kilka ulic do niej przyległych.

Posuwając się tu ulicą z dzielnicy handlowej ku południowi widzi się po obu stronach wille otoczone roślinnością.

Tramwaje biegną środkiem ulicy po zieleniejącym rok cały trawniku.

Przybliżając się do Napoleon av., a zwłaszcza minąwszy tą ulicę, wille ustępują pomалу miejsca wspaniałym pałacom, ginącym w zieleni rozłożystych palm wachlarzowych i daktylowych, magnolij, oleandrów, bananów i innych okazów podzwrotnikowej flory, a tę piękną całość otacza kunsztownie poprowadzony wiecznie zieleniejący żywopłot.

Widocznie wśród mieszkańców tych rezydencji wielu jest Żydów, gdyż wzniesiono tu wspaniałą synagogę.

O ile dzielnica rezydencyjna, ciągnąca się około 30 bloków, piękną jest, a jej mieszkańcom nie brak przestrzeni, o tyle inne dzielnice bliżej lub dalej od handlowej części miasta oddalone nie przedstawiają nic godnego uwagi. Domki małe, przeważnie drewniane, źle utrzymane rażą swą jednostajnością.

W starych dzielnicach miasta, bliżej rzeki położonych, przeważają domy murowane, budowane na sposób hiszpański. Przez całą długość takiego domu cią-

gnie się balkon szeroki jak ulica, wsparty na żelaznych słupach.

Na tych balkonach w lecie spędzają mieszkańcy wieczory, a mają one jeszcze tę wygodę, iż chronią przechodnia przed deszczem i palącymi promieniami słońca.

Ważnym elementem miasta są skwerów, z których na szczególną uwagę zasługują Jackson. Na wszystkich skwerach, co gdzie indziej rzadko się spotyka, pełno ławek, na których strudzony przechodzień wygodnie w cieniu odpocząć może.

Kościółów różnych wyznań posiada New Orleans 294 z których $\frac{1}{3}$ część przeznaczoną jest dla czarnych. Katolickich kościołów jest tu 40, większość ich należy do Kongregacji: Jezuitów, Benedyktynów i Misyjonarzy (Stow. Sw. Wincentego a Paulo).

Na wschodniej stronie miasta w końcu ulicy Canal znajduje się kilka wielkich cmentarzy. Nadgrobków wartości artystycznej mało się na nich widzi, za to wskutek gęstego zadrzewienia tchną one właściwą sobie powagą i przypominają nieco nasze starokrajskie cmentarzyska.

- Na ogół biorąc New Orleans jest jednym z najbrudniejszych miast.

- Wiele przyczyn na to się składa, zaś najważniejszymi są: wielki ruch wozowy, ciasnota większej części ulic, brak dostateczny ilości wody wodociągowej, nade wszystko zaś brak kanalizacji.

- Na źle brukowanych, pełnych wybojów, lub zupełnie nie brukowanych ulicach leżą kupy śmiecia i odpadków, a w rynsztokach stoi prawie ciągle cuchnąca woda pokryta zielonym moczkiem.

Woda wodociągowa koloru zabielenego barszczu niezdatną jest do picia, zastępują ją mieszkańcy deszczową, którą zbierają w olbrzymie cysterny, stojące w podwórzach.

Przy rzadkich opadach deszczowych daje się odczuwać brak wody do picia, zaś reszta pozostała na dnie cysterny jest mętna i cuchnie.

Wobec takich warunków higienicznych nie dziw że malarya szerzy się tu w lecie w sposób zastraszający, a żółta febra znajduje dla siebie bardzo podatne pole.

Bogaci nie odczuwają tego. Oni mają dużo powietrza, czyste, zlewane kilka razy na dzień ulice, wodę destylowaną, lód i gęstym muszlinem pokryte łóża, chroniące ich od ukąszeń różnoszących zarazki komarów.

New Orleans oddalony o 10 mil od zatoki Meksykańskiej jest drugim po New Yorku portem pod względem ruchu.

Ztąd wychodzą największe transporta bawełny, cukru, ryżu, tytoniu, drzewa i innych produktów południa i zachodu.

Potężnych instytucyj bankowych i równie potężnych domów handlowych jest tu bardzo dużo. Nowoorleańska giełda bawełniana reguluje ceny tego produktu na wszechświatowym rynku.

Przemysł fabryczny w N. Orleans jest stosunkowo mało rozwinięty. Trzy rafinerie cukru, tyleż młynów ryżowych, dwie przedzalnie bawełniane i nieco drobnych fabryk to i wszystko.

W fabrykach tkackich znajduje zatrudnienie przeszło 2,000 dziewcząt i chłopców, tyłuż dorosłych męż-

czyzn pracuje w rafineryach. Pracującymi w fabrykach są przeważnie Murzyni.

Reszta ludności czarnej znajduje służbę u białych.

Bogaci trzymają całe legiony służących poza tem, rzadko który dom białego obywatela się bez pomocy czarnucha lub czarnuszki,—tu nawet kataryniarz włoski do kręcenia korbą i przewożenia swego instrumentu trzyma negra.

New Orleans należy do drogich miast i hotele zwłaszcza amerykańskie za mieszkanie i życie drogo każą sobie płacić.

Ogromne wobec tego mają powodzenia restauracje japońskie, gdzie placąc za każdorazowe jedzenie 25—35c. otrzymuje się kilka nie źle przyrządzonych obfitych potraw.

Ostrygi, których tu jest stolica, są tanie i okazałe, za tuzin podanych, stosownie do miejsca płaci się 10—25c.

Mieszkania stosunkowo są drogie, za pokój w drugorzędnej dzielnicy liczą \$4—5 miesięcznie.

Pod względem bezpieczeństwa publicznego, podobno dzięki sprężystości tutejszej policji New Orleans należy do miast, gdzie kroniki mało liczą przestępstw, a zwłaszcza rozbojów. Tutejsi stróże policyjni mniej są ok zali pod względem wzrostu, a zwłaszcza tuszy, ale za to więcej ruchliwi.

Za równo jak obecnie na ulicach Warszawy, tak i tu nie pozwala policja przystawać. Spotkawszy na Canal wczesnym wieczorem dwóch rosyjskich robotników wczajem z nimi gawędę, usunąwszy się na bok. Przechodzący policyjant uderzył pałką w chodnik, a gdy na to nie zwróciliśmy uwagi trącił dość rubasznie i

zapytał, czy ma użyć pałki, by nas pobudzić do ruchu.

Połowę ludności New Orleans stanowią czarni i kreole, na resztę składają się: Amerykanie; Francuzi, Żydzi, Włosi i inne narodowości.

Żydzi mają tu duże interesa na pryncypalnych ulicach, a prócz tego południowa część Rampart st. od Canal do stacyi Union t. j. na przestrzeni 10 bloków zajęta jest przeważnie przez mniejsze ich interesa.

Są tam sklepy: kolonialne, galanteryjne bławatne ubiorów, jubilerskie, w których po większej części po polsku lub rosyjsku dogadać się można.

Czarni, posiadający tu oddzielne przedziały w tramwajach, oddzielne: balbiernie, szynki, hotele i jadłodajnie, zapewne wskutek swej liczebnej przewagi nie są tak źle traktowani, jak mi opowiadano.

Neger odpychany od stołu i towarzystwa białych, po za tem obraca się tu zupełnie swobodnie i jest pewny siebie, co jednak drażni bardzo jego białego "bossa," to też gdzie tylko może stara go się poniżyć. W hotelu gdzie stoję właściciel na czarnego sługę, nie woła inaczej jak Neger lub Afrykaner, mimo że zna jego imię.

Próbowałem parokrotnie polemizować z białymi na punkcie poniżenia swych czarnych pracowników, mają oni jednak w zanadru taki arsenał argumentów na uzasadnienie swej racyi i zasypali mię nimi nieprzygotowanego tak, że na razie poczułem się bezbronny.

Wreszcie z ich sofizmatami żadnej logicznej polemiki prowadzić nie można.

"Pan Bóg stworzył dla użytku człowieka różne zwierzęta — perorował jeden z interpelowanych—które zaspokajają jego życiowe potrzeby. Są wśród nich

wyższe i niższe organizacje, do najwyższych zaliczyć można czarnucha.

Tak jak nie dzielę stołu i nie mieszkam z bydłem, tak również nie chcę bratać się z czarnym.”

Dlaczego więc znosisz pan w mieszkaniu czarną służbę—pytałem—dlaczego po restauracjach, a nawet najbogatszych rezydencjach czarni kucharze nietylko gotują wam, ale nadto trzymają w swych niegodnych rękach: chleb, selery, sałatę i t. d. które wy następnie pożywacie. . . Gdzie tu logika, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy rzekomy wasz wstręt?

“Bywam w stajni—odparł mi na to mój oponent—gdzie me powonienie drażni zapach nawozu i jadam wieprzowinę, mimo że świnia jest najnieczyściejszym zwierzęciem i spożywam sałatę rosnącą na nawozie—obrzydlivość pokonywać trzeba tam, gdzie się jest do tego zmuszonym.”

Inny znów dowodził mi:

“Czarna rasa sięga swą egzystencją w odleglejszą przeszłość, aniżeli biała, gdyby jednak nie my, biali, po dziś dzień gnieździła by się ona jak małpy po drzewach.

“Pokaż mi pan jaki ważniejszy wynalazek czarnego, mimo że są między nimi ludzie, którym pozwoliliśmy osiągnąć najwyższe wykształcenie.”

“Robimy wiele, dopuszczając negrów do dobrodziejstw naszej cywilizacji, na zrównanie ich jednak z nami, nigdy się nie zgodzę.”

—Po co przywoziliście ich tutaj wbrew ich woli—odparłem—by następnie znęcać się nad nimi? A przecież tylko dzięki pracy tych pogardzanych czarnuchów doszliście do bogactw.

—“Człowiek od dawna opanowywał i przyswajał dla

swych celów różne zwierzęta, nie pytając czy im się to podoba, zrobił więc toż samą z czarną rasą, gdy mu ona do jego celów była potrzebna.”

Jeden z ludzi postępowych, który podwładnych mu negrów traktuje dobrze i odnosi się do nich z życzliwością, takie wypowiedział zdanie:

“Za złe uważam odsuwanie negra od wspólnego z białymi pożycia, budowanie dla nich oddzielnych pomieszczeń, oddzielnych przedziałów w wagonach kolejowych i tramwajowych, słowem cały ten seperatyzm jest nie na miejscu, z drugiej jednak strony rząd popełnił ogromny błąd, dając czarnym prawa obywatelskie, skoro ze względów politycznych odmówił ich żółtej rasie, orwiele kulturalniejszej.

“Nie chcę być złym prorokiem, a jednak jestem pewien, że będziemy mieli z tego powodu prędzej czy później poważne trudności, a w dodatku czarni mnożą się jak króliki.”

O ile “bossowie” nie są na czarnych łaskawi, mimo, że im są oni niezbędni jako niczem nie dająca się na razie zastąpić siła robocza, o tyle kupcy są zdania, że negrzy stanowią dla nich najlepszą i najdochoźniejszą klientelę.

Lekkomyślny jak dziecko, czarny wydaje i to najczęściej na rzeczy, bez których łatwo by się mógł obejść wszystko co zarabia, a uciekając się chętnie do kredytu, płaci wysokie ceny, a następnie lichwę.

Dzięki tej ich lekkomyślności prosperuje w New Orleans i robi znakomite interesa mnóstwo domów zastawniczych, które zazwyczaj stanowią jeden z oddziałów sklepu jubilerskiego.

POLACY W NEW ORLEANS.

Polacy w New Orleans są zazwyczaj bardzo słabo reprezentowani, w danej chwili jest ich tu paruset rozrzuconych po całym mieście, nie wiedzących o sobie.

Są to przeważnie ludzie samotni, którzy schronili się tutaj przed wyzyskiem kompanij ostrygowych.

Mimowoli stałem się łącznikiem, gdyż znalazłszy kilka polskich gniazd, zbliżyłem je do siebie.

Chcąc pisać o Polakach w New Orleans cofnąć się muszę kilkadziesiąt lat wstecz.

Rok 1848, a następnie 1865 wyrzuciły na bruk tego miasta pewną ilość naszych rewolucjonistów.

Francya, pozbywając się polskich emigrantów, względem których zaciągnęła pewne moralne zobowiązania, wysyłała ich gdzie się dało.

W ten sposób znaleźli się na bruku w New Orleans: Szczepański, Kaczanowski, Kowalski, Jurgielewicz, Kaczorowski, Chodański, Czarnecki, W. Wrotnowski i inni. Pierwszych trzech, z których Kowalski miał duże plantacje w pobliskiej okolicy powróciło do Europy jako ludzie bogaci, następnie czterej zmarli w New Orleans, a dzieci ich wyparłszy się swej narodowości, pożeniwszy z cudzoziemkami i zmieniawszy nazwiska, mieszkają tu po dzień dzisiejszy.

Z całej tej gromadki wiarusów mieszka w mieście dwóch: inżynier W. Wrotnowski i nieco później przybyły S. J. D. Kozarski. Inżynier znany tu pod nazwiskiem pułkownika Wrotnowskiego liczy już z górą lat 70 i jest osobistością ogólnie szanowaną. Mieszka przy ul. Canal, gdzie posiada swą willę.

Jako konstruktor i zarazem przedsiębiorca wybudował on w tutejszych południowych stanach, a zwłaszcza w Mexico mnóstwo mostów kolejowych i do dnia dzisiejszego, mimo podszłego wieku w pracy nie ustaje. W czasie wojny domowej walczył po stronie południowców i zdobył rangę pułkownika.

Ma on być dobrym Polakiem i gorącym patriotą i włada nieskażoną polszczyzną, mimo iż zna wiele obcych języków.

Niestety pułkownik Wrotnowski był nieobecny w New Orleans, wyjechał na roboty, wskutek czego nie miałem możności poznania go osobiście.

Następnym po starszeństwie Polakiem jest S. J. D. Kozarski, zamieszkały tu od roku 1867.

Tacy ludzie jak p. Kozarski, którzy by przechowali w swem sercu niczem nieskażoną polską mowę i miłość dla opuszczonej ojczyzny, są dzisiaj unikatami, zwłaszcza w tutejszem polskim społeczeństwie.

Przytaczam poniżej w oryginale opowiadanie samego rodaka, w którym skreślił w krótkości dzieje swego życia.

“Kiedy ukończyłem szkołę realną w Warszawie, w powietrzu czuć już było zbliżające się wypadki, które następnie ciężko zaważyć miały na szali życia polskiego ludu.

Mówiono i szeptano o postanowionej ruchawce, o odzyskaniu z jej pomocą politycznej niezależności uciśnionej długą niewolą Ojczyzny.

Ażebym przetrwać pierwsze chwile przygotowań, wstąpiłem za ramową rodziców do zakładu litograficznego Fajansa, skąd po pół roku zaciągnąłem się do oddziału Jeziorańskiego, a następnie Langiewicza.



S. J. D. Kozarski, jako konny strzelec meksykański
Cozacores a Caballo.

Po przegranej bitwie pod Piaskową Szkałą naciskani przez rosyjską nawałę przeszliśmy granicę austriacką, gdzie nas rozbijono.

Bojąc się wydania Moskalom, zmieniłem swe nazwisko na F. Kozierowski i jako taki zostałem internowany do fortecy w Ołomuńcu.

Skoro emigrantów, którym dowiedziono pochodzenie, zaczęto wydawać Rosyi, a tam różny spotykał ich los, w obawie by na mnie nie przyszła kolej zaciągnąłem się do organizowanego legionu austriackiego i w roku 1875 wraz z Arcyksięciem Maksymilianem wyruszyłem do Meksyku.

Polski pułk ułanów, do którego zostałem zaliczony, składał się z 600 ludzi. Dowodził nim pułkownik Beltran, odznaczający się tem jedynie, że prochu dotąd nie wahał. Czy w towarzyszących nam pułkach piechoty byli Polacy, tego powiedzieć nie umiem.

Nie chciwy władzy Maksymilian, człowiek niesłychanie liberalny jak na owe czasy wyruszył do Meksyku pod naciskiem dworskiej kamaryli, która rada go była się pozbyć, oraz wskutek nalegań rządów francuzkiego i belgijskiego.

Kiedy Arcyksiążę przez ultramontanów meksykańskich ogłoszony został cesarzem legiony austriackie i belgijskie wróciły do Europy, a z nimi $\frac{3}{4}$ polskich ułanów.

Ja, a ze mną około 150 rodaków zaciągnęliśmy się do organizującego się oddziału meksykańskiego konnych strzelców "Cesadores a Caballo," który zarazem stanowił gwardyę pałacową. Dowodził nami La Madrid.

Wówczas rozpoczęła się zacięta walka pomiędzy zwo-

lennikami cesarstwa, a republikanami. Na czele ostatnich stanął Porfilio Diaz, obecny długoletni prezydent meksykańskich stanów.

Położenie nasze stawało się coraz to cięższe — Austria nie spieszyła z pomocą zagrożonemu cesarzowi, a Francya i Belgia odmówiły jej.

Maksymilian nie doczekał by się był stracenia, gdyby się chciał upokorzyć.

W tym razie może nietylko duma kierowała nim. Znalazszy się osamotnionym, rozumiał, iż nie miał po co wracać do ojczyzny, jeżeli nie chciał się narazić na upokorzenia ze strony rodziny i dworu.

Stanął on odważnie, jak na żołnierza przystało wobec wymierzonych doń karabinów, nawet w tej krytycznej chwili nie przyjął łaski, którą mu ofiarowano, natomiast obdarzwszy hojnie żołnierzy przeznaczonych do wykonania egzekucyi, prosił ich by mierzyli w serce.

Stracenie Maksymiliana nie było aktem zemsty ze strony Meksykańczyków, rozstrzelali oni go nie jako człowieka lecz uosobienie monarchizmu, przedstawiciela chciwych władzy nad światem ultramontanów.

Byliśmy daleko od miejsca, gdzie padł cesarz, a dowiedziawszy się o jego śmierci, natychmiast wywiesiliśmy białą chorągiew, poddając się republikanom.

Rola nasza była skończoną. Aż dotąd walczyliśmy w obronie sympatycznego władcy, któremu dobrowolnie przysięgliśmy wierność, zaś dalsze pozostanie w szeregach niesympatycznych klerykałów równało by się chęci podtrzymywania bratobójczej walki.

Jako jeńców internowano nas do Vera Cruz, gdzie większość mych towarzyszy broni wsiadła na oczekujący statek austriacki, który ich zabrał do Europy.

Ja, a wraz ze mną kilkunastu pojechaliśmy do New Orleans. Z tych sześciu odjechało wkrótce do Europy; reszta nieco później znalazła się w szpitalu — z powodu choroby na żółta febra.

Gdy przyszedłem do zdrowia, wszyscy moi towarzysze spoczywali już na ementarzu.

Stanałem wobec jutra bezradny. Aż dotąd nie potrzebowałem o sobie myśleć: w domu utrzymywali mnie rodzice, później żywiło i okrywało wojsko. Nie wiedząc czy są w New Orleansie Polacy, zwróciłem się do licznie już w owe czasy osiadłych Żydów, prosząc o dobrą radę.

“Sprzedaj Pan swą szlachecką głowę za co się da — powiedział mi jeden z nich — a staraj się nabyć żydowską, z którą ci będzie dużo lepiej.”

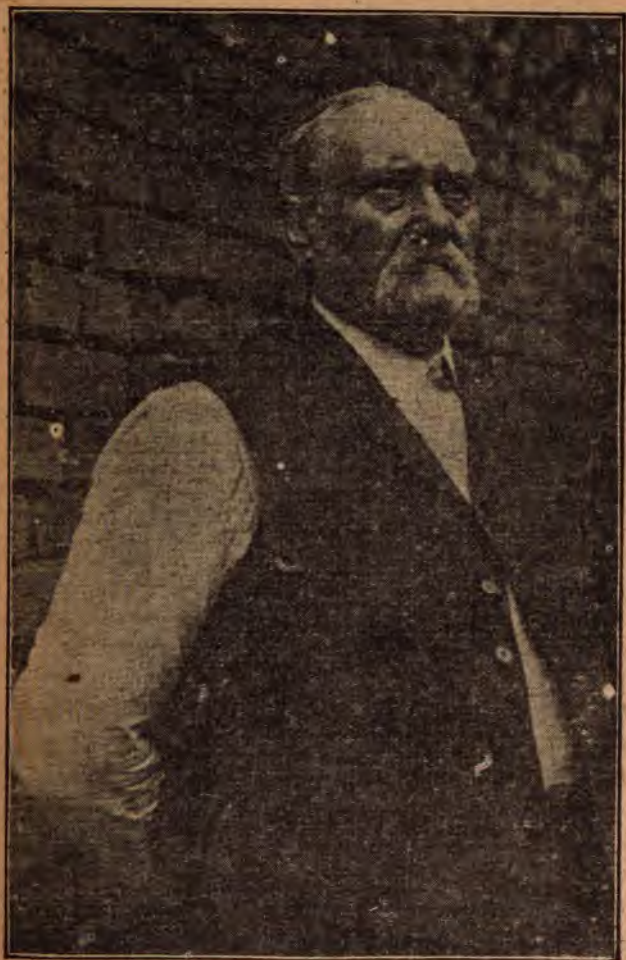
Już ją mam — odpowiedziałem, — ale od czego zacząć?

“Od tego na co najmniej potrzeba pieniędzy, bo tych Pan z pewnością nie masz, bo gdybyś je miał, nie przyszedłbyś do Żyda po radę.”

“Zbij sobie Pan skrzynkę z tej starej paki, weź te kilka t fli szkła i chodź po mieście, bacząc dobrze, czy od frontu lub podwórza niema gdzie zbitej szyby.”

Posłuchałem rady, a chociaż na razie zdawało mi się, że wszyscy na mnie jedynie mają oczy zwrócone, że każdy przechodzień uśmiecha się szyderczo, nie zrażałem się, a dzięki temu i żydowskiej radzie robiłem dostatnie utrzymanie.

Później pracowałem przy fabryce drzwi i okien, gdzie poduczywszy się fachu można było zarobić \$35—40 tygodniowo. W owe czasy, każdy zarabiał dobrze, kto tylko chciał pracować.



S. J. D. Kozarski, były pułkownik w armii cesarza
Maksymiliana.

Następnie byłem kolejno: piekarzem, cukiernikiem, fabrykantem cygar.

Stosunki moje domowe, śmierć wychowanki, moja długotrwała choroba, wreszcie śmierć żony wszystko to razem nie pozwoliło na zrobienie fortuny, bieda tu jednak nie zaznałem.”

P. Kozarski posiada dzisiaj sklep z cygarami pn. 1004 Tulane, a będąc równocześnie właścicielem i subjektem jest niewolnikiem swego interesu. Zajęty od 5-tej rano do 10-tej wieczór zarabia na byt niezależny.

Kiedy po długiej rozmowie ze starym wiarusem, podczas której nie użył on ani jednego obcego wyrazu, a mówi tak czystą polszczyzną jakby wczoraj opuścił ojczyznę, wyraziłem z tego powodu me zdziwienie, odpowiedział mi.

“Alboż nie jestem Polakiem? a cóż mam droższego nad tą polską mowę?”

“Gdy starzy pomaarli — ciągnął dalej — rzadko widuję Polaków, którzy mało nawiedzają New Orleans i nie zatrzymują się tu na dłużej, a i u tych nie mam miaru, gdyż nie mogę słuchać używanej przez nich gwary. Nowi przybysze, jakby na urągawisko wplatają w swą mowę wszystkie znane im angielskie wyrazy, — żeby to przynajmniej umieli je wymawiać.

Wole ich nie widzieć, aniżeli patrzeć na ten smutny objaw wyzbywania się z chęcią tego, co Polakowi powinno być najdroższem.”

Wieczory spędzane w towarzystwie p. Kozarskiego pozostaną mi na zawsze miłym wspomnieniem. Takich Polaków, takich prawdziwych patriotów, mamy już mało, bardzo mało...



Ks. Jakób Heliński.

. Do dawniej osiadłych w New Orleans należy A. Romański.

Posiada on przy ul. Gravier drukarnię i litografię, zajmującą czteropiętrowy budynek, ciągnący się blisko pół bloku.

Duże to przedsiębiorstwo, mieszczące się dawniej przy ulicy Camp, sięga swem założeniem 1875. Nie mogłem się widzieć z p. A. Romańskim, zaś zastępujący go w interesach syn po polsku nie mówi i nie rad przyznawać się do polskiego pochodzenia.

P. Romański jest człowiekiem bogatym, posiada własny wspaniały jacht, letnie miesiące spędza w Europie.

Ks. **Jakób Heliński** należący do zgromadzenia O. O. Misyonarzy, zwanego również zakonem św. Wincentego a Paulo, jest jednym z dłużej tu mieszkających Polaków.

Urodzony w Wysoce (Ks. Poznańskie), gdzie też ukończył szkoły, przybył do Ameryki 18-letnim młodzieńcem.

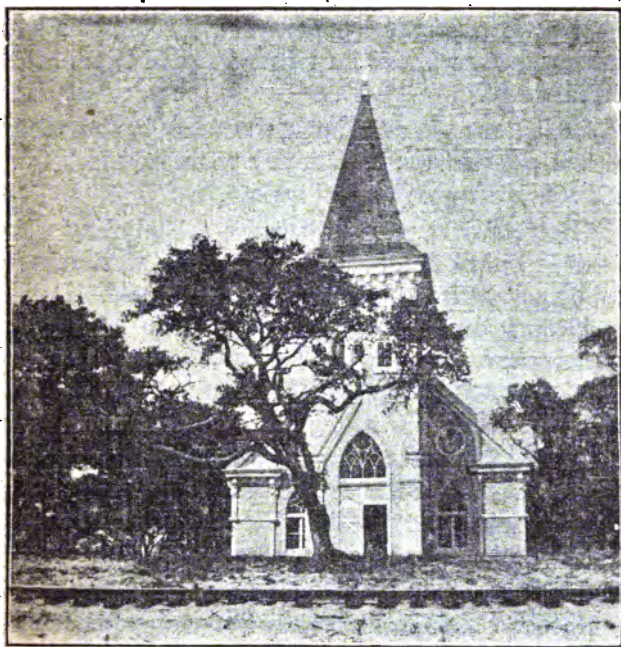
Po rocznej pracy w fabryce wstąpił młody Heliński do St. Mary's Seminary w Perryville, Mo., po ukończeniu którego otrzymał święcenia kapłańskie.

Przebywszy trzy lata w Los Angeles, Cal. przybył młody kapłan do New Orleans, gdzie przy kościele Sw. Józefa pełnił swe obowiązki w ciągu lat pięciu.

Wysłany następnie do Long Beach, Miss., był przez dwa lata proboszczem parafii św. Tomasza. Polaków tam niema zupełnie.

Obecnie już drugi rok pracuje Ks. Heliński przy kościele Sw. Stefana (Napoleon róg Camp), gdzie przybywający tu Polacy zaspokajają swe potrzeby duchowe

Ks. Heliński jest nie tylko dobrym kapłanem, ale i prawdziwym chrześcianinem, który nie szukając osobistych korzyści spieszy chętnie tam, gdzie bliźni



— Kościół św. Tomusza w Long Beach, Miss.

potrzebuje czy to pociechy, czy materialnej pomocy.

Całkowite swe dochody, a te są bardzo skromne obraca polski kapłan na wsparcia dla swych braci rzeczywście potrzebujących pomocy.

Nie jedną otarł on już łzę, wielu których tu już nie-

ma i kofrzy mieszkają po twardo trzebiej, przetrwali bide dzięki dozażnej pomocy ks. Helińskiego.

Zaaptywany Estamu Polaków pracujących przy ostrzyżach, których w straszny sposób wyzyskują ich chlebodawcy. Jazdzi do nich nie tylko po to by im nabożeństwo odprawić i pocieszyć w niebiedach, lecz by u kompanistów wyrobić im lepsze warunki bytu, bronić od krzywdy.

Jedząc tam na koszt zakonu, naraził się kapłan właścicielom pól ostrzygowych, kofrzy go widzą niechętnie i nie żalują mu przykrości i szykan.

"Kolekta, jaką po nabożeństwie robią Polacy w kościele — opowiadał Ks. Heliński — nie wystarcza na to, by połowę mego kosztu przejazdu opłacić. Dali by ci biedacy dużo więcej, gdybym się do ich kieszeni chciał odwołać, ale ja o to nie dbam, a zakon, który daje mi utrzymanie na wyzyskiwanym polskim ludzie zarabiec nie chce."

Ks. Heliński jest typem kapłana, jakich chciał mieć Chrystus. On nie strzyże, lecz okrywa swe owieczki.

J. Halik krawiec mieszka w New Orleans od 5-ciu już lat, mimo jednak nieustannej pracy zarabia tylko na utrzymanie.

Reszta Polaków, których jak wyżej powiedziałem jest w danej chwili na bruku New Orleans paruset, uważają pobyt swój tutaj za chwilowy etap. Ludzi familijnych jest zaledwie kilku, reszta samotni.

O pracę Polakowi tu trudno, musi on konkurować z czarnymi, znającymi język i miejscowe stosunki.

Największa część znajdujących się obecnie w New Orleans rodaków pracuje przy czyszczeniu pulmanow-

skich wagonów, gdzie za 11 godzin pracy, bez wyjątku niedzieli otrzymują \$45 miesięcznie.

J. Kleczkowski, fachowy kowal, ślusarz i kotlarz pracując w swym fachu przy przędzalni zarabia \$1.60 dziennie.

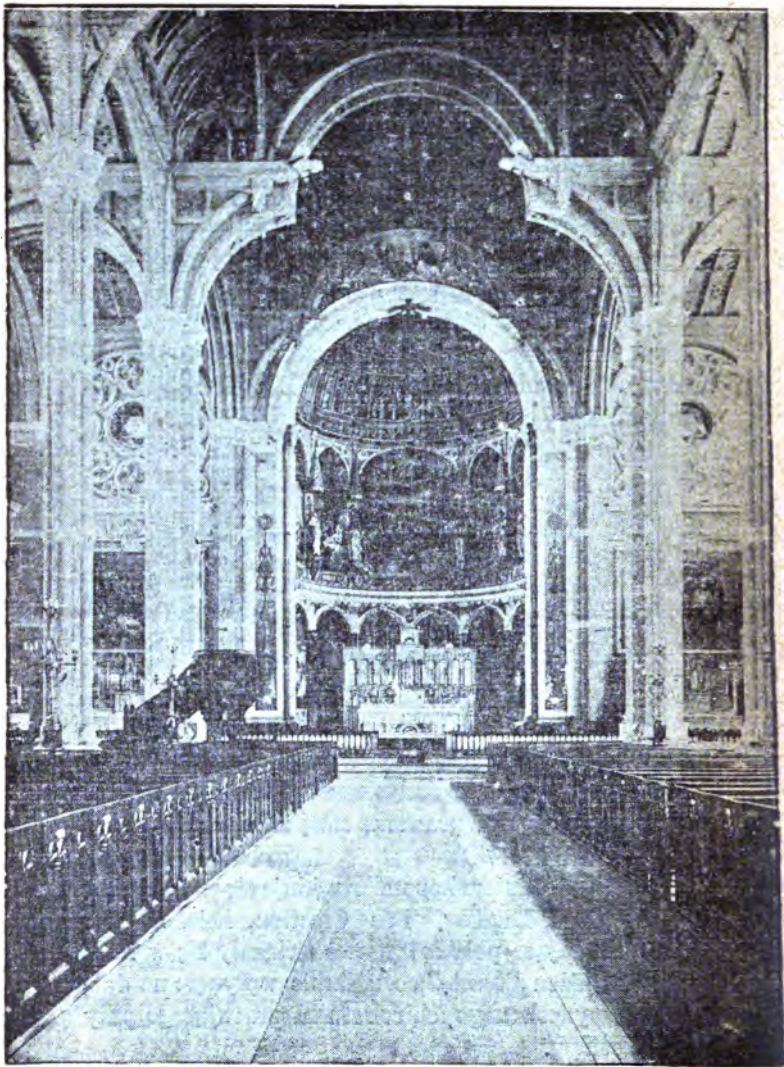
Wszyscy Polacy, ilu ich spotkałem, zasypywali mnie pytaniami gdzie by jechać, by znaleźć pracę wśród swoich, przy odpowiedniejszym klimacie.

Każdo rocznie w czasie i po sezonie ostrygowym zostaje w New Orleans garstka naszych, gorąco jednak, brak wody do picia i komary wypędzają ich stąd z nastaniem letniej pory.

Biali niewolnicy.

Poczynając od ujścia rzeki Mississipi, gdzie w Bay Tereir, La., ostrygi podkarmione są mieloną kukurydzą, znajdują się one prawie w całej zatoce Meksykańskiej.

Tak zwane "Oysters houses" znajdują się w: Ricoleds, Bay St. Louis, Dunbar, Pas Crestion, Bilosi. Kompanie posiadające pola ostrygowe związały się w roku zeszłym w jeden "trust," co ujemnie wpłynęło na dolę już i tak wyzyskanego ich robotnika pracującego przy połowie ostryg.



Wnętrze kościoła św. Stefana w New Orleans, La.

DUNBAR, LA.

O 50 mil od New Orleans, przy zatoce Meksykańskiej znajduje się usypany ze skorup ostrygowych półwysep na przestrzeni $\frac{1}{2}$ mili kwadratowej, na którym stoi około 40 domków, o ile te ledwo sklecone budy na to miano zasługują. Przedsiębiorca żałował dla swych pracowników odrobiny wybrzeża i sypał on dotąd w jedno miejsce wyluskane ostrygi, dopóki nie stworzył się sztuczny ład i na tym śmietniku ich osadził.

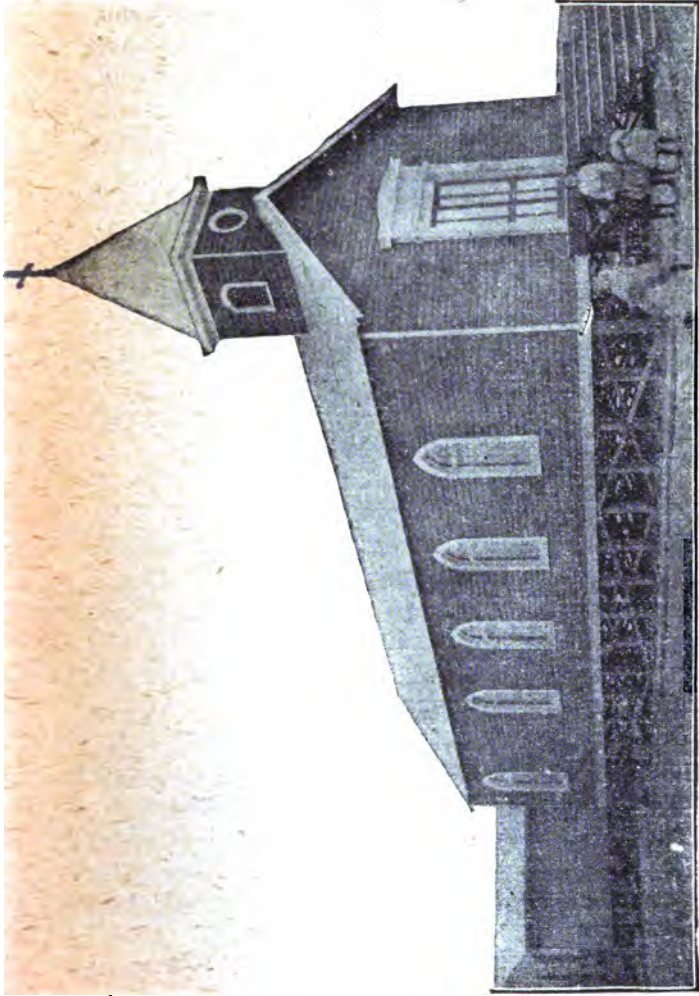
Tu na skorupianym podkładzie, pozbawionym wszelkiej roślinności wznoszą się domki pobudowane na słupach, każdy na 3—4 familij, w których dach jest równocześnie sufitem, a przez szczeliny niedopasowanych desek dostają się do wnętrza wiatr i deszcz. Bieda temu, kto nie przywiózł z sobą grubych kołder, gdyż i tu bywają dnie zimne, a zwłaszcza wietrzne.

Na środku takiej izby piec, na około zbite z desek nary zastępujące łóżka, także ławy i stoły dopełniają umeblowania.

W podobnych warunkach żyć i kontentować się niesłychanie małym zarobkiem nie chciał łakomy na pracę Włoch, nawet czarnuch — zastąpił ich Polak.

Kiedy zamieszkali w Baltimore, Md., Polacy przy zbiorze "jagod" (truskawek), a następnie "Merdysów" (pomidorów) nie zarobią tyle, by przeżyć zimę, wtedy tłumnie jadą na "ostrzechy" (zbiór ostryg).

Naganiacze kompanijni przedstawiają im w pięknych kolorach łatwą i korzystną pracę i pokazuja rysunki na których w otoczeniu podzwrotnikowej roślin-



Kościół św. Grzegorza w Dunbar, La

Ostrygi są już tak wyczerpane, że wyciągnięta sieć zawiera ich najwyżej 15% na resztę połowu, który wyciągnąć trzeba na pokład składają się muszle i szlam.

Praca to nad wyraz ciężka, nie przyzwyczajony do korby ustaje z wyczerpania.

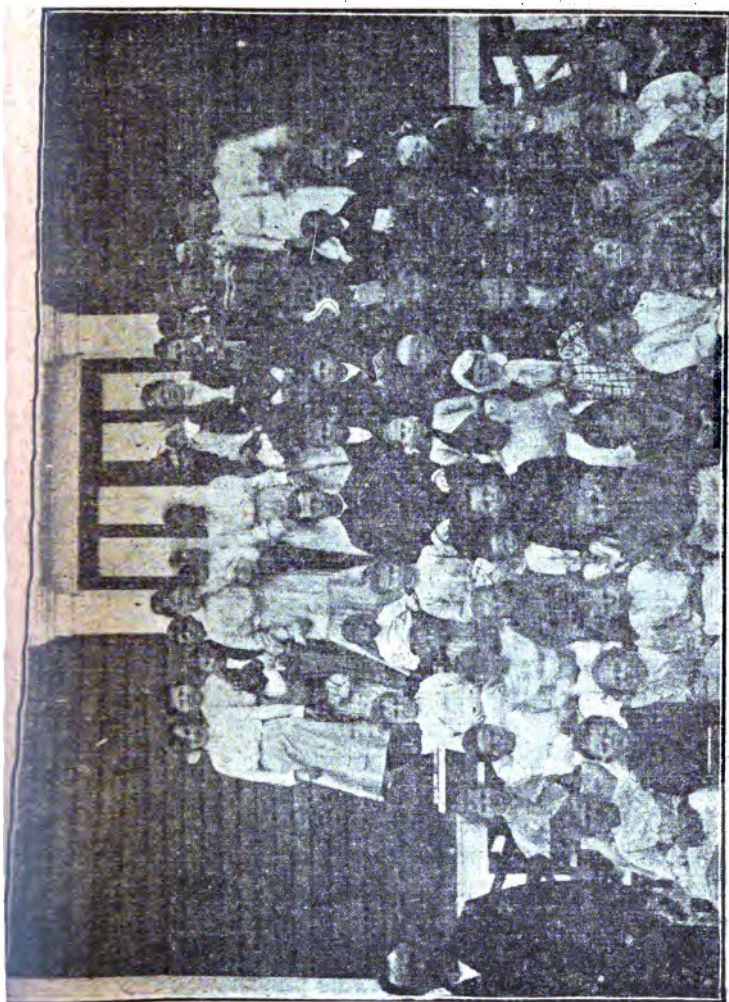
Jeżeli w czasie połowu wypadnie mgła, ostrygi roztwierają się, a następnie większa ich część zamiera, gdy słońce zaświeci. W tym wypadku całkowitą stratę ponoszą robotnicy.

Wreszcie wracają pracownicy ostrygowi z ładunkiem paruset beczek towaru i następuje obliczenie w stosunku 40c. od beczki, ale z tej ceny zabiera kompania na pokrycie statku, narzędzi i pensyi kapitana, zaś $\frac{1}{3}$ dzieli się pomiędzy tych, którzy ostrygi wyłowili. W wyjątkowych wypadkach dostaje im się po \$10—12 za tydzień usilnej pracy—najczęściej jednak \$5—7.

Dzieci pracowników ostrygowych wyżej lat 8-ku robią w "Can hous'ach," młodsze pozostawione samym sobie zbijają baki i demoralizują się wzajemnie. Dzieci małe i niemowlęta pełzają po zabłoconej podłodze zakładu wśród mokrych muszli i zdechłych ostryg, gdy matki ich zajęte są pracą. Szkół ani przytułków dla tych wydziedziczonych niema.

W zamian za tą pracę; za przyjęcie tak upakarzających warunków egzystencyi zyskali sobie Polacy u swych chlebobawców miano na nic lepszego nie zasługujących pariasów. Nazywają ich oni: Hakus, Dogos, Bohemens, Bull Hedes i innymi pogardliwymi epitetami.

Największa odpowiedzialność za tutejszą poniewierkę spada na polskich formanów, którzy równocześnie spełniają rolę naganiaczy.



Dzieci polskich pracowników w Dunbar, La.

Te wyrzutki społeczeństwa nietylko że zaprzędają swych braci, by otrzymać od bosów \$100 za głowę i \$3.00 dziennej pensyi, ale nadto spełniają funkcję alfonsów.

Dziewczyna młoda lub ponętna mężatka, których mężowie zabijają się pracą przy połowie ostryg, otrzymują na razie korzystniejszą robotę w "Can house," wkrótce jednak polski forman robi jej propozycję oddania się któremu z amerykańskich pracujących. Jeżeli propozycję odrzuci, dają jej pracę od sztuki, przy której wnet się przekona, iż nawet połowy tego co poprzednio zarobić nie może, a wtedy alfons ponawia propozycję. Nędza i upokorzenie złymi są doradcami, to też demoralizacja się szerzy. Jest tu już wiele dziewcząt, które nie wyjeżdżając, oczekują na następny sezon ostrygowy.

Kiedy o tem rozmawiałem z ks. Helińskim odezwał się on:

"Co robi wasza prasa, co robią związki i stowarzyszenia, o których tyle słyszałem? Dlaczego nie zapobiega przyjazdowi tu polskiego ludu?"

Nie żałuję mej fatygi, by ulżyć braciom, widzę jednak że ma pomoc jest maluczką w obec tej sumy nędzy i upodlenia. To co dać mogę przyda się innym potrzebującym, a tych nigdy nie brak. Nie chciałem zacnemu księdzu otwierać oczu. Wychowany wśród Amerykanów, patrzy on przez różowe okulary na nasze polskie instytucje, przecenia ich działalność, posądza o potęgę.

Może lepiej, jeżeli zostanie w tem błogiem złudzeniu, inaczej może by się wolał mniej jawnie przyznawać do polskości.

BILOXI, MISS.

Miasteczko liczące około 15,000 ludności w czasie połowu ostryg jest dosyć ożywione.

Polacy mają tu odrobinę lepsze pomieszczenia, a to dzięki temu, iż wśród pracujących przy ostrygach jest nieco Czechów i Francuzów, ci zaś ponieważć sobą tak łatwo nie pozwalają. Ostatni, nie korzystając z bezpłatnego przejazdu, zarabiają z górą dwa razy tyle co Polacy, których położenie w Biloxi niczem nie różni się od opisanego w Dunbar.

Spółceństwo polskie stanowczo powinno zrobić co można, by wstrzymać, a przynajmniej ograniczyć do minimum wyjazd na ostrygi. W tym roku liczba przybyłych Polaków wynosiła około 4,000, a z tych większa część wraca z gołymi rękoma już w połowie Lutego, gdyż kompanie mają dostateczne zapasy towaru.

Zarobki będą tu coraz gorsze, zarówno z powodu wyczerpania się pól ostrygowych, jak i jakości towaru. Przy wyłuskiwaniu małych ostryg na sól zarobić nie można.

New Orleańska prasa amerykańska wystąpiła w roku zeszłym ostro przeciw panującym na ostrygach stosunkom, czem wywołała wysłanie specjalnej komisji, ale ta posmarowana przez kompanistów znalazła wszystko w porządku.

Gdyby nasi luminarze, zamiast zużytkowywać swe stosunki w Washingtonie dla błahych celów zechcieli za-

żądać od rządu zastosowania opieki prawnej dla pracujących na ostrygach, to oddaliby tem rzeczywiście przysługę polskiemu społeczeństwu.

Niechaj by rząd bodaj zmusił do poszanowania prawa o pracy małoletnich i obowiązku uczęszczania do szkoły, a kadry wyjeżdżających na ostrygi zmniejszą się samą siłą tych rygorów. Rodzice nie rozliczając na pomoc swych małoletnich dzieci skierują swe usiłowania gdzieindziej, chroniąc równocześnie swe potomstwo przed złym przykładem i demoralizacją panującą przy pracy na ostrygach.

Na jakie tu narażeni są bezprawia, świadczy to co spotkało przed paru tygodniami F. Steibera, naszego czytelnika.

Na zasadzie otrzymanego kontraktu miał on zapewnić bezpłatny przejazd i pracę dla żony na dniówkę.

“Zona pracując od sztuki—opowiada p. Steiber, przy największym wysiłku i zdolności do tej roboty zarabiała 30—50c. dziennie, ja nie wiele co więcej. Wreszcie wysłano mię na połów. Gdy przez pierwsze 8 dni zarobiłem \$12.00, zabrała mi kompania większą połowę tej sumy na pokrycie przejazdu, za który nie miałem płacić. Na następnym polowie zarobiłem \$8.00, z czego potrącono mi na ten sam cel \$6.00.

Zamiast jechać po raz trzeci, udałem się do New Orleans, gdzie znalazłszy pracę przy czyszczeniu pulmanowskich wagonów powróciłem w towarzystwie dwóch Polaków, by zabrać żonę z dzieckiem.

Kiedy z rzeczami znaleźliśmy się na stacyi, zjawił się policyjant z rewolwerem w ręku i zażądał pod groźbę strzelania, ażebym poszedł na “kort.” Wraz ze mną

przyaresztował mych przyjaciół i żonę, której nie pozwolił nawet ubrać dziecka, w tej chwili rozebranego.

Miało to miejsce w południe, sprawę naszą miano sądzić w wieczór, a tymczasem siedzieliśmy za kratami. Sprawy nie było, zatrzymano nas do następnego rana, a wtedy zjawił się superintendent kompanii, który szydząc z nas zażądał powrotu do pracy. Gdy mu oświadczyłem, iż wolę być uwięziony niż u niego pracować, wypuszczono nas na wolność.

Jakiś znany amerykański adwokat wystąpił za naszą krzywdę z procesem przeciw kompanii."

Ile podobnych gwałtów ma tu miejsce rok rocznie i uchodzą one możliwym bezkarnie.

Za 10 dni rozpoczyna się w New Orleans tak zwany "Mardi Gras" to jest ostatki karnawałowe, obchodzone tu na ulicy przez dni kilka z wielką uroczystością.

Podobno pod względem bogactwa, i oryginalności strojów maskowych i wspaniale udekorowanych pojazdów prześcignął New Orleans wszystkie inne tego rodzaju obchody.

W ciągu tych kilku dni mieszkańcy świętują, a miliony idą: na stroje, kwiaty i iluminacje.

Czas jednak nagli, czekać dłużej nie mogę. Jadę do Texas.

Koleją Southern - Pacific jechałem do Houston, Tex.

Na przestrzeni pierwszych kilkudziesięciu mil widzi się poprzednio opisane plantacje trzciny cukrowej i ryżowe, a dalej lasy, które w miarę posuwania się ku

zachodowi są coraz to bujniejsze, bogate w starodrzew.

Piękną tu spotyka się odmianę tak zwanej białej sosny, o pniu stosunkowo cienkim, za to smukłym i bardzo wysokim.

Miejscami lasy przerzedzone, znak to niezawodny, iż w pobliżu znajduje się tartak jeszcze czynny, lub opuszczony, który dokonawszy dzieła zniszczenia zostawił jako znak swej gospodarki budynek, a obok niego olbrzymią kupę trocin.

Czem dalej ku zachodowi, tem częściej lasy ustępują chwilowo miejsca stepom mało urodzajnym, przeznaczonym na pastwiska. Tylko w pobliżu rzek znajdują się plantacje ryżu.

W okolicy Beaumont olbrzymie przestrzenie zajmują pola naftowe. Dobywaną z szybów ropę prowadzą rury do Houston.

W pobliżu Houstonu mimo piaszczysto kamienistej gleby farm dużo. Prowadzą one mleczne gospodarstwo, a na zróżnicowanych polach uprawiają warzywa.

HOUSTON, TEX.

Miasto Houston liczące z przedmieściami około 100,000 mieszkańców uważane jest za stolicę Texasu.

Wzrost jego zwłaszcza w ostatnich czasach jest szybki, a widoki na przyszłość dobre, o czem świadczą niebawem ceny placów.

W handlowej części ulicy Main za stopę frontu płaci się obecnie \$5,000, nieco dalej za lotę dziesięć do pię-



Antonina Król, Houston, Tex.

nastu tysięcy dolarów; w dzielnicy rezydencyjnej także lota kosztuje trzy do pięciu tysięcy dolarów, mimo że

placów nie zabudowanych, na których pasą się krowy, jest jeszcze dużo.

O kilka mil od centrum miasta ku wschodowi za lotę czystego pola lub lasu żądają \$500.

Za mieszkania w bliższych, uprzywilejowanych, dzielnicach, składające się z kilku pokoiów zapłacić trzeba \$35—50 miesięcznie. W dzielnicach zamieszkałych przez klasę robotczą lokale są tańsze, w każdym razie dzierżawa niewielkiego domku wynosi \$15—20. Artykuły żywności nie są tu drogie, zwłaszcza nabiał i jarzyny.

W mieście znajduje się około 100 różnych fabryk, oprócz jednak papierni są to przeważnie małe zakłady.

Fabryki do opalania kotłów używają ropę naftową.

Bezrobotnych rzadko się tu spotyka i to prawie wyłącznie Meksykańczyków, którzy wykonują najcięższe prace i traktowani są na równi z czarnymi.

Ostatni, stanowiący $\frac{1}{4}$ część ogólnej ludności Houstonu znajdują służbę u białych.

Handel miejscowy trzymają w swych rękach Żydzi i Niemcy, zwłaszcza pierwsi posiadają poważne interesy. Żydów milionerów można liczyć w Houstonie na tuziny.

Woda na potrzeby mieszkańców sprowadzana jest ze źródeł o 25 mil odległych i tą posiadają tylko mieszkańcy śródmieścia. Zamieszkali na odleglejszych ulicach i przedmieściach zadowalniać się muszą deszczówką. Woda deszczowa nawet przy najstaranniejszym czyszczeniu cystern zawiera w lecie miliardy czernionych robaczków. Należy ją przed użyciem przecedzić, przegotować i w lodowni ochłodzić. Biada temu, kogoby na kawałek lodu nie było stać.

Miejscami można dokopać się wody, ale jest ona nie
smaczna zawiera zbyt dużo soli mineralnych, zaś z



Autorka Marya Mańkowska, Houston, Tex.

izki czerpać nie podobna, wobec pływającej na niej
ropy naftowej.

Wychowawszy swe dwie córki na dobre Polki i dawszy im wykształcenie, wydała starszą Annę za Dra A. Zielińskiego, młodszą Maryę za p. Mańkowskiego.

Zacna ta matrona czuwa dzisiaj, by następne pokolenie nie zatraciło ojczyściej mowy, to też miała jej w tem zasługa jeżeli wnuki wyrażają się dość poprawnie po polsku.

Miała 80-cioletnia dziś staruszka obraca dochody długoletnich swych oszczędności na cele dobroczynne i religijne, a robi to cicho, bez rozgłosu.

MARYA MANKOWSKA

córka p. Król, a żona niniejszego kupca i przemysłowca p. Mańkowskiego przyswoiła tutejszej literaturze dwa znakomite dzieła naszych polskich pisarzy, tłumacząc na język angielski "Faraona" B. Prusa i "Dziesięć lat na Sybryi" J. Jasińczyka. Obydwa te dzieła w znacznej ilości egzemplarzy wydała firma The Abbey Press w New Yorku.

S. E. J. MANKOWSKI

przybył do Ameryki 1883, a zamieszkałszy w New Yorku brał czynny udział w życiu ówczesnej Polonii. Był on jednym z założycieli i organizatorem największego polskiego towarzystwa A. Mickiewicza.

Przybywszy przed 18-tu laty do Houston, gdzie wkrótce pojął za małżonkę pannę Maryę Król, pracą, oszczędnością, a zwłaszcza szczęśliwemi spekulacyami na ziemi i lotach dorobił się p. Mańkowski krociowej fortuny, którą powiększa w dalszym ciągu.

Dom pp. Mańkowskich stoi zawsze otworem dla polskiej inteligencji.



Dr. Stefan Wagner-Mieczkowski, Houston, Tex.

Marcin Strycharski, urodzony we Wrześni (Ks. Poznańskie), mając zaledwie 16 lat, zaciągnął się do szeregów powstania i jako kosynier walczył w szeregach Taczanowskiego.

Powróciwszy po rozbiciu oddziału w rodzinne strony ożenił się z Maryanną Mikołajczak.

W roku 1873 przybyło młode małżeństwo do Houstonu, gdzie mieszkając stale dorobili się fortuny.

Z dwanaściorga dzieci pp. Strycharskich pozostała przy życiu jedna tylko córka, która nie znalazłszy Pełaka na męża wyszła za Niemca.

DR. S. WAGNER MIECZKOWSKI.

Dr. Stefan Wagner Mieczkowski urodził się w Belencinie, (Ks. Poznańskie), gdzie pobierał początkowe nauki a następnie ukończył gimnazyum w Lesznie.

Wzięty do wojska, przesłużył rok w czarnych huzarach, zaś wkrótce potem 1876 przybył do Texas.

Pierwszy rok pracował jako nauczyciel, później był subjektem aptecznym w St. Antonio, a następnie, dobrawszy sobie odważnego towarzysza F. Lisińskiego jeździł po Texasie wozem naładowanym środkami lekarskimi.

W owe czasy takie podróże należały do bardzo niebezpiecznych, trzeba było mieć wciąż pod ręką nabite karabiny.

Zrobiwszy na tem handlu sporo grosza, wstąpił młody jeszcze Mieczkowski na uniwersytet w St. Louis, który ukończył ze stopniem doktora medycyny.

Jako lekarz mieszkał Dr. Mieczkowski 2 lata w Belleville, tyleż w New Waverley, 6 lat w Bremond, wreszcie



E. Górski, Houston, Tex.

osiadł w Houstonie, gdzie jako doktor ma ustaloną opinię, a jako człowiek ogólnie jest szanowany.

Kieszonki doktora jest zawsze otwarta dla potrzebujących pomocy rodaków, równocześnie jednak pokaże on bez ceremonii drzwi takiemu, któryby, nie chcąc

pracować, odwoływał się do ofiarności. Nienawidzi on łapichłopów i t. zw. ptaków niebieskich.

Dr. Mieczkowski włada czystą polszczyzną i chętnie szuka towarzystwa swoich, nie bacząc na ich pozycję i stan majątkowy.

Ludwik Mieczkowski, syn doktora, ukończywszy wydział inżynierski uniwersytetu w Austin, Tex., został mianowany asystentem tegoż uniwersytetu, gdzie prowadzi laboratorium chemiczno-fizyczne.

E. GORSKI,

Ob. E. Górski przybył do Ameryki w roku 1880, a przebywszy lat 6 w Baltimore, przeniósł się do Houston, gdzie mieszka po dzień dzisiejszy.

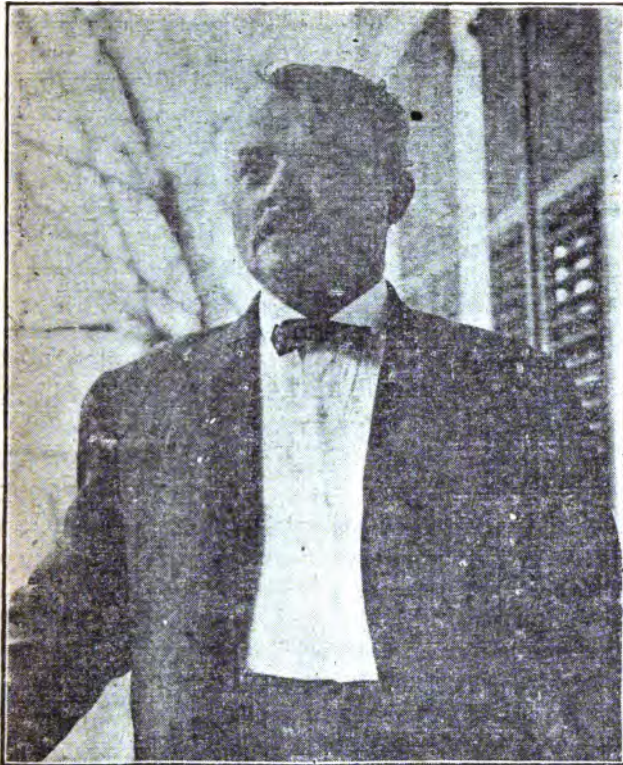
Przez cały czas pobytu tutaj p. Górski był zaufanym współpracownikiem p. Mańkowskiego i na tem stanowisku jako człowiek samotny dorobił się sporego majątku.

TOMASZ SKORUPSKI.

Przybył do r. Ameryki 1882, a w Houstonie mieszka już lat 25.

Dorobiwszy się w pierwszych latach na reperacji obuwia, otworzył sklep, który po 9-cio letniej egzystencji musiał zwinąć, straciwszy wszystko.

Obecnie prowadzi on zakład reperacji obuwia, na którym dorabia się ponownie. "Gdybym był zamiast bawić się w kupca — mówi p. Skorupski — pilnował swego fachu, nie potrzebował bym już dzisiaj pracować."



T. Skorupski, Houston, Tex.

S. SAWKA.

Acz dopiero od lat 15 mieszka tu p. Sawka, nie moge
go jednak pominąć.

Sympatyczny to i rzadko uczynny człowiek, a cho-

ciąż jest on sam na dorobku spieszy zawsze z pomocą potrzebującym Polakom.

W cz. się mej krótkiej tu bytności dopomógł on dwom, którzy chwilowo w krytycznem bardzo znajdowali się położeniu, a zrobił to nieproszony.

P. Sawka, szewc z profesyi, ma zakład reperacyjny przy Houston & V.

Oprócz wyżej wymienionych jest tu dużo dawniej osiadłych rodzin polskich jako to: Chełmińscy, Pruchniccy, Górni, Zielińscy, Kronenbergowie i inni.

Niedawno przybyły do Houston p. T. Von Stengel (Sulimierski) zamierza z amerykańskimi kapitalistami eksploatować swój wynalazek, polegający na hermetycznem i zarazem automatycznem zamknięciu beczek przeznaczonych dla podlegających łatwemu psuciu się konserw.

Polskich interesów handlowych w Houstonie jest zaledwie kilka, a mianowicie: sklep spożywczy przy ul. Washington, salon A. Gołasińskiego, trzy zakłady reperacji obuwia, wreszcie Ukrainiec, M. Bałaban prowadzi tak zwany 'Oyster Parlor,' a przy nim restaurację. Sympatyczny i inteligentny ten młody człowiek dobrem jedzeniem i wzorową czystością swego zakładu zjednywa sobie klientelę wśród Amerykanów.

NEW WAVERLY, TEX.

Na przestrzeni pomiędzy Houston a New Waverly, wynoszącej 60 mil, ziemie są piaszczyste, pokryte lasem, w którym króluje sosna.



**Pan S. Sawka, prenumeratorem i agentem "Ameryki-Echa"
w Houston, Tex.**

Kilkanaście tartaków, nie zbyt od siebie odległych, pracuje nieustannie, przerabiając starodrzew na bu-
dulec.

W ładnym położeniu, rozrzucone są dość dużej

przestrzeni, leży miasteczko New Waverly, liczące około 100 domów, a 1,000 mieszkańców.

Jest tu kilka interesów handlowych amerykańskich i dwa sklepy polskie: Tomasza & Jana Bukowskich i A. Kmieciaka, obydwaj dobrze zaopatrzone w towar kolonialny, bławatny i narzędzia rolnicze.

Nie opodal kościoła J. Hildebrand, jeden z dawniej osiadłych tu Polaków posiada zakład kowalski, zaopatrzone w najnowsze maszyny i urządzenia.

Sprzedaż trunków w mieście jest wzbroniona, pragnący a toli wypić potrzebuje przespacerować się tylko milę drogi do sąsiedniego powiatu Montgomer, a znajdzie tam dobrze zaopatrzone salun polski.

Kolonia polska w New Waverly należy do najstarszych, jest ona kolebką polskiej w tych stronach kolonizacji.

Tu rozpoczęła swą karierę w pierwszych czasach wielu Polaków, którzy w poszukiwaniu lepszej ziemi lub interesów przenieśli się następnie do: Anderson, Erenham i Bremond.

Najstarszym z żyjących po dziś dzień tutejszych osadników jest W. Wyrębkowski.

Urodzony pod Szubinem (Ks. Poznańskie) przybył tu wraz z rodzicami jako młody chłopiec w roku 1864.

Mieszkało w owe czasy w okolicach New Waverly kilku obszarników amerykańskich, którzy z pomocą gromady Murzynów obrabiali grunta i hodowali bydło.

Większość czarnych pracowników nie wiedziała jeszcze o przyznanej im wolności, inni nie chcieli w to wierzyć, a wszyscy razem służyli swym panom w dawnej od nich zależności.

Rodzina Wyrybkowskich pracowała początkowo u Amerykanów w charakterze najemników, a następnie kupiła na spłatę 150 akrów wyniszczonej już ziemi, będącej obecnie w posiadaniu syna Wawrzyńca.



Biblioteka Carnegiego, Houston, Tex.

Właściwie on sam wraz ze starszymi synami pracuje w tartaku, zaś gospodarzą młodsze dzieci.

W kilka lat później przybyli do New Waverly: Dąbrowski, Fosse, Hubowski, Kochanowicz, Lewandowski, Ciesielski, Chlebowski, bracia Grzegorek, Pawlak, Pałuka, bracia Bochnia, Łukaszewicz, bracia Belinowscy i inni. Zaś pomiędzy 1873 a 1881 rokiem polską kolonię powiększyli liczni nowi przybysze.

Obecnie mieszka tu 125 rodzin.

Polacy osiedlili się w promieniu 3 — 5 mil od miasta, a cała ta przestrzeń prawie wyłącznie w ich znajduje się posiadaniu.

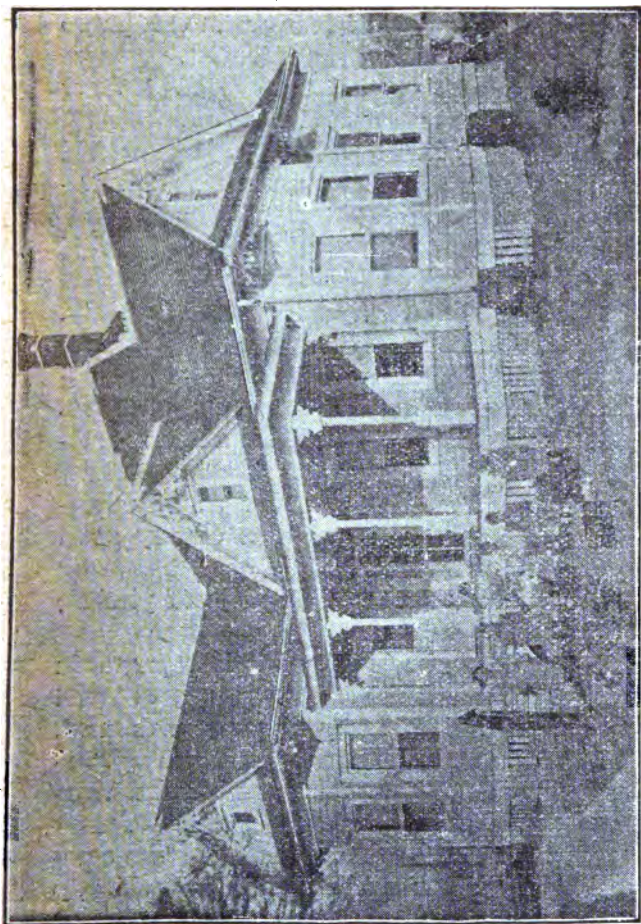
Podobno o kilka mil dalej ku zachodowi jest dużo nie tkniętej jeszcze dobrej ziemi, nasi jednak, radzi żyć bliżej swoich, nie mają chęci osiedlać się tam.

Różnej wartości glebę spotyka się w tej okolicy. Jest tu czarnoziem, mogący rodzić długie lata bez nawozu i są grunta lżejsze, popielate, są wreszcie i wyniszczone długoletnią uprawą przez Amerykanów, a następnie Polaków. Rodziły by i ostatnie dobrze zasłone odrobiną mierzwy, o nawożeniu nikt tu jednak dotąd nie myśli.



Ul. Main od Rusk av., Houston, Tex.

Większa część ziemi znajdującej się w polskich re-
kach jest już wypłacona. Nowi przybysze wydierza-
wiają farmy od dawniej osiadłych, płacąc \$2 — \$3.00



Rezydencya T. Bukowskiego w Now Waverly, Tex.

od akra roli będącej pod pługiem. Jeżeli dzierżawca wykarczy pewną ilość lasu i uprawi, to ma prawo korzystać z niej bezpłatnie w ciągu kilku lat.

Zbiory w ostatnich dwóch latach (1907.- 1908) w tych stronach Teksasu nie dopisały.

Deszcze niszczyły kwiat bawełny, a idące w ślad za nimi robaki szerzyły dalsze spustoszenia na plantacjach.

W zwykłych latach akier ziemi daje tu $\frac{1}{2}$ do $\frac{3}{4}$ beli bawełny i 40 — 60 buszli kukurydzy.

Ale i w złych czasach farmer nie zaznał tu biedy. Gdy nie dopisują ziemioplody zwraca on większą uwagę na gospodarstwo domowe, które zaspokoi jego potrzeby, zaś bawełna da zawsze tyle, by starczyło na kupno tego, czego sam wyprodukować nie jest w stanie.

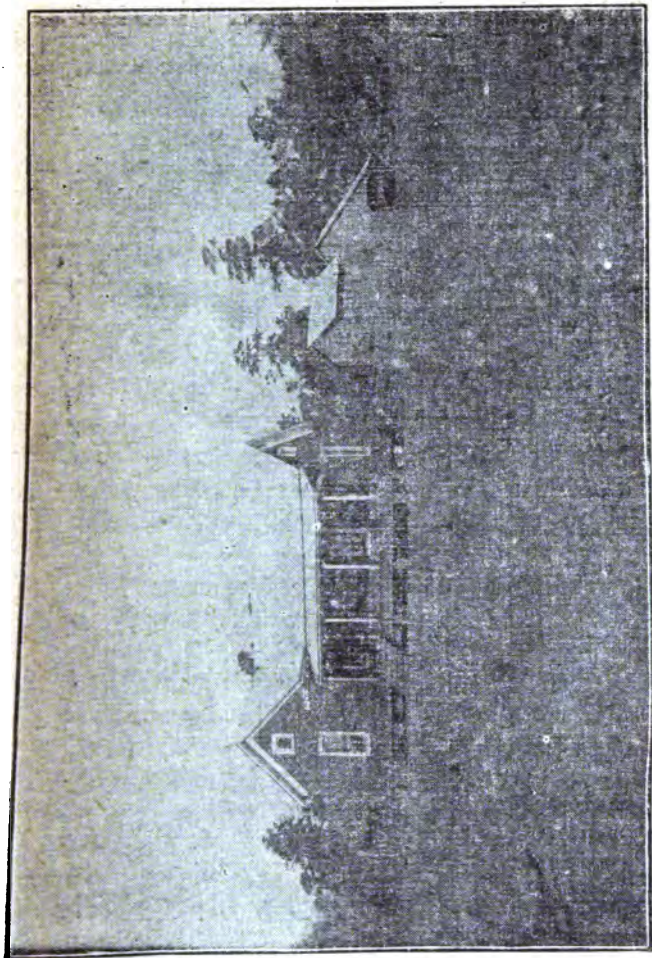
Z małym wyjątkiem Polacy w New Waverly dorobili się. Jedni posiadają znaczniejsze obszary ziemi już wyplaconej, inni gotówki.

Za akier ziemi stosownie do jej wydajności płaci się \$10 — 35.

Największy obszar, bo 662 akry i to dobrego gruntu ma w swych rękach Adam Kmieciak przybyły tu przed 23 lata z Galicyi. Nie licząc posiadanej przestrzeni, dał on 100 akrów w posagu córce, a dla dwóch najstarszych swych synów otworzył sklep w miasteczku. Wartość majątku p. Kmiecika obliczają na \$18,000.

Bracia Tomasz i Jan Bukowscy ludzie bardzo sympatyczni i gościnni posiadają bogaty w towar sklep, o którym już wspominałem, dwa domy rezydencyjne w mieście, a o milę jedną z najlepszych farm w okolicy.

Julian Kmieciak posiada tuż przy stacyi kolejowej



Farma braci Bukowskich w Now Wawerzy, Tex.

200 akrów wyborowej ziemi, liczny inwentarz, a w kieszeni sporo grosiwa.

Józef Grzegorek jest jednym z zamożniejszych gospodarzy w New Waverly i jednym z najstarszych osadników.

Ma on 250 akrów dobrej roli, którą obrabia przy pomocy jedenaściorga dorosłych i dorastających dzieci.

Przy dzieciach mieszka sympatyczna ich matka, Franciszka Grzegorek, która mimo 80 lat wieku rzeźka jest jeszcze i pamięta dobrze przeżyte czasy.

Połowa zamieszkałych w New Waverly Polaków pochodzi z pod zaboru pruskiego, druga z Galicji. Z Królestwa nie spotkałem tu nikogo.

O ile młodzież tutejsza pod względem przyzwoitego obejścia i obyczajności mogła by służyć za wzór swym rówieśnikom na północy, o tyle nie zbyt chętnie mówi po polsku.

Dużo w tem winy ojców rodzin, którzy acz sami nie zbyt poprawnie wyrażają się po angielsku, używają tego języka w otoczeniu rodziny.

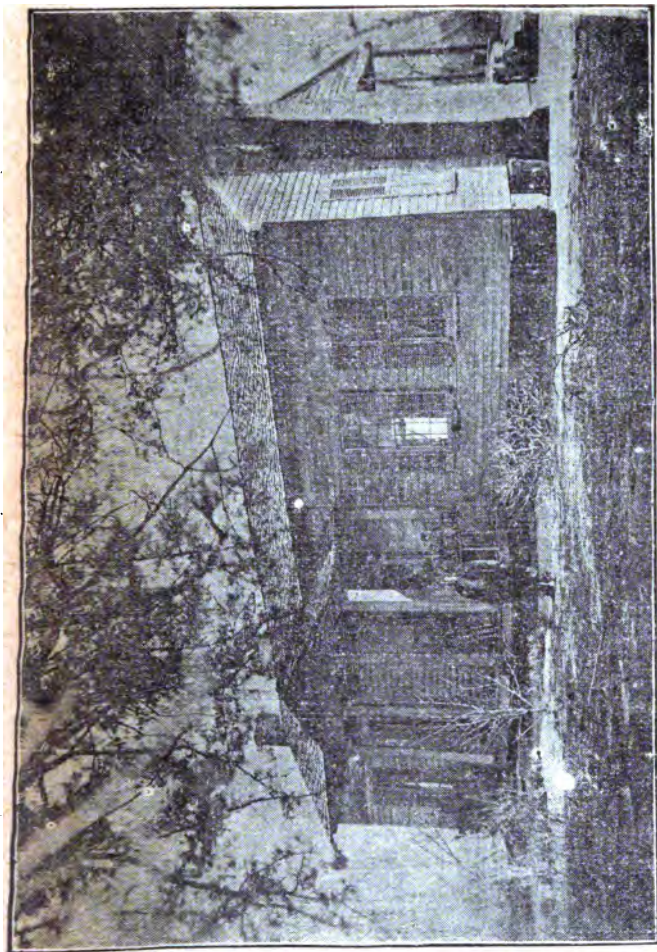
Jeżeli do New Waverly nie napłynie w większej ilości świeża imigracja, to trzecie pokolenie mówić już po polsku nie będzie.

Już w 1875 roku stanął tu kościół polski, obecnie zamieniony na szkołę.

Nową świątynię, kosztem \$10,000, wybudowali parafianie w roku 1896.

Od 7-iu lat proboszczem jest Ks. Aloizy Biały Czech władający polskim językiem.

Podczas mej tu bytności proboszcz był nieobecny, bawił na kuracji w Galveston.



Zagroda J. Górnego w New Waverly, Tex., ojca 18gadzieci.

W pobliżu New Waverly pracują dwa tartaki zatrudniające z górą 1,000 ludzi.

Robotnicy, stosownie do uzdolnienia zarabiają \$1.50 — \$2.50 dziennie — cieśle otrzymują \$3 do \$3.50.

GALVESTON, TEX.

Na przestrzeni pomiędzy Houston i Galveston pół obrobionych spotyka się stosunkowo mało, lasów niewiele, a na równinach bujną porośłą trawą pasą się liczne stada bydła i kóz.

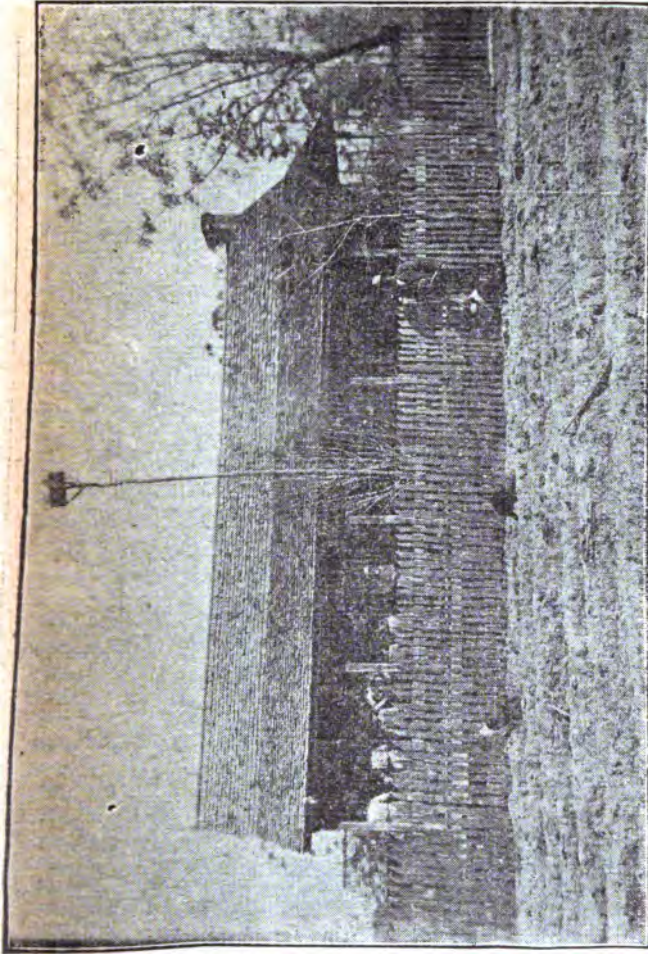
Galveston sięgający swą egzystencją zaledwie pół wieku liczy obecnie około 50,000 mieszkańców, w tem 6,000 czarnych.

Tyleż ludności miało już miasto w roku 1900 kiedy zostało nawiedzone straszną katastrofą. Szalony cyklon zniósł setki domów, grzebiąc pod gruzami ich mieszkańców. Wynikłe równocześnie pożary szerzyły dalsze straszne spustoszenie, wreszcie wzburzone fale morskie, wystąpiwszy z brzegów dokonały rzeszty.

Cała zachodnia część miasta znikła z powierzchni ziemi w ciągu kilku godzin, a 17,000 ludzi znalazło straszną śmierć w gruzach, ogniu i wodzie.

Ciała ofiar, których nie można było nadażyć grzebać spalono na stosach — kości męczenników spoczywają w głębinach morskich.

Miejsce tej rzadkiej w dziejach świata katastrofy, na które morze naniosło grubą warstwę piasku jest już



Zagroda Józefa Grzegorka w New Waverly, Tex.

dzisiaj zabudowane, brak tylko jeszcze na niem roślinności. Wyspa, na której rozłożył się Galveston, długa na 33 mile, szerokości 2 mil łączy się z kontynentem jednym jedynym mostem kolejowym długości $1\frac{3}{4}$ mili.

Właściwie jest to nieśkończenie długi szereg pali wbitych w dno morskie, a na nich leżą podkłady. Szyn kolejowe, biegnące na wysokości zaledwie kilku stóp po nad powierzchnią morza, zmywają fale w czasie burzy.

Takich mostów, z których jeden przeznaczony był dla wozów i pieszych, było tu kilka, ale cyklon zmiotł je.

Dzisiaj z Galveston nie można wydostać się inaczej jak koleją lub statkiem. Ma to tą dobrą stronę, iż rzadko kiedy przestępca zdoła wymknąć się z rąk sprawiedliwości.

Aleby zabezpieczyć na przyszłość miasto przed wylewem budują tu bulwark, który dzisiaj okala już część miasta na przestrzeni 8 mil, a dalsze roboty prowadzone są szybko.

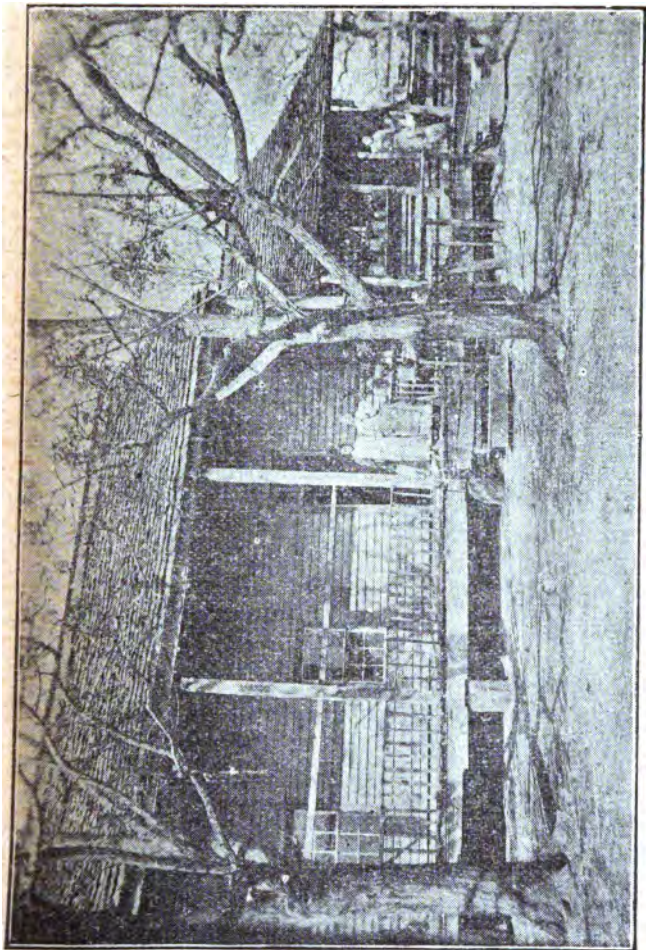
Brzeg bulwarku stanowi prawie prostopadłą ścianą cementową, kilkanaście stóp wysoka, a u jej podnóża leżą nagromadzone głazy granitowe, o które odbijają się morskie bałwany w czasie przyływu.

Widok stąd na pełne morze wspaniały.

Galveston jak na portowe miasto jest czysty, a to dzięki przepuszczalnemu, piaszczystemu gruntowi.

Powietrze tu nadzwyczaj zdrowe. Upały, ze względu na wiatry morskie nie dają się odczuwać. Najwyższa temperatura nie przechodzi 96° , to też wyspa ta jest znakomitą stacją klimatyczną południa.

W czasie letnich miesięcy ludno tu i gwarno, hotele



Najstarszy Dom Polski w New Waverly, Tex. Zagroda Jana Grzegorka.

stojące nad morzem przepelnione są zamożnymi gośćmi.

Dzieci, których mogły by się swobodnie bawić na morskiem wybrzeżu setki tysięcy, nie przeszkadzają sobie wzajemnie, mają tu raj prawdziwy. Fale dostarczają im mnóstwo coraz to nowych niespodzianek pod postacią różnych muszel i wodnych porostów.

Najpryncypalniejszą ulicą Galvestonu jest Market, zwłszcza na przestrzeni pomiędzy 18 a 25, gdzie dużo spotyka się bogatych sklepów. Koleje, portowe składy i hurtowe magazyny importowanych towarów koncentrują się na zachodniej stronie miasta.

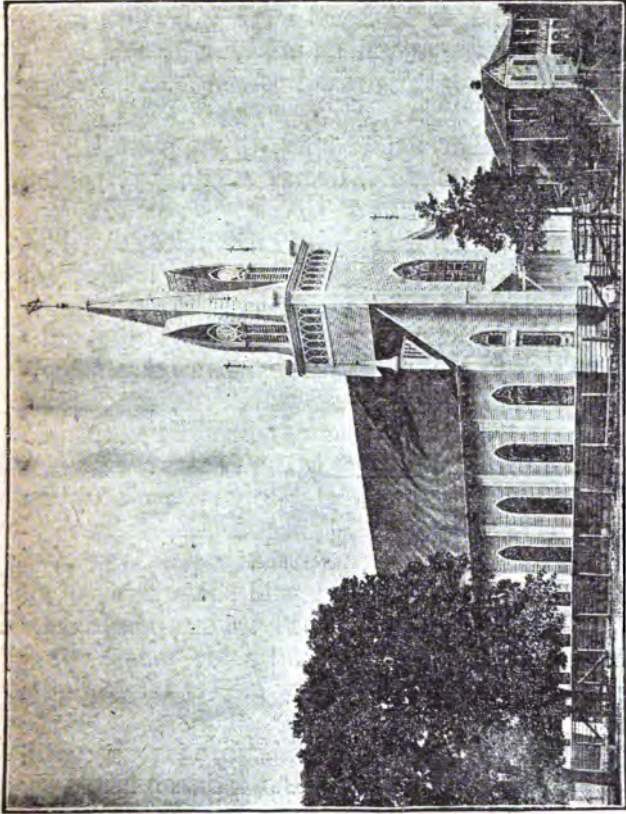
W krótkim czasie wyspa ma być połączona ze stałym lądem mostem, przez który kursować będą tramwaje w stronę Houston, a nadto, kosztem 5 milionów stanie nowa przystań wraz z centralną stacją kolejową.

Liczbę Polaków w Galveston podają na 15 rodzin i około 100 samotnych. Fabryk tu niema, rodacy pracują przeważnie w porcie przy ładowaniu i wyladowywaniu okrętów. W czasie ożywionej żeglugi robotnik zarobić tu może \$18 — 25 tygodniowo, ale czas takich żniw bywa krótki. Obecnie i wogóle większą część roku robotnik zajęty jest 2 — 3 dni w tygodniu, zarabia \$6 — 10.

Ażeby dostać robotę, Polacy zmuszeni są uciekać się do pośrednictwa niejakiego Ajka, Żyda.

Pijawka ta ściąga z robotnika przy każdorazowym otrzymaniu pracy duży haracz.

Wogóle Galveston jest dla Polaków krótszym lub dłuższym etapem. Zatrzymują się tu ludzie bądź będący bez środków dla odbycia dalszej podróży, bądź niezdecydowani gdzie by na stałe osiedlić się.



Kościół i plebania w New Waverly, Tex.

Brak stałej pracy, niepewne jutro, wreszcie duża ilość swobodnego czasu wpływają na to, że poważną część zarobków pozostawiają Polacy w salunach.

Pożądaniem było by bardzo, ażeby na tym etapie jaknajmniej zatrzymywali się polscy imigranci.

Czesi i Morawcy mają w Galvestonie kilka interesów handlowych.

Przy narożniku ulic 18 i Av. C. ma salun bardzo sympatyczny byznysista, dobrze mówiący po polsku, p. J. Thiem.

Miałem tu zdarzenie świadczące, że młodzież galwe- stońska przerosła pod względem przyzwoitości swych braci z północy.

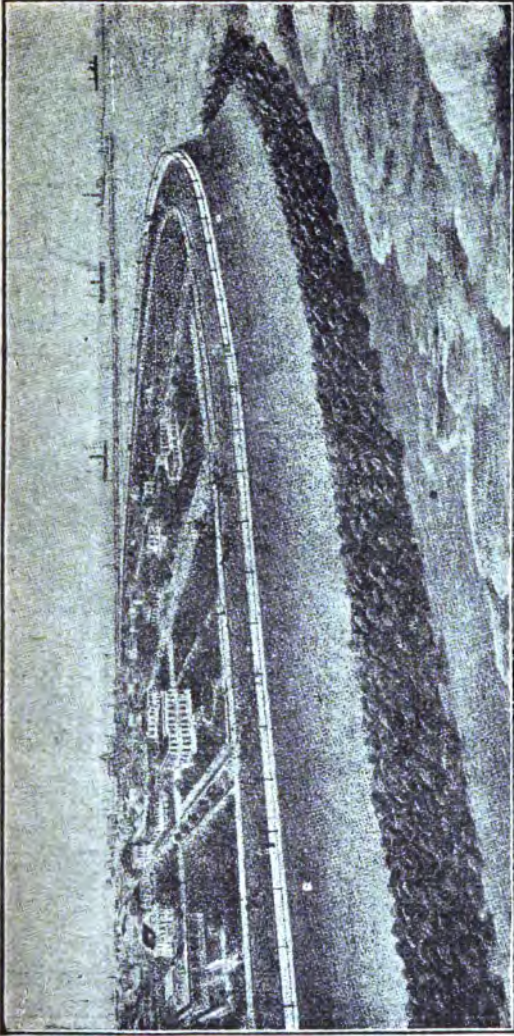
W ostatni wtorek karnawału przez ulicę Market przesuwaly się tłumy, a wśród nich mnóstwo zamaskowa- nych. Czarni przebierali się za białych, ostatni ma- lowali ręce i twarze na czarno, po za tem jednak nie brak było dowcipnych i oryginalnych domin.

Kiedy wszedłem pomiędzy wesoly rozbawiony tłum przyczepił się do mnie jakiś przebrany za błazna mę- czyzna i wziął za cel swych żartów.

Długi czas przyjmowałem pobieżliwie robione mi figle, gdy jednak trwało to nazbyt długo poprosiwszy grzecznie mego prześladowcę, by mię pozostawił w spokoju wsunąłem się pomiędzy stojącą na chodniku grupę młodzieży.

Ale i tam wciąnął się za mną błazen, a jego zaczepki stały się tak natarczywe i niesmaczne, że zmuszony byłem go od siebie odepchnąć.

Rozgniewany rzucił się ku mnie i kto wie czy nie był bym zmuszony bronić się gdyby nie interwencya ota- czającej młodzieży. Stanąwszy po mej stronie zdarli



Grobla nadmorska, Galveston, Tex.

memu na pastnikowi maskę z twarzy, skopawszy, wyrzucili na środek ulicy, a mnie przeprosili za doznana nieprzyjemność.

Na wschodniej stronie zatoki Trinity Bay w miejscowości Annaul micszka na farmie 10 rodzin polskich, dobrze podobno zagospodarowanych. Statkami, które kursują co kilka dni, przywożą oni do Galveston swe produkta gospodarstwa domowego. Ażeby tam jechać i wrócić, potrzebował bym cały tydzień czasu — na to pozwolić sobie nie mogłem.

• NAVASOTA, TEX.

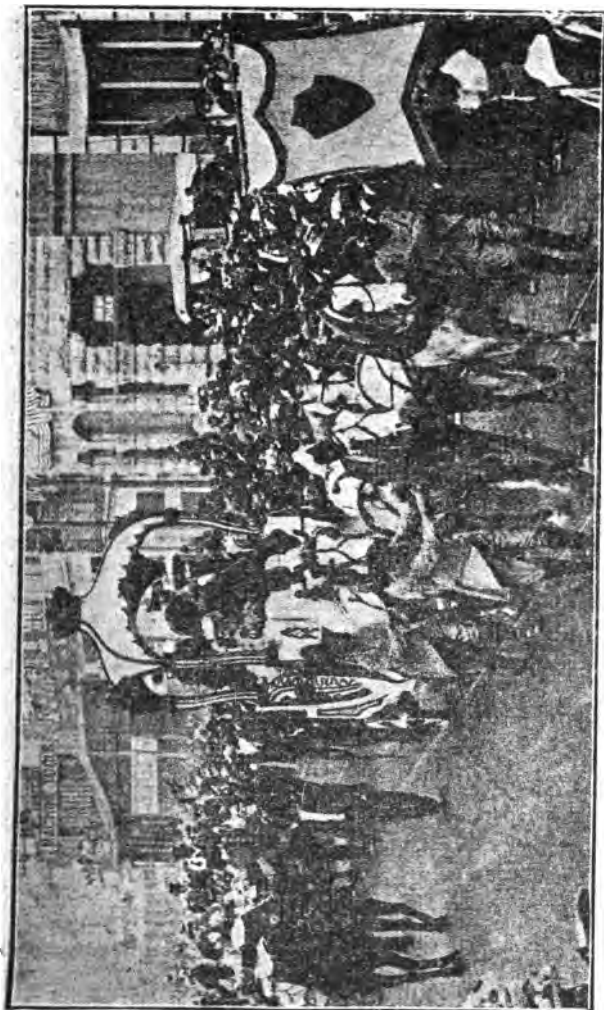
Miasto to liczy około 3,900 mieszkańców, jest punktem zbytu bawełny dla okolicznych polskich farmerów.

Jest tu dosyć duża fabryka przerabiająca nasiona bawełniane na oliwę.

W Navasota mieszka parę polskich rodzin, których jednak nie udało mi się odszukać.

ANDERSON, TEX.

O 11 mil od Navasota oddalony Anderson jest małą smutną miejsciną, mimo że obrał sobie tu swe siedlisko urząd powiatowy.



Karnawał w Galweston, Tex.

Bydło i nierogacizna spaceruje po niebrukowanych ulicach, na naturalnych nie zniwelowanych chodnikach pełno nawozu, a pod murami gmachu powiatowego leżą szukające cienia krowy, pozostawiając obfite ślady swej obecności.

Jedyny polski interes, sklep kolonialny i bławatny, prowadzi tu J. Ciesielski.

Jako mały chłopiec przybył on przed 40 laty do New Waverly, gdzie spędził młodość.

W Anderson mieszka od lat 20-tu.

Sklep założył w 1884 roku. P. Ciesielski posiada 400 akrów gruntu w okolicy.

Polacy zaczęli przybywać do Anderson już przed 40-tu laty.

Najdawniej osiedlili się tu: Koronka, Łaskowski, Chrapecki, Walkowiak, Wieczorek, Piątkowski, Podraza, Bendkowski, Hertmanek.

O 8 — 10 mil bliżej Plantersville zamieszkali: Myszkiewicz, Pawlak, Schmidt, Urbanowski, Ciesielski, Graczyk, Filipiak, Kula i inni.

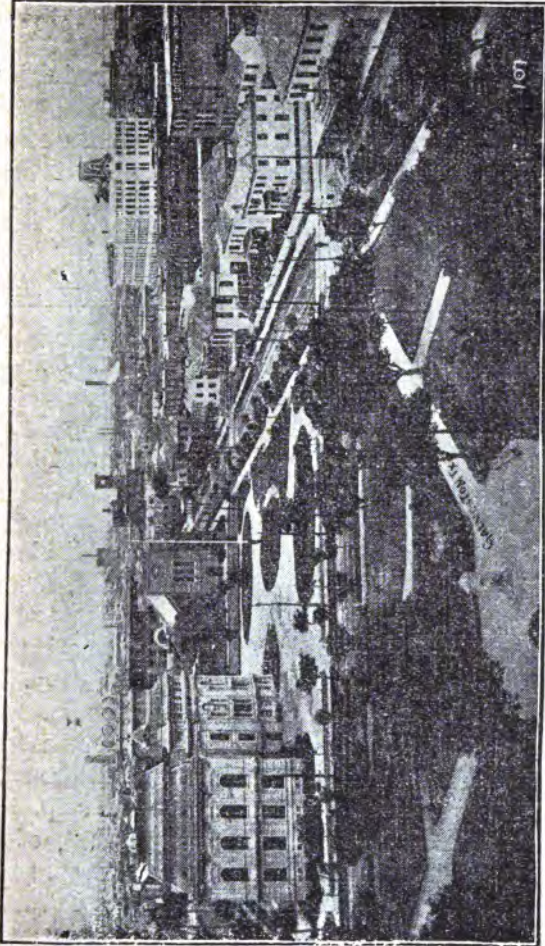
Po 1880 przybyło do Anderson około 100 polskich rodzin, które ulokowały się tu na stałe.

Tutejsza polska parafia, do której należą zamieszkali w okolicy Plantersville liczy obecnie 170 familij.

Ziemia w tych stronach lepszą jest, aniżeli w New Waverly. Czarnoziem przeważa, piaszczystą glebę rzadko się widzi, sosny tu nie spotka.

Zamieszkali w okolicy Anderson Polacy doszli do posiadania większych lub mniejszych obszarów ziemi, natomiast osiedli w pobliżu Plantersville uprawiają po większych części rolę wydzierżawianą.

Nie idzie zatem by ostatnich nie stać było na kupno.



Miasto Galveston, Tex.

Jest nielicznie nimi dużo zasobnych gospodarzy, lecz farmerzy obszarnicy, licząc na znaczne podwyższenie się ceny ziemi, niechętnie jej się wyzbywają.

Są i tacy, którzy zamiast płacić obszarownikowi dzierżawę, wynoszącą \$3.50-4.00 od akra oddają mu $\frac{1}{4}$ część zebranej bawełny i $\frac{1}{3}$ część kukurydzy. Inne ziemio-plody i przychówek należy w całości do dzierżawcy.

Polscy farmerzy zarówno jak i ino narodowcy chętnie uciekają się do pomocy stałego najemnika, płacąc mu \$10 — 15 miesięcznie i utrzymanie.

Przy rąbaniu lasów zarabia robotnik \$1.50 dziennie, zaś od ustawionego sążnia 75c.

Posiadacz największej przestrzeni ziemi w okolicy Anderson jest Polak, Roch Berger.

Ma on 1300 akrów, których wartość obliczają na \$25,000. Przy częściowej sprzedaży osiągnąć by mógł o wiele wyższą cenę.

Akier ziemi wart tu jest \$20 do \$35.

Jest wielu farmerów mających bądź setki akrów przestrzeni, bądź poważniejszą ilość gotówki, a niektórzy jedno i drugie.

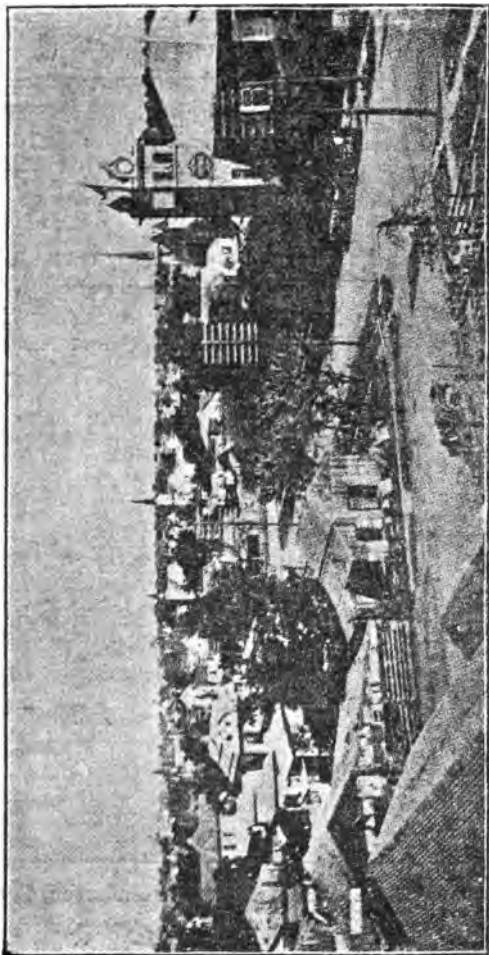
Niektórzy farmerzy posiadają nie sprzedaną bawełnę z lat poprzednich, w oczekiwaniu wyższej ceny.

Osadnicy tutejsi pochodzą przeważnie z Ks. Poznańskiego, rodzin galicyjskich jest zaledwie kilkanaście.

O dobrą wodę do picia nie trudno w tych stronach, dokopać się jej można na głębokości 10 — 70 stóp.

Niemieccy farmerzy, sąsiadujący z polskimi, odnoszą się do ostatnich życzliwie, i liczą się z nimi, zwłaszcza po ostatnich gwałtach dokonanych na Polakach pod zaborem pruskim.

Powodem tej uprzejmości Niemców jest między



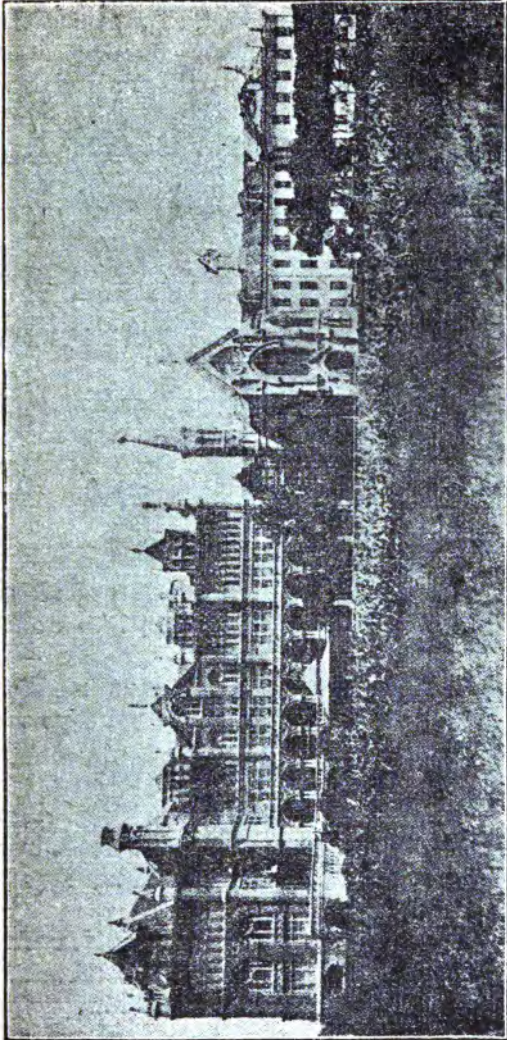
Widok miasta Navasota, Tex. z lotu ptaka.

innemi ta okoliczność, że Amerykanie tutejsi, u których nasi farmerzy wyrobili sobie dobre imię, zżyczywszy



Ks. Piotr Litwora, proboszcz w Anderson, Tex.

swą sympatyę dla Polaków napiętnowali pruskie brutalstwo.



Konwent Urszuliniek, Galveston, Tex.

Jedną z najbardziej zamieszkałych w okolicy Anderson jest Franciszek Hermann. Właściwa po zamknięciu przed kilku laty domu, wraz z którym przybyła tu przed 30 laty.

Ziem wybotowej posiada 125 akrów z niej 100 3/4 pod pługiem.

Samozan Włocławski, przybył z tej strony przed 30 laty posiada 200 akrów z 120 akrami wypłconej ziemi, na której gospodkuje wraz z żoną i trzema dorosłymi dziećmi.

Dom w której mieszka on, Włocławski jest najstarszym w okolicy, ma już lat 60.

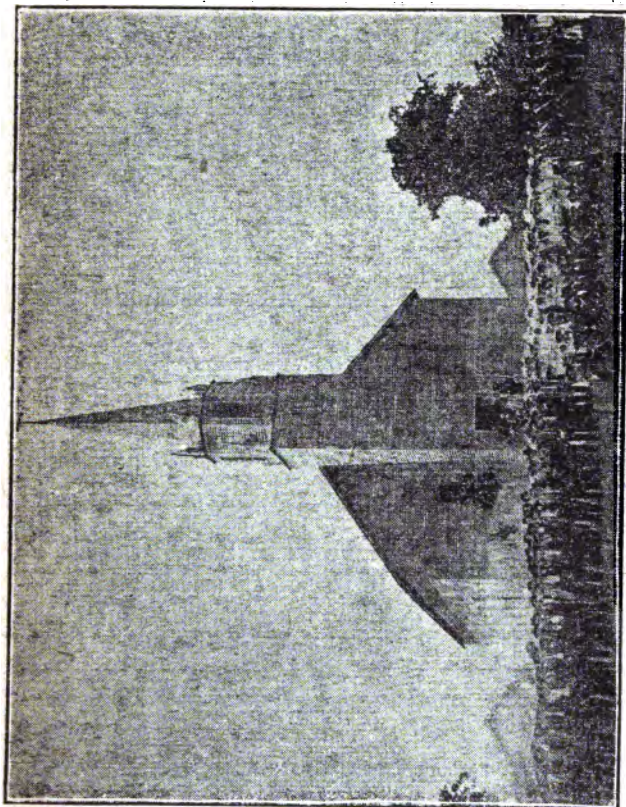
Właśnie najstarsi, nie widać ich w New Waverly, chociaż nie widać go nigdzie, gdyż jednak tamci mają stosunkowo dobrze jeżeli nie tu zamieszkał, mając do czynienia z sobą i żoną, nie mają żadnych przyswoili sobie wyjątki narodził.

Próbowałem przeprowadzić tu od niedawna niejednemu do nie ma spodziewanych rezultatów, ale udało się znaleźć trochę w powieszonych, a to dość znaczące.

Dawny dom, który miał się na niedzieli w "1812" w okolicy, dzisiaj zamieszkały przyszedł po nią do rodziny N. i S. i, które żyją.

Dawny dom, który przyszedł do miasta, a przywrócić go do normalnego stanu, jakiej rodzinnej pracy, nie. Obecnie kilku z nich w zewnątrz siebie składają domki, z których niektórzy widać się szybko, by było nie wyjechało.

Przez ten kraj, który z New Waverly dojeżdża do Anderson, 200 1/2 3/4 Czarnobylski. Najbardziej znany jest w domach Hermanów.



KOŚCIÓŁ SW. SIANISŁAWA W ANICZCOWIE, I. P. K.

Później przybywali tu od czasu do czasu: Ks. Mosiewicz z Martin, ks. A. Łącki z Bryan i ks. Poljanowski z Bremond.

W roku 1888 nabyli Polacy budynek po amerykańskiej szkole i przerobili go na kościół.

W dziesięć lat później przybył do Anderson na stałe ks. F. Prus, staraniem którego stanął obecny kościół.

Obecnym proboszczem jest tu ks. Piotr Litwora.

Urodzony w Dębju kształcił się w Tarnowie, gdzie następnie ukończył seminaryum i otrzymał święcenia kapłańskie.

Polacy zamieszkali w Bremond sprowadzili ks. Litwora swoim kosztem i tam był proboszczem od roku 1888 do 1894.

Przeniesiony następnie do Anderson, pełni tu swe obowiązki po dzień dzisiejszy.

Ks. Litwora chwali swych parafian, a jednak kościół tutejszy jest opuszczony, a budynek plebanijny dużo pozostawia do życzenia.

Była tu dawniej przy kościele polska szkoła parafialna, która przy nauczycielu J. Zaszku dobrze się rozwijała. Od 5-iu lat to jest od śmierci Zaszka z powodu niemożności dostania nauczyciela znającego język angielski, szkoła jest nieczynna.

PLANTESVILLE, TEX.

Jak już wyżej zazaczyłem, Polacy zamieszkali w okolicy Plantevsille należą do andersonskiej parafii. W mieście jest kościół niemiecko-katolicki, a proboszcza

mówi jako tako po polsku, ale nasi zwracają się do niego tylko w nagłych wypadkach.

Jeszcze za panowania Aleksandra I (cesarza rosyjskiego) dużo niemieckich kolonistów, otrzymawszy specjalne od rządu rosyjskiego przywileje, osiadało nad Wolgą.

Kiedy od osadników zażądano podatków i rekruta większość ich opuściła Rosję i jedni przenieśli się do Argentyny inni tutaj osiedli.

CONROE, TEX.

Nie wielka miejscina w większej części przez czarnych zamieszkała wślawiła się ostatnimi czasy zlynczowaniem Murzyna.

Ażebym zebrać odpadki jedzenia wyrzucane na podwórzu jednego z zamożnych mieszkańców wkładał się tam czarny przez okalającą rezydencję sztachety.

Jednego razu spostrzegły go Amerykanki, a podejrzewając Murzyna o zamach na ich cnotę, narobiły hałasu, wydając tym sposobem wyrok śmierci na biedaka.

Bez dowiedzenia winy, jedynie na zasadzie podejrzania powieszono czarnego na najbliższym drzewie w obecności kobiet i dzieci.

Jakie instynkta budzą się w młodym pokoleniu, które patrzy na samowolę i zbrodnie swych ojców?

Amerykanie twierdzą, a za nimi powtarzają Polacy, że rzucanie na czarną rasę postrachu za pomocą linczu jest rzeczą niezbędną konieczności.

Zła ta taktyka nigdy i nigdzie nie dała dodatnich rezultatów.

Strach, obawa przed kszą, niesprawiedliwy jej wymiar, wywołują zawiść i chęć odwetu przy pierwszej zdarzonej okazji.

Jak można wymagać od człowieka poczucia moralności, jeżeli piętnuje go się mianem przestępcy wcześniej, aniżeli zły czyn popełnił, lub popełnił go wogóle.

Co taki ma do stracenia? Co dla takiego ma być bodźcem do zwalczania złych instyktów?

W źle traktowanym czarnuchu tleć musi głębiej ukryta nienawiść dla swych prześladowców.

Gdyby przyszło tą samą miarę sprawiedliwości zastosować do białych, to wielu z nich powinno zawiśnąć na gałęzi.

Nietylko wyzyskują oni negrów jako pracodawcy i kupcy, ale nadto uwodzą ich córki i żony za pomocą pieniędzy i błyskotek.

Jestto taki sam gwałt, dokonany podstępem.

Kto wie czy czarni nie wyzbyli by się wrodzonej im lekkomyślności i jeli produkcyjnej dla przyszłości pracy, gdyby zrównani w prawach widzieli przed sobą jaśniejsze jutro.

Dzisiaj bogaty, czy biedny, uczciwy, czy przestępca, jest zawsze tylko godnym pogardy negrem.

Murzyna należy przedewszystkiem podnieść do godności człowieka, zrównać w przywilejach, a wtedy dopiero społeczeństwo będzie w prawie sądzić zwykłą miarą jego postęпки.

Na pochwałę Polaków dodać należy, że w samosądach dokonywanych na czarnych nie biorą oni udziału



Egzekucya Murzyna, w Comro, Tex.

że jako chlebobdawcy traktują ich dobrze i nie wyży-
skują.

W Conroe i pobliskiej okolicy Polaków niema.

Ktoby przybywszy do Północnej Ameryki rozpoczął
swą podróż od tych stron Texasu, ten nie najlepsze
wyrobił by sobie przekonanie o miejscowej komunika-
cji kolejowej.

Na przebycie przestrzeni pomiędzy New Waverly
a Anderson, wynoszącej koleją 65 mil, a drogą kołową
45 mile zużyłem blisko dwie doby czasu.

Przybywszy z kolonii wieczorem na stację New
Waverly trzeba było czekać pociągu do 2-jej w nocy.

O 1½ zeszło się na peronie kilku pasażerów, uzbrojo-
nych w pęki papieru i od nich dopiero dowiedziałem się,
że służba stacyjna w nocy jest nieczynna, że trzeba za
pomocą palenia gazet dawać sygnały, gdyż inaczej po-
ciąg nie stanie.

Nie mogąc tym sposobem wydobyć jednej ze swych
walizek oddanej na bagaż czekać musiałem na następ-
ny pociąg 13 godzin.

Dostawszy się do Conroe o 4-tej p. p. błędziłem po
miasteczku, lub siedziałem sam jeden w słabo oświetlo-
nej poczekalni do 10 wieczór.

W Navasota, dokąd przybyłem po północy na pociąg
idący do Anderson, oczekiwać było trzeba do następne-
go południa.

Za wydobyć bagażu ze stacyi drogi S-ta Fe i prze-
dostanie go na drugą stronę szyn kolei S. & D. N. wy-
padło zapłacić 75c., inaczej stracił bym znów dzień cza-
su.

Komu czas drogi, a wie jakie czekają go przeprawy, byłoby oszczędniej przejechać tą przestrzeń końmi, gdyby za nie wypadło nawet \$10.00 zapłacić.

BRENHAM, TEX.

Chcąc przyjrzeć się polskiej na farmach gospodarce z Chapel Hill do Brenham jechałem końmi.

Na większej części tej przestrzeni, wynoszącej 13 mil, mieszkają Polacy, dopiero bliżej Brenham spotyka się niemieckich osadników.

Pola dobrze uprawione; mało ziemi odpoczywa; inwentarze, mimo braku w tej porze naturalnej paszy, są w stanie zadawalającym; dobrobyt wyziera ze wsząd.

Brenham, liczące 7,000 mieszkańców, gęsto zabudowane, posiada kilka większych interesów handlowych, jakich nie powstydzilo by się duże miasto.

Jedyny polski interes, sklep spożywczy, ma tu H. Nowakowski.

Jako 15-létni uczeń szkoły O. O. Reformatów w Zerominie (gub. Płocka) zmuszony był w czasie powstania schronić się do Prus, gdzie mieszkając lat kilkanaście nauczył się szewstwa.

Przybywszy do Brenham w 1880 roku z początku gospodarzył na roli, zaś od lat 18-tu prowadzi sklep kolonialny.

Z sympatycznym p. Nowakowskim spędziłem parę godzin na milej gawędzie

Pamięta on dobrze dawne minione czasy, a miejscową kronikę zna dokładnie.

Największy interes handlowy w Brenham posiadają Szwajcarzy, Schmid Bros., w którym we wszystkie artykuły codziennej potrzeby zaopatruje się większa część okolicznych farmerów.

Dla obsługi polskiej klienteli trzymają bracia Schmid dwóch polskich subiektów pp. W. Kasprowicza i W. Józwiaka.

Inna firma H. Grote ma również subiekta Polaka W. Sonnenberga i dzięki temu tylko posiada polską klientelę.

W Brenham są trzy zakłady przemysłowe, a mianowicie: olejarnia, fabryka tkacka i fabryka masła.

Fabryka tkacka, mogąca zatrudniać 500 osób, nie posiada dostatecznej ilości pracowników, a to z powodu niskiej płacy, rzadko przechodzącej \$1.00 dziennie.

Fabrykant obliczał, że na północy dostarczą mu pod dostatkiem sił roboczych miejscowi Polacy. Ale zawiódł się on w swych rachubach. Dzieci zamożnych farmerów tutejszych niechętnie uciekają się do pracy fabrycznej, zwłaszcza, gdy jest ona mało korzystna.

Ważne natomiast oddaje usługi i większe jeszcze odda w przyszłości tutejszemu rolnictwu niedawno założona fabryka masła.

Przyjmuje ona każdą dostarczoną ilość kwaśnej śmietany, na wyrób masła śmietankowego i serów, placąc stosownie do zawartości tłuszczu 18 — 24c. za funt.

Blizsi farmerzy dostarczają śmietanę codziennie, odleglejsi 2 — 3 razy tygodniowo.

Niektórzy, za ten produkt gospodarstwa domowego biorą już \$6 — 8 na tydzień.

Łatwy zbyt na śmietanę i dobra cena zachęcają farmerów do forsowania hodowli bydła i poprawiania rasy a przez noc dojne krowy trzymają on na oborzei Nagromadzony tą drogą rawóz pōjdzie na pola, a choć one go jeszcze dzisiaj bardzo nie potrzebują, z czasem jednak wyjąłowiły by się niezawodnie.

Mimo że w okolicach Brenłam ziemia jest nieco lżejsza, aniżeli w Chapel Hill, cena jej nie o wiele jest niższa, gdyż osiedla się tu dużo Niemców.

Ciągnie ich w te strony dostateczna jeszcze ilość drzewa; oraz łatwość dokopania się dobrej wody. Miejscami spotyka się tu nawet źródła.

Bogate bardzo ziemie znajdują się nad rzeką Brazos, odległą o kilka mil, dają one zadziwiająco plony, o ile jednak nie nastąpi wylew, który niszczy w zupełności zasiewy.

Najstarszymi kolonistami Brenham są: K. i J. Murscy, W. Kasprowicz, A. Kopyciński, M. Kubeczka, W. Przybylski, K. Kendziora, J. Stenczyński, M. Skweres, M. Słowiński, M. i F. Januszewscy, W. Baranowski, J. Bilski, M. Ogradowicz i J. Nowicki. Przybyli oni w te strony po wojnie Francusko-Pruskiej, lub niewiele co później.

„Kto chce pracować — opowiadali mi tutejsi farmerzy — ten nietylko nie zazna biedy, ale i może mniej lub więcej oszczędzić.

Ostatnie dwa lata mieliśmy nieurodzajne, a jednak dobry gospodarz nie odczuł ich zanadto. Mniej się sprzedało bawełny, to za to przychówek był większy.

Jeden z farmerów K. Kendziora, posiadający o ½ mili od miasta 250 akrów przestrzeni, z czego 100 akrów nod lasem, sprzedaje rocznie: za \$500 — \$1,000 siana,

25 — 40 bali bawełny i 100 — 150 buszli kukurydzy, a za śmietaną otrzymuje \$5 — 6 tygodniowo. Ma on: 20 koni, 75 sztuk bydła i 20 nierogacizny.

O takich lub podobnych rezultatach opowiadali mi pp. W. Kasproicz, J. Murski i inni.

Miło popatrzeć, gdy zjadą się polscy farmerzy do kościoła. Pojazdy wygodne, a nawet eleganckie, u-praż kosztowna, konie ładne i dobrze utrzymane.

Stary kościół, w którym mieści się obecnie szkoła parafialna, zastali tu już Polacy.

Pierwszym stałym proboszczem tutejszej parafii, do której dawniej należeli farmerzy z Chapel Hill, był ks. W. Wilimowicz.

Gdy z biegiem czasu kościół okazał się za szczupły, w roku 1889 przystąpiono do budowy nowego. Proboszczem wtedy był Czech, ks. F. Frydal.

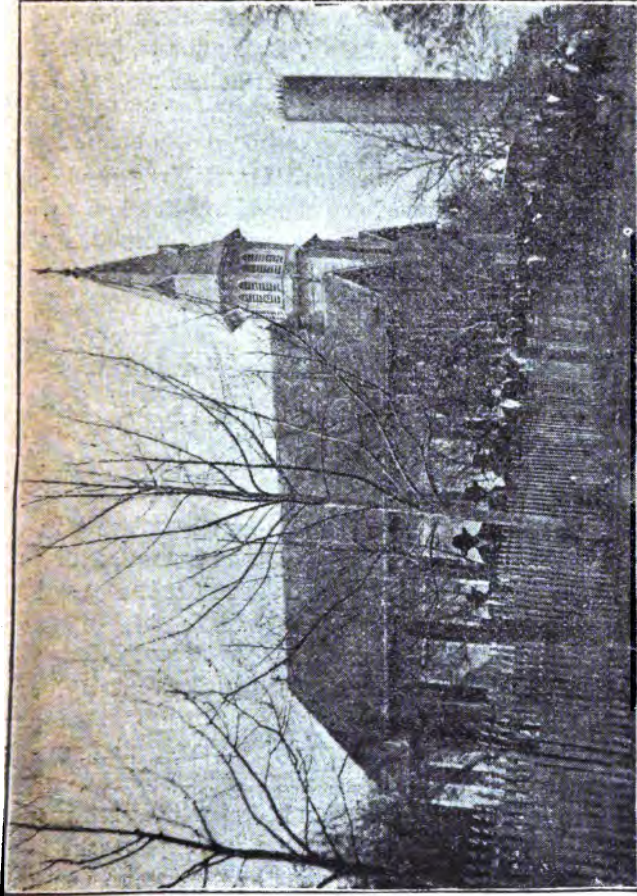
Przed miesiącem parafia brenhamska, licząca około 150 familij, otrzymała nowego proboszcza w osadzie ks. M. A. Dąbrowskiego.

Wyświęcony w Rzymie, przebywał tam lat 9, później był czas jakiś w Argentynie, a ostatnie kilka lat pełnił obowiązki kapłańskie na Filipinach.

Nie mając przez długie lata stosunków z rodakami ks. Dąbrowskiemu trudno dziś poprawnie mówić po polsku. Chętniej mówi on po niemiecku, angielsku lub hiszpańsku.

Do parafialnej szkoły w Brenham, ze względu na znaczne oddalenie od miasta większej części farm polskich, uczęszcza tylko 40 dzieci.

Nauczycielem i zarazem organistą jest p. S. Sympuła, który za obydwie funkcyje otrzymuje \$40. Mieszkanie sam musi opłacać.



Kościół Panny Maryi w Brenham, Tex.

Dwa wieczory w Brenham spędziłem przyjemnie w gościnnym domu młodego małżeństwa pp. Kasprowicz. P.W. Kasprowicz miły i inteligentny człowiek, ukończywszy studia handlowe w Austin, Tex., pracuje, jak już o tem wspominałem w interesie braci Schmid.

Niebezpiecznie jest w hotelach texaskich pozostawiać klucz od mieszkania, nawet w biurze hotelowym.

Ażeby dać możność służbie do zrobienia porządków w pokoju powiesiłem klucz na przeznaczony na to desce.

Powróciwszy późnym wieczorem, nie zastałem go na miejscu: pokój mój był zamknięty, a dyżurujący w nocy młody chłopak nie umiał mi dać żadnych w tym względzie wyjaśnień.

Okno mego mieszkania wychodziło na ganek, postanowiłem więc tą drogą dostać się do wnętrza.

Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy zastałem tam na pół rozebranego, chrapiącego w łóżku trempa, który nie zadawalniając się koldrą okrył swe brudne nogi mem paltem.

Gdy mu je zabrałem, postanawiając tą samą drogą wyjść z walizkami, gdyż klucza we drzwiach nie było, włóczęga zbudził się.

Na propozycję mą by się wyniósł, odpowiedział szyderstwem i wskazał mi miejsce w łóżku obok siebie.

Po długiej sprzeczce, w końcu której zagroziłem mu wezwaniem policyi, oddał wreszcie klucz i pozwolił opuścić z rzeczami pokój.

Podług wszelkiego prawdopodobieństwa stracił bym był cały bagaż, trudno bowiem przypuścić, by człowiek

nie mający złych zamiarów zajął pokój, w którym stały cudze walizki, a na gwoździach wisiało ubranie. Mógł on, zabrawszy to wszystko opuścić hotel przez nikogo niewidziany, zwłaszcza, że wyjście nie komunikowało się z biurem.

CHAPEL HILL, TEX.

Samo miasteczko rozrzucone na przestrzeni mili kwadratowej, a liczące zaledwie 1,000 mieszkańców nie ma nic godnego zanotowania.

W pobliżu stacyi kolejowej znajduje się polska dzielnica, a właściwie tu zaspokajają swe potrzeby polscy farmerzy.

Polacy mają w swych rękach dwa sklepy spożywcze W. Surżyńskiego i J. Sławińskiego. Przy każdym jest bara z piwem — wódki ze względu na drogą licensyę nie mają.

W sklepach bławatnych, utrzymywanych przez Amerykanów można rozmówić się po polsku. Rozumni kupcy, chcąc pozyskać polską klientelę przyswoili sobie jako tako nasz język. Tu nawet każdy prawie czarny umie bodaj słów kilka po polsku.

Polscy osadnicy zamieszkali w okolicach Chapel Hill przez czas długi, należeli do parafii w Brenham, odległej o mil 13, skoro jednak kolonia szybko wzrastać poczęła, w roku 1889, sprowadzono ks. T. Jaronia i pobudowano kościół.

W niespełna rok burza zniosła świątynię, ale wnet zakrzatnęli się parafianie i postawili nową po dziś dzień istniejącą.

Obecnym proboszczem jest ks. Fr. Nona.



Kościół polsk w Chapel Hill, Tex.

Sześćoletnim dzieckiem przybył on do Ameryki, a po ukończeniu niższej szkoły wstąpił w 1888 roku do seminarium w Detroit, gdzie przeszedłszy kursa gimnazjalne, a następnie filozofię i teologię otrzymał w roku 1898 święcenia kapłańskie.

Młody ksiądz zaraz po wyświęceniu został prob-

szczem parafii w Chapel Hill, liczącej obecnie około 225 familij, i na tem stanowisku pozostaje bez przerwy do dzisiaj.

Ks. Nona jest przykładnym kapłanem, dobrym Polakiem i doskonałym gospodarzem.

Kościół, utrzymany we wzorowej czystości, mile robi wrażenie, toż samo odnosi się do plebanii i innych budynków parafialnych, a na całości nie ciąży żaden dług.

Niebawem stanąć ma obszerna szkoła, na którą proboszcz gromadzi już grosz, nie chce on jednak przystąpić do budowy dopóki nie zbierze całkowitej potrzebnej sumy, gdyż placąc gotówką postawi lepiej i taniej.

Parafianie z Chapel Hill zarówno starzy jak i młodzież muszą wszyscy mówić po polsku, nad czem czuwa nieustannie ks. Nona, to też satysfakcyą pogawędzić z nimi.

Dbając o czystość polskiej mowy, nie zaniedbuje ks. Nona języka angielskiego, uważając go za niezbędny dla Polaków tu osiadłych.

W szkole parafialnej, do której uczęszcza 125 dzieci kolonistów, uczy p. Ossowski, młody sympatyczny człowiek znający dokładnie języki polski i angielski.

Parafia tutejsza lepiej aniżeli gdzieindziej wynagradza swego nauczyciela, gdyż płaci mu po za mieszkaniem i opałem \$60 miesięcznie.

P. Ossowski zorganizował polską orkiestrę, złożoną z kilkunastu członków, która po paromiesięcznej nauce gra już wcale dobrze.

że jako chlebodawcy traktują ich dobrze i nie wyzy-
skuja.

W Conroe i pobliskiej okolicy Polaków niema.

Ktoby przybywszy do Północnej Ameryki rozpoczął
swą podróż od tych stron Texasu, ten nie najlepsze
wyrobił by sobie przekonanie o miejscowej komunika-
cyi kolejowej.

Na przebycie przestrzeni pomiędzy New Waverly
a Anderson, wynoszącej koleją 65 mil, a drogą kołową
45 mile zużyłem blisko dwie doby czasu.

Przybywszy z kolonii wieczorem na stację New
Waverly trzeba było czekać pociągu do 2-jej w nocy.

O 1½ zeszło się na peronie kilku pasażerów, uzbrojo-
nych w pęki papieru i od nich dopiero dowiedziałem się,
że służba stacyjna w nocy jest nieczynna, że trzeba za
pomocą palenia gazet dawać sygnały, gdyż inaczej po-
ciąg nie stanie.

Nie mogąc tym sposobem wydobyć jednej ze swych
walizek oddanej na bagaż czekać musiałem na następ-
ny pociąg 13 godzin.

Dostawszy się do Conroe o 4-tej p. p. błędziłem po
miasteczku, lub siedziałem sam jeden w słabo oświetlo-
nej poczekalni do 10 wieczór.

W Navasota, dokąd przybyłem po północy na pociąg
idący do Anderson, oczekiwać było trzeba do następnego
południa.

Za wydobyć bagażu ze stacyi drogi S-ta Fe i prze-
dostanie go na drugą stronę szyn kolei S. & D. N. wy-
padło zapłacić 75c., inaczej stracił bym znów dzień cza-
su.

Komu czas drogi, a wie jakie czekają go przeprawy, byłoby oszczędniej przejechać tą przestrzeń kołami, gdyby za nie wypadło nawet \$10.00 zapłacić.

BRENHAM, TEX.

Chcąc przyrzec się polskiej na farmach gospodarce z Chapel Hill do Brenham jechałem kołami.

Na większej części tej przestrzeni, wynoszącej 13 mil, mieszkają Polacy, dopiero bliżej Brenham spotyka się niemieckich osadników.

Polą dobrze uprawione; mało ziemi odpoczywa; inwentarze, mimo braku w tej porze naturalnej paszy, są w stanie zadawalającym; dobrobyt wyziera ze wsząd.

Brenham, liczące 7,000 mieszkańców, gęsto zabudowane, posiada kilka większych interesów handlowych, jakich nie powstydzilo by się duże miasto.

Jedyny polski interes, sklep spożywczy, ma tu H. Nowakowski.

Jako 15-letni uczeń szkoły O. O. Reformatów w Zerominie (gub. Płocka) zmuszony był w czasie powstania schronić się do Prus, gdzie mieszkając lat kilkanaście nauczył się szewstwa.

Przybywszy do Brenham w 1880 roku z początku gospodarzył na roli, zaś od lat 18-tu prowadzi sklep kolonialny.

Z sympatycznym p. Nowakowskim spędziłem parę godzin na milej gawędzie



Dom farmera Ignacego Dykowskiego w okolicy Brenham, Tex.

Zamożnych, a nawet bogatych farmerów polskich w okolicach Chapel Hill jest zbyt wielu, by ich wymienić było można — narzekającego na biedę nie spotkałem.

Milionowej fortuny dorobił się tu Amerykanin J. Carlisle.

Przybywszy do Chapel Hill przed 40-u laty z 5 centami w kieszeni pracował początkowo jako robotnik kolejowy, a później urzędnik stacyjny.

Zyjąc skromnie, całkowite swe oszczędności obracał na kupno ziemi, płacąc początkowo za akier 25 c., później \$1.00 i wyżej.

Nie licząc znacznej ilości już sprzedanej posiada on jeszcze 97,000 akrów przestrzeni.

P. Carlisle poważa bardzo Polaków, ceni wysoko ich pracowitość i zapobiegliwość, a zwracającym się doń w potrzebie dopomaga chętnie.

nie uważa on się za dobrodzieja ani filantropa, — robi dobrze w zrozumianym należycie własnym interesie.

Tak pojęta filantropia dla obu stron jest najdogodniejszą.

BRYAN, TEX.

Na przebycie odległości pomiędzy Brenham a Bryan, wynoszącej 80 mil, straciłem 22 godzin czasu.

Wypadło dwa razy przesiadać się, a na stacji Valley Junction oczekiwać 15 godzin na dalszą komunikację.

Ziemia na całym tym dystansie dobra, bliżej Bryan lżejsza, miejscami piaszczysta.

Minąwszy Valley Junction, olbrzymie przestrzenie znajdują się w rękach amerykańskich obszarników, co



Dom p. Felczaka w okolicy Brenham, Tex.

Trafwszy tu na niedzielne nabożeństwo wysłuchałem długiego morawskiego kazania, po którym nastąpiło już nieco krótsze w języku angielskim.

Zadna kolekta w czasie nabożeństwa nie miała miejsca.

Polacy z sąsiadami swymi Czechami i Morawcami liecznie tu osiadłymi żyją w jaknajlepszej zgodzie, a nawet łączą się wzajemnie związkami krwi.

Włosi w poszukiwaniu dobrej ziemi, za którą płacą chętnie wysokie ceny, osiedlają się przeważnie na nizinach, tuż nad łożyskiem rzeki Barazos, nie dbając o malaryę, ani bojąc się zjadliwych komarów mających tam swoje królestwo.

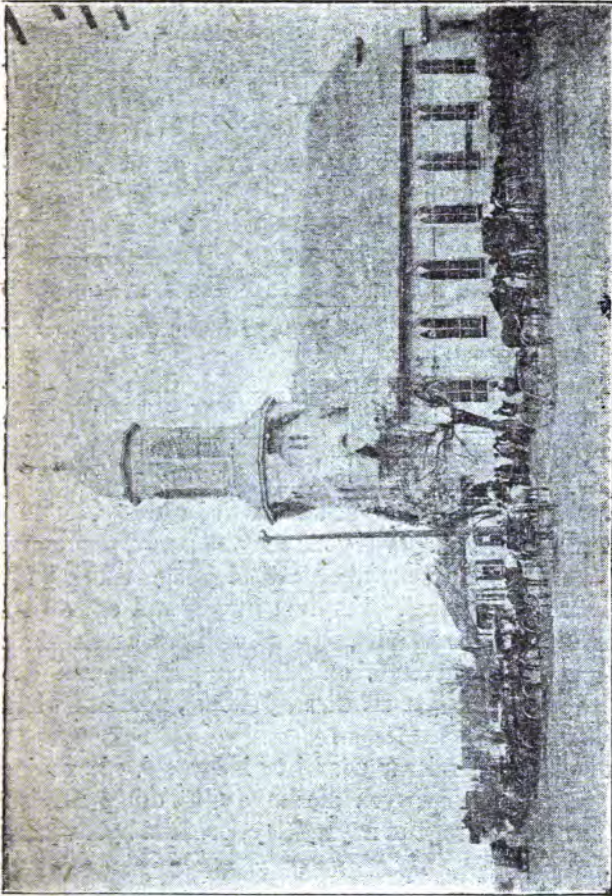
Ziemia na okół Bryan popielata mniej lub więcej piasczysta na podkładzie gliniastym nie najgorsze daje plony, mimo że o zasilaniu jej nawozem nikt tu jeszcze nie myśli.

Jest i tu sporo zasobnych polskich farmerów.

Oszczędni, a pracowici galicyjscy Mazurzy, przywykli do ciężkiej walki z przyrodą dorabiają się tutaj, jak i wszędzie najprędzej. Przytem przybywali oni do Ameryki już nieco później, wyprzedzeni przez rodaków z pod zaboru pruskiego, od których przyjmowali doświadczenie zdobyte na własnej skórze, kosztem wielu wysiłków.

Ci pierwsi pionierzy naszej tu imigracyi, nie znając języka ani miejscowych stosunków, iść długo musieli po omacku, a droga ta najczęściej cierniami była wysłana.

A. Krześciński, rodem z Tarnowa jest pierwszym Polakiem, który się tu osiedlił jeszcze w roku 1873.



Kościół św. Józefa, Bryan, Teks.

Posiada on 250 akrów ziemi dawno już wyplaconej.

W rok po A. Krzesińskich przybyli i osiedlili się w okolicy Bryan: P. Chmielewski, L. Starzewski, J. Grabowski, J. i F. Bulmańscy.

J. Borucki przybył tu z Księstwa Poznańskiego w 1882 roku. Obszar jego ziemi wynosi 450 akrów.

Fl. Stec, Galicyanin przebywszy dwa lata na północy, przyjechał do Bryan przed 22 laty. Za grunt, którego posiada 200 akrów, płacił po \$25, obecnie ocenia wartość akra na \$50. Obrabia 150 akrów, resztę stanowią pastwiska. Część ziemi p. Steca, położonej nad rzeką, zalewa czasami woda. Jeżeli niema tego wypadku, zbiera on z akra 1—1¼ beli bawełny.

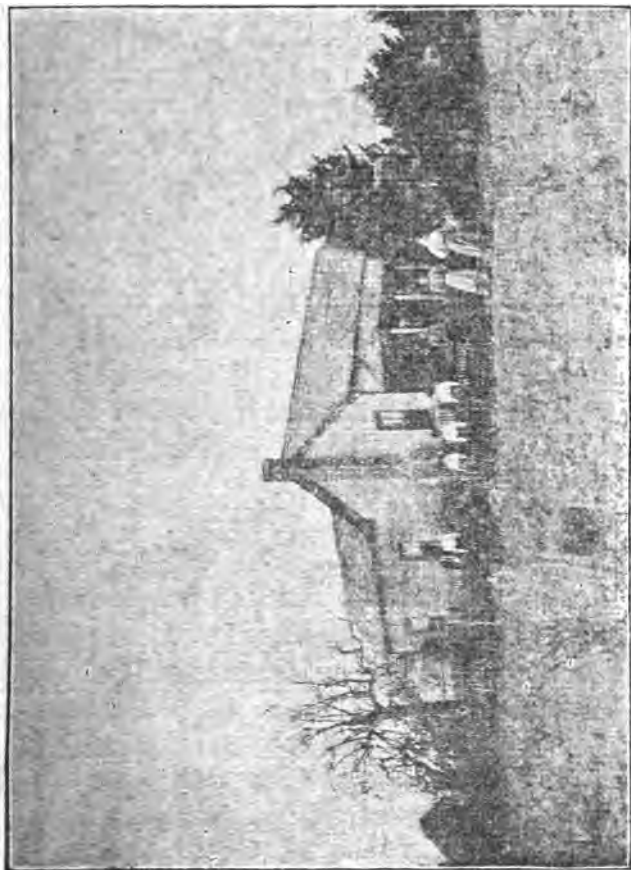
BREMOND, TEX.

Pierwszy raz w ciągu ostatnich paru tygodni, odkąd objeżdżam rozrzucone w tych stronach polskie kolonie, trafiłem na bezpośrednią komunikację. Z Bryan do Bremond jechałem koleją dwie godziny bez żadnej dłuższej przerwy.

Jestem w stolicy teksaskiej Po'onii.

Bremond pod względem liczby naszych osadników zajmuje pierwsze miejsce w stanie Texas.

Samo miasteczko, liczące około 900 mieszkańców tem się jedynie odznacza, że większa część tutejszych interesów handlowych, zaspakajających potrzeby licznych farmerów, w polskich znajduje się rękach.



Zagroja J. Boruckiego, Bryan, Tex.

Jest tu polska apteka A. Pilarskiego, dobrze zaopatrzony w towar, sklep bławatny L. Kochanowicza, grocernia J. Stachowskiego, W. Radzikowski ma sklep rzeźniczy i hurtowy skład p.wa, F. Litwora-hotel. Salunów istnieje cztery, z których F. Strugały, ładnie urządzony i czysto nadzwyczaj utrzymywany, zawstydzil by nie jeden tego rodzaju interes w dużem mieście. Pierwszym, który otworzył w Bremond sklep spożywczy, jeszcze w roku 1884, był J. Lewandowski. — Przemysł miejscowy reprezentują: duża sortownia bawełny S. Bartkowiaka, oraz trzy polskie kuźnie.

Kupcy w Bremond, z których większa część jest z sobą spokrewniona, żyją w przykładowej zgodzie i popierają się wzajemnie.

Przed paru miesiącami pożar zniszczył blisko cały blok dzielnicy handlowej, na pogorzeliu jednak stały już nowe murowane domy.

Miasto od dłuższego czasu nie wzrasta.

Parafia bremondzka założoną została w 1879 roku. Dojeżdżał tu początkowo ks. Mosiewicz z Marlins, czas jakiś był stałym proboszczem ks. K. Pułjanowski, a wkrótce po jego usunięciu się przybył ks. P. Litwora. Sprowadzony kosztem kolonistów z Galicyi, był tutejszym proboszczem w ciągu lat 18, a brat jego Feliks pełni obowiązki organisty.

Od dwóch lat pasterzuje w Bremond ks. S. J. Szymański.

Obecny proboszcz przybył do Ameryki z Ks. Poznańskiego wraz z rodzicami młodym chłopcem.

Ukończywszy niższą szkołę w Nanticoke, Pa., wstąpił do seminarium detroickiego, gdzie przeszedł kurs gimnazjalny, następnie słuchał filozofii. Na teologię uczęszczał w Cincinnati, Ohio, a po ukończeniu tame-



Ks. S. J. Szymański, proboszcz w Bremond, Tex.

cznego seminarium otrzymał święcenia kapłańskie w Cleveland, O.

Naznaczony zaraz proboszczem w Brenham, Tex., pełnił tam swe obowiązki w ciągu 5½ lat, a ustępując ze swego stanowiska, by objąć większą parafię bremondzką, pozostawił ks. Szymański po sobie jaknajlepsze wspomnienie.

Uprzejmy, łatwy w obejściu, ale szanujący swe stanowisko kapłan ogólnie jest tu lubiany i poważany.

Za dowód posłużyć może, że gdy proboszcz powziął myśl wybudowania obszerniejszej świątyni parafianie okazali wyjątkową ofiarność, nie żałując ani grosza, ani własnej pracy.

Murowany, stylowy kościół w Bremond, którego poświęcenie odbyło się 1 lutego r. b. jest najokazalszym polskim przybytkiem bożym w Texas.

Koszt budowy świątyni bremondzkiej wyniósł tylko \$27,000, gdyby jednak zamienić na gotówkę robociznę parafian, zwózkę materiału przez nich dokonaną i cement, to dosięgnął by on cyfry \$32,000.

Obecną wkł. sność parafialną, obciążoną zaledwie \$2,900 długu, ocenia ks. Szymański na \$45,000.

Stary kościół niebawem zamieniony zostanie na szkołę, do której obecnie uczęszcza zaledwie 40 dzieci.

Pierwszym Polakiem, który przybył do Bremond i mieszka tu po dzień dzisiejszy, jest Józef Bartuła, razs długoletni czytelnik i przyjaciel.

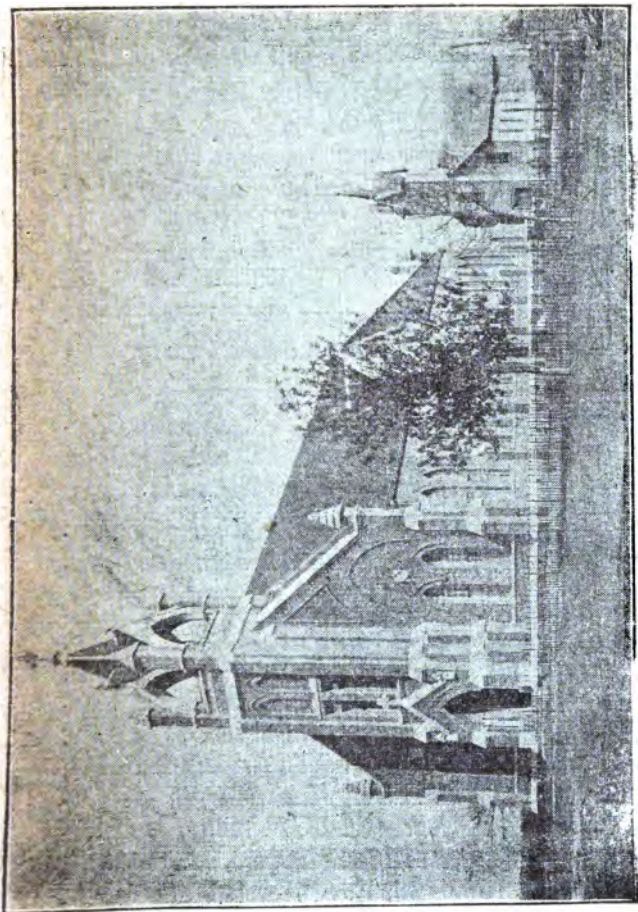
Spisywał on czas jakiś historię rozwoju tutejszej kolonii, aż dopóki choroba nie ubezwładniła mu prawej ręki.

Poniżej przytaczam niektóre ustępy notatek p. Bartuły.

“Jako fachowy stelmach opuściłem rodzinne miasteczko Brzostek (pow. Pilznieński, Galicya) i wraz z żoną i pięciorgiem dzieci wyruszyłem do Ameryki w roku 1873.

Wylądowawszy w Galveston pojechaliśmy do New Waverly, skąd po paru miesiącach przybyliśmy tutaj osiadając na stałe.

W czasie tych podróży straciłem 3-ch synów i cały mój majątek.



Kościół Panny Maryi w Bremond, Tex.

Oprócz mej rodziny mieszkał wtedy w Bremond jeszcze jeden Polak Fr. Bajorński.

Miasteczko w owe czasy było większe, aniżeli jest dzisiaj.

Blisko w rok po nas przybyli tu: Pietrzykowski i Ochędalski, a nieco później: M. Matysiak, F. Bojanowski i Fr. Know — wszyscy z rodzinami.

Matysiak pierwszym był, który nabył 50 akców ziemi za \$500.

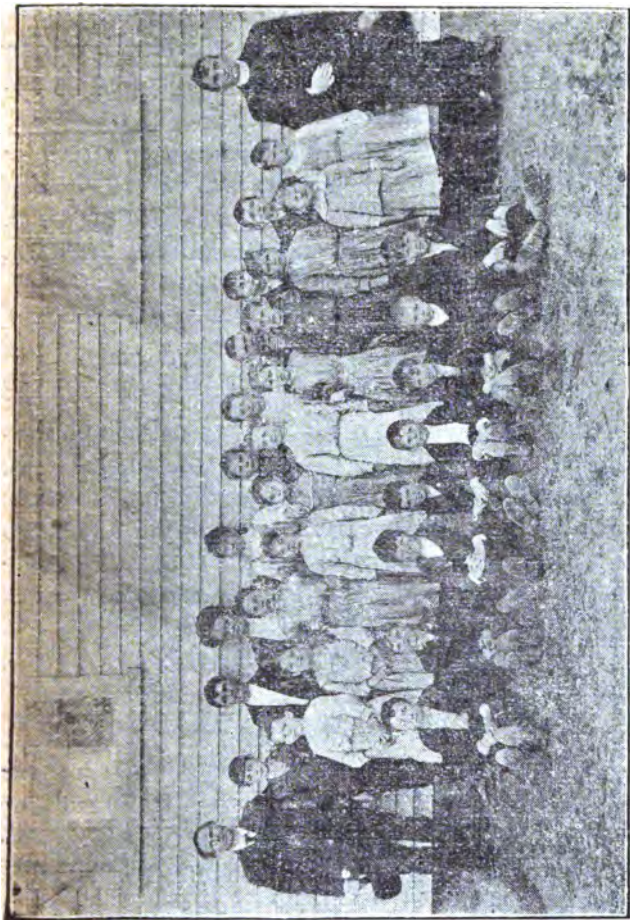
Pierwszem polskiem dzieckiem, jakie tu przyszło na świat był mój syn Józef.

Cztery razy do roku odwiedzał nas ks. Biusant, Francuz, który w amerykańskim domu Robertów odprawiał nabożeństwo.

W roku 1877 osiadł w Marlin, gdzie było już podówczas 60 polskich rodzin, ks. Mosiewicz. Odwiedzał nas co miesiąc, a nabożeństwa odprawiał po farmach.

W dwa lata później, gdy bremondzka kolonia wznosiła się, postanowiliśmy własny wybudować kościół.

Było już nas wtedy 50 rodzin, a mianowicie: Fr. Bojański, Fl. Bojański, J. Bukmański, A. Barański, J. Bojerowski, F. Bulanowicz, J. Balcerek, J. Cierlewski, J. Cholewiak, M. Cwikul, J. Drajus, J. Fojut, A. Grabowski, F. Golański, S. Knopik, A. Kaźmierowski, A. Krzesiński, F. W. i M. Knofy, J. Kubiak, A. Lemański, F. Łozina, M. i W. Matysiaki, A. Miller, J. Ochędalski, M. Pieniążek, W. Pietrzykowski, M. Paszkut, K. Rybacki, F. Rumiński, E. Schepert, M. Szulc, A. Stander, J. Stachowiak, A. Strugała, J. Suchowiak, M. Surma, W. Urbański, W. Zucholski, J. Zapalacz, J.



Dzieci szkółne w Brenford, Tex.

Sadowski, F. Kempniński, A. Adamik, W. Wiśniewski, M. Szturemski, J. Kaźmierowski i L. Starzewski.

Mimo tej liczebności byliśmy tak biedni w owe czasy, że złożone przez nas składki na budowę świątyni przyniosły zaledwie \$115.

Kto wie czy wobec tak małego funduszu stanął by tak prędko kościół, który zcz skromny kosztował \$1,200, gdyby nie pomoc Amerykanów. Sam J. C. Robert ofiarował \$250, a mniejsze lub większe datki napływały z całego powiatu.

Wkrótce potem przyjechał do naszego kościoła przysłany przez biskupa ks. K. Połjanowski, a w czasie jego tu pobytu zapanowało wśród parafian rozdwojenie."

Owczesne nieporozumienia i swary opisuje p. Bartuła z całą drobiazgowością, ustęp ten jednak pomijam, by nie drażnić tych, którzy podawszy sobie następnie ręce żyją dziś w zgodzie, razem pracują dla wspólnego celu, i o przebytej bratniej niezgodzie radzi by zapomnieć. Dodam tylko, że ks. Mosiewiczowi, który dobrowolnie ustąpił miejsca ks. Połjanowskiemu sąd konsystorski powierzył następnie pieczę nad parafią bremondzką.

Taki stan trwał aż do przyjazdu ks. Litwory.

Ciekawe rzeczy opowiadał mi następnie p. Bartuła.

"Byliśmy początkowo tak biedni, że księdzu mogliśmy dać zaledwie nieco naszych produktów rolnych, — o jakimś stałym wynagrodzeniu mowy być nie mogło.

Ks. Musiewicz sam obrabiał kilka akrów bawełny, w czem mu czasami dopomagały dzieci.

Nieraz przy skopywaniu żagónów zabawne miały miejsce sceny, gdy ksiądz, nie mogąc sprostać spraw-
niejszym od niego wyrostkom, pozostawał w tyle.

“A co to dobrodziej tak daleko zostali — upomi-
nęli chłopcy — trzeba się pospieszyć.”

Te ciężkie czasy dla polskich farmerów minęły, bodaj
bezwrotnie. Dzisiaj parafianie w Bremond, liczba
których wynosi 325 familij, mogą swemu proboszczowi
z pewnością spokojny byt.

Ziemia w okolicach Bremond mniej lub więcej pi-
szczysta rodzi nienajgorzej. Do orki najzupełniej
wystarcza jeden koń.

Najślabsze ziemie, na których rośnie karłowaty dąb,
znajdują się na wschód od miasteczka.

Szowiniści tutejsi, broniąc swych stron, twierdzą, że
na ich piaszczystej glebie w latach suchych, lub nad-
miernie mokrych lepsze bywają urodzaje, niż na zie-
miach czarnych.

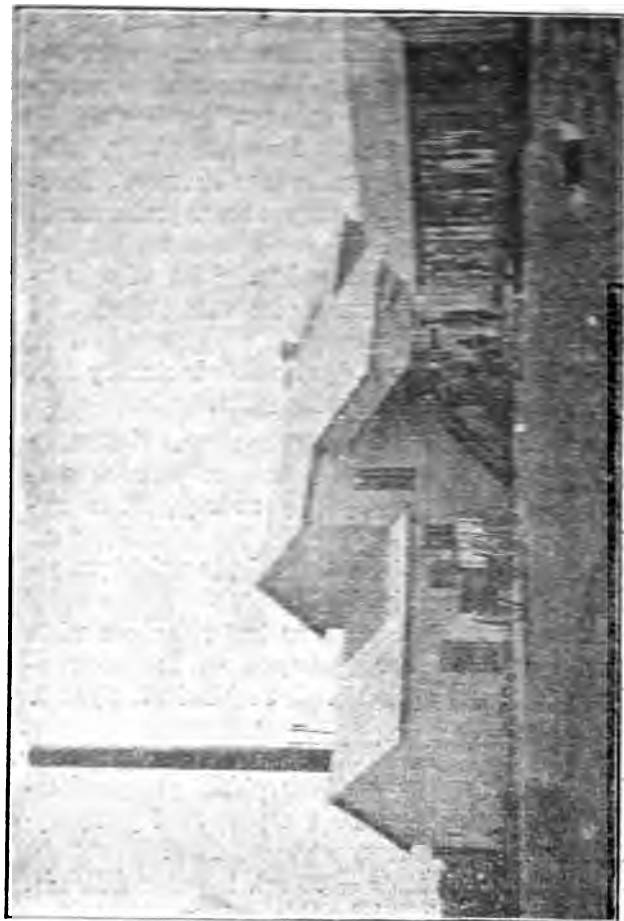
Być to wszystko może, co do mnie, to wołał bym go-
spodarzyć na czarnoziemiu.

W każdym razie nie musi tu być źle, skoro wielu
farmerów, wyłącznie drogą pracy na roli doszło do po-
kaznych fortun, a o biedzie nic tu jakoś nie słyhać.

Sortownia bawełny M. Skorupińskiego przedsta-
wiona na rysunku posiada 4 separatory i prasę hy-
drauliczną i motor parowy o sile 60 koni.

Może ona wypuścić 40 — 60 beli bawełny dziennie.

Niezależnie od fabryki posiada p. Skorupiński około
800 akrów ziemi, z której 150 akrów pod kłosem, reszta
prawna.



Sofitownia bawełny i zagroja M. Skorupńskiego. Urządzonego podług najnowszymi wyma-
gami, odległa o dwie mile od Bremenund.

Majątek polskiego przemysłowca wynosi kilkanaście tysięcy dol. Odłożyć może on rocznie z górą \$1,000.

Jeden z zamożniejszych gospodarzy, J. Knast, po-



Józef Sadowski, Bremond, Tex.

siada 120 akrów ziemi, a każdy jego dom ginie w cieniu pięknych cyprysów.

F. Gołsiński rodem z Galicyi, przybył do Ameryki w roku 1872. Pierwsze dwa lata przebywał w Marlina, od 34 lat mieszka w Bremond.

Jako garncarz z profcsyi tu dopiero uczył się pracy rolnej.

Dzisiaj 70-cio letni p. Gołsiński posiada dwa domy w mieście, które wynajmuje na sklepy, i 350 akrów ziemi, a i gotówki sporo, jak twierdzą sąsiedzi. Jest on bodaj najzamożniejszym człowiekiem w tej okolicy.

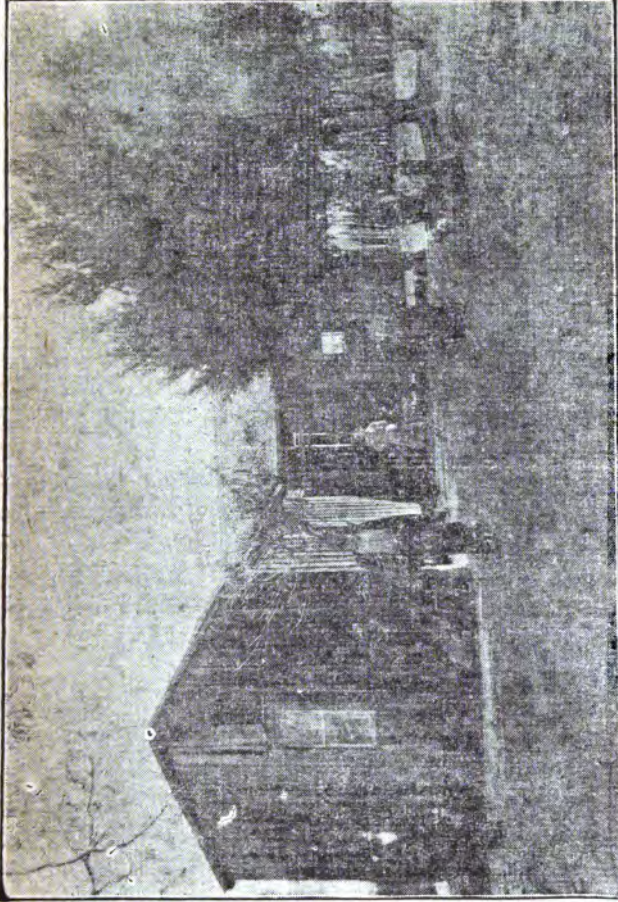
J. Sadowski, rodem z Grujczyra, gub. grodzieńskiej, jako 15-letni młodzian zaciągnął się w szeregi powstania 1863 roku. Jako strzelec oddziału Lelewela walczył pod Siemiatyczami i Włodawą.

W końcu powstania niedobitki oddziału zwabione zostały przez mówiącego po polsku oficera na terytorium austriackiem, gdzie otoczyli je miejscowi dragoni rozbroili i odstawili do Krakowa, a następnie do Ołomuńca.

Po 8-iu miesiącach niewoli, zaciągnął się młody Sadowski do polskich ułanów armii ks. Maksymiliana, a wsadzony na okręt angielski Peru przybył po 48 dniej podróży do Vera Cruz w Mexico.

“Wojsko liberałów — opowiada p. Sadowski — nie przyjmowało bitew w otwartem polu, zadawałając się na razie partyzantką.

Zabrany do niewoli, za stałem w szeregach nieprzyjacielskich wielu Polaków, którzy dezertując z armii cesarskiej przeszli na stronę liberałów. Przyjąłem i ja



Zagroda J. Saćowskiego, Brenonów, 1ex.

służbę w ich szeregach i walczyłem rżz w otwartem polu przeciw ultramontanom.

Posłany następnie do miasta Mexico, gdzie formowano nowe oddziały, z powodu braku jakiegokolwiek ładu zdezerterowałem.

Po śmierci Maksymiliana otrzymaliśmy paszporty na wyjazd.

To idąc pieszo, to jadąc statkiem jako bezpłatny pasażer dotarłem wreszcie do Houston, Tex.

Pierwszą Polkę, jaką tam poznałem, była wdowa Kaniowska, obecnie pani Król.

Później pracowałem przy rzeźniach w Rock Port, a ożeniwszy się osiadłem przed 30-tu laty w Bremond.

Zbyt pospieszyłem się z kupnem ziemi, jednej z najmniej urodzajnych wokolicy, z którą obecnie jestem związany.

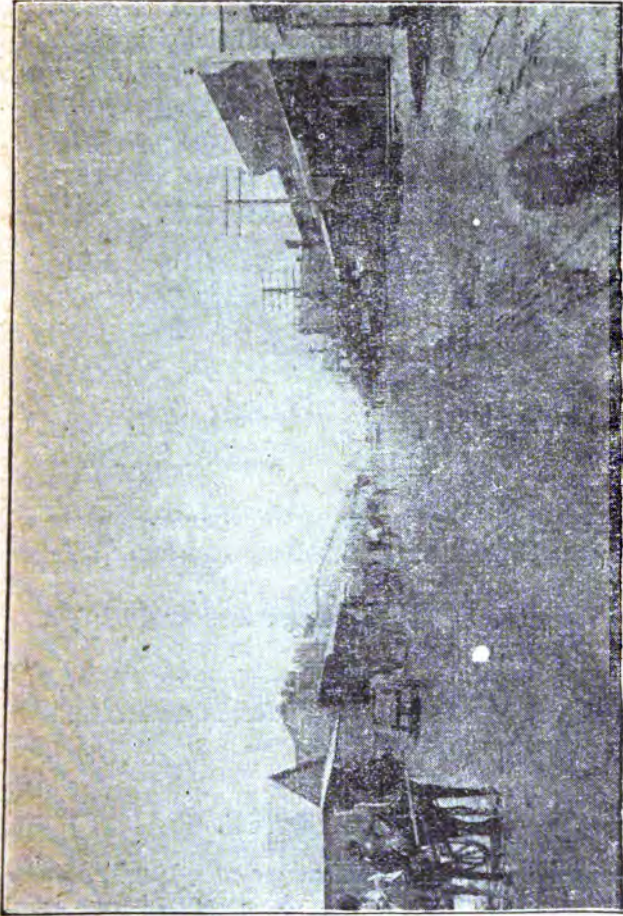
Należało czas dłuższy popracować na cudzem, zrobić się nieco, rozpatrzyć należycie, a dopiero wtedy przystąpić do nabycia gruntu.

Pola moje dają za ledwie 25 — 30 buszli kukurydzy z akra, a belę bawełny zbieram z 2½ — 3 akrów.

Farmerzy, zwłaszcza na gorszych, wyżej położonych gruntach osiedli skarżą się, że deszcze ulewne ługują ziemię, a zabrane z niej najlepsze pierwiastki nosą do rzeki. Wobec tego, powiadają, nawozu kłaść nie warto

Zarządzić by temu można regulacją koryt, wrytych przez szukające ujścia wody i połączeniem ich rowami, którymi spływały by spokojnie nadmierne opady.

Przyjdzie i na to kiedyś kolej, a może tymczasem powstanie i tu podobna jak w Brenham fabryka masła.



Folskie interesa handlowe w Brenford, Tex.

Wtedy farmer zmuszony będzie zasilić rolę nagromadzonym nawozem.

W Bremond, oprócz towarzystw kościelnych, istnieje 123 grupa Zw. Nar. Pol. pod nazwą Tow. Sw. Józefa, licząca 48 uczestników, oraz 108 grupa Zjed. Katolickiego.

WOOTAN WILLS, TEX.

Miejscowość, położona o 3 mile od Bremond, posiada wodę leczniczą zwaną przez Polaków "kwaśną wodą," która zawiera dużą ilość żelaza, a zwiększa magnezyi.

Bawi tu w ciągu lata po 500 i więcej osób chorych na anemię.

Wootan Wills posiada dwa hotele i cały szereg małych domków, złożonych z pokoju i kuchni, dla rodzinnych kuracjuszków.

Wodę leczniczą wydobywa się tu zwyczajnem wiadrem drewnianem i pije błyszczącymi kubkami, przytwierdzonymi do cembrzyny studni.

Jak na amerykańskie stosunki zakład ten jest aż nadto prymitywny.

Ostatnimi czasy zakupiła tę miejscowość Tow. kolei-Houston and Central Texas, które zaprowadzi prawdopodobnie pewne ulepszenia.

MARTIN, TEX.

Posuwając się od Bremond w stronę 18 mil odległego Martina ziemie są niższe, ale coraz to lepsze, zaś w pobliżu miasta nadzwyczaj żywe, przeważnie czarne.

Martin, znana miejscowość kuracyjna, gdzie tryska obfite źródło gorące, posiada 3,100 stałych mieszkańców, a liczba przyjezdnych w czasie sezonu dochodzi do 2,000.

Wygodne hotele tutejsze, z których większe nie ustępują pod względem komfortu newyorskim, przepelnione bywają kuracjuszami.

Woda ciekąca stale z kilku kranów, mimo że w czasie swej drogi ochładza się znacznie, jest jeszcze tak gorąca, że pić jej duszkiem nie można.

Smak jej zbliżony do rosolu z kurczęcia, a zaprawiona wyciśniętą cytryną, która gęsi zapach zawartego w niej siarkowodoru, stanowi przyjemny napój.

Skutki tej wody, zwłaszcza przy zastosowaniu odpowiednio przygotowanych kąpielii, oraz masażu mają być wręcz zadziwiające.

Przywożeni tu na łóżkach reumatycy po paru tygodniach kuracji chodzą o kulach, zaś opuszczają zakład już o własnych siłach.

W Martin'ie są trzy polskie przedsiębiorstwa, a mianowicie: zakład kowalski A. Warchoła, krawiecki P. Bayera i biuro budowlane Braci Kaźmierowskich.

Do skromnego, ale we wzorowej czystości utrzymanego kościoła Św. Józefa należą oprócz Polaków Niemcy i Amerykańscy katolicy.

Miejscowym proboszczem jest ks. B. C. Pfiffner.

Bremondzki korespondent "Wiarusa," opisując tutejsze stosunki, zaznaczył, że ks. Pfiffner jest katolikiem, pragnącym wynarodowić tutejszych Polaków, że młodzież tutejsza wypiera się wskutek jego agitacji ojczyściej mowy.

Ja z tego com widział i słyszał wyniosłem wprost przeciwne wrażenie.

‘Proboszcz przede wszystkim nie jest Niemcem, lecz Szwajcarem, a nie tylko nie myśli o wynarodowieniu polskich parafian, ale przeciwnie stara się on usilnie przyswoić sobie nasz język. Za dowód tego posłużyć może, że po dwóchletnim pobycie w Martin’ie, mimo że nie codziennie styka się z Polakami czyta już i rozumie po polsku, a chociaż ciężko przychodzi mu jeszcze mówić, rozmawia chętnie.

Wszyscy parafianie, jakich spotkałem, władają naszym językiem dobrze, do słów angielskich nie uciekają się bez potrzeby, a swego proboszcza chwala.

Szkoła parafialna, pono jedna z najlepszych w okolicy, w której młodzież polska mniej jest liczebnie reprezentowaną od innych narodowości, posiada polską siostrę.

Kiedy w rozmowie ze mną ks. Pfiffner oświadczył, że nie zna kierunku “Ameryki-Echa,” obecny na plebanii nasz prenumeratorem J. Kowalski odezwał się: “Ojciec Duchowny, to jest takie pismo, które nie sprzedając się nikomu, powie każdemu prawdę, czy by to był chłop, czy pan, a nawet ksiądz.”

“Chociaż wy tak straszni jesteście — odpowiedział proboszcz — założę konia i odwiezę pana na kolonię, skoro ją chcesz poznać.”

Jakoż w kilka minut gotów był do drogi biegły siwek, którym zawiózł mnie ks. Pfiffner na odległą o 3 mile farmę P. Górskiego; jednego z dawniej tu osiadłych i szanowanego rolnika.

Polscy imigranci przybyli w okolice Martin’a o kilka lat wcześniej, aniżeli do Bremond. Mieszkała ich tu

już spora gromadka 1870 roku, ponieważ jednak ziemie były jak na owe czasy drogie, opuszczali te strony i szli tam, gdzie łatwiej i taniej nabywano gruntą. Niektórych wyganiała malarya, która nie jest tu chorobą niebezpieczną, a kto ją raz przejdzie, temu tutejszy klimat służy następnie.

Piotr Górski, miły i gościnny człowiek, a przytem jeden z najzamożniejszych w tych stronach polskich gospodarzy opowiadał mi;

Kiedy przybyłem do Martin'a 1880 roku było tu około 30 polskich rodzin dawniej osiadłych, a mianowicie: J. Przybylski, E. Wilganowski, Sz. Nowacki, W. Glaska, Ig. Górski, M. Lechowski, Bracia Majchrzacy, L. Chmielewski, T. Topolewski, W. Przybylański, J. Południk i inni, których nazwisk na razie przypomnieć sobie nie mogę.

Własnej ziemi żaden z nich jeszcze nie miał, płacili obszarnikom albo \$3.00 dzierżawy od akra, lub oddawali $\frac{1}{3}$ część zbioru kukurydzy, a $\frac{1}{4}$ część bawełny.

Przed 20 laty pierwszy nabył grunt J. Przybylski, płacąc \$14 za akier, w ślad za nim kupił farmę E. Wilganowski.

Ja gospodarzyłem na dzierżawionej roli 22 lata, a dorobiwszy się tą drogą przed 7-iu laty kupiłem 100 akrów po \$42.50, płacąc gotówką całą należność.

Ziemi tej nie oddał bym dzisiaj za \$7,500.

W dobrych latach zebrać mogę z akra belę i więcej bawełny, kukurydżę i owies sięję tylko na własną potrzebę."

W pobliżu Martin'a mieszka około 60 polskich farmerów, niemieckich i amerykańskich jest więcej. Z

na szych tylko 13 posiada już sny grunt, w polskich rękach znajduje się dotąd 1,600 t krów ziemi.

Duże przestrzenie mają jeszcze w swem posiadaniu obszarnicy. Pola te obraziają na spólkę lub wyczerzawiają bezrolni.

Koleje tutejsze starają się dostarczyć podróżnemu coraz to nowych niespodzianek.

Powróciwszy z kolonii o 10 wieczór z stałem, całą stację rześcicie oświetloną, równocześnie jednak wszystkie wejścia do pasażerskiej poczekalni starannie zaryglowane.

Na pociąg odchodzący o godz. 12:30 trzeba było oczekiwać w polu, a zimno, połączone z wiatrem dokliwie tego wieczora czuć się dawało.

Służba stacyjna zjawiała się dopiero na 10 minut przed nadejściem pociagu.

Posuwając się od Bremond ku północy, piasek spotyka się coraz to rzadziej, a dalej nie widać go już wcale.

Na całym obszarze powiatu Ellis grunta znakomite, jedne z najurodzajniejszych w Texas.

Gęsto rozrzucone domy farmerskie, obszerne, wygodne, często luksusowe, świadczą o zamożności mieszkańców.

Jest tu dużo Czechów i Niemców, polski farmer ma być tylko jeden niejaki W. Grych.

Gruntów będących już w całości pod pługiem nie dokupi się w tych stronach.

W pobliżu Fort Worth cienka warstwa nieco uboższej ziemi leży na pokładzie łupku wapiennego, który

w czasie suszy dość długo przetrzymuje wilgoć. Rodzą się doskonale warzywa, a pastwiska są bardzo żyzne.

FORT WORTH, TEX.

Największym miastem północnego Teksasu pod względem zaludnienia jest od niedawna Fort Worth, odkąd został przyłączony North Fort Worth, stanowiący jeszcze niedawno oddzielne miasto.

Obecnie Fort Worth liczy 90,000 mieszkańców i zaskasował konkurujący z nim Dallas.

W rozrzuconem na dużej przestrzeni mieście zwracają uwagę dwie handlowe ulice Main i Houston, przy których mieszczą się bogate sklepy i departamentowe sklepy różnych towarów.

Interesa idą dobrze, zéstój nie dał się tu odczuć zupełnie.

Zakładów przemysłowych w Fort Worth jest kilka, a mianowicie: fabryka szrub, fabryka pieców, szklarnia, fabryka wyrobów ciesielskich, wreszcie rzeźalnia. Ostatnie zatrudniają z górá 3,000 robotników.

Place, chociaż miejsca swobodnego widzi się jeszcze dużo, ęcszly do cen niesłychanie wysokich.

Tu, gdzie przed paru zaledwie laty można było za kilka setek dostać akier ziemi, dzisiaj lota kosztuje kilka tysięcy.

Trafiwszy na wystawę inwentarza podziwiać miałem możność piękne okazy: koni, osłów rozplodowych, olbrzymich mułów, bydła, owiec i nierogacizny, które dostarczyli hodowcy z Texas i Oklahoma.

Wystawa świadczy o wielkim kroku na przód w kierunku ulepszenia rasy.

Polacy tutejsi, których liczba wynosi około 200 głów, mieszkają w North Fort Worth.

Ukraińców i Białorusów jest o wiele więcej. Wszyscy oni pracują w rzeźniach, zarabiając \$10 — 15 tygodniowo.

W ostatnich czasach roboty idą słabo, ale ma to być stan przejściowy.

Jedynym polskim kupcem w Fort Worth jest S. Albert (S. W. Gorczyca), który ma hotel, skład piwa, a nadto w charakterze spółnika bierze udział w innych handlowych przedsiębiorstwach. P. Gorczyca, przybywszy z Galicji do Texas przed 20 laty, przechodził ciężkie chwile, aż dopóki nie dostał się na kolej, gdzie lat kilkanaście pełnił obowiązki maszynisty.

Zaoszczędziwszy nieco grosza, wziął się przed paru laty do handlu, a dzięki kilku pomyślnym transakcyom przy kupnie i sprzedaży placów, doszedł do fortuny.

Żałuję bardzo, że nie mogłem być dłużej gościem miłych i zacnych pp. Gorzcyców, którzy poprawili w mych oczach opinię teksaskich naszych hotelistów.

O ile aż dotąd miałem do czynienia z polskimi w tych stronach hotelami, to te trzymając się zasady "Drzyj z przyjaciela, bo nieprzyjaciel do ciebie nie przyjdzie" ściągają ze mnie dubeltową za wszystko cenę, a na domiar przy podawaniu słonego rachunku mówiono mi "jak dla kochanego rodaka."

Oskubany, zaciągałem jeszcze obowiązki wdzięczności względem skubiących.

Podobne zasady handlowe prowadzą do takiego rezultatu, że zarówno nieprzyjaciel jak i przyjaciel,

chroniąc się przed praktykowanym przez swojaków wyzyskiem, omijać ich będą starannie.

Natomість pp. Gorczycowie nie chcieli przyjąć odemnie pieniędzy, a gdy przeciw temu stanowczo zaoponowałem, policzyli śmiesznie małe wynagrodzenie za elegancki pokój i wyśmienite jedzenie.

Wielu Polaków będących chwilowo bez pracy przetrwało ciężkie czasy bezrobocia jedynie dzięki kredytowi hotelu S. Alberts.

O 135 mil na północ od Fort Worth w okolicy Scotland Tex., Archer Co., osiadł przed kilku laty H. Michalski, przybyły z południa.

Kupił on pierwsze 160 akrów ziemi po \$13, a przed rokiem nabył także przestrzeń płacąc już \$22 za akier.

Gruntu swego nie oddał by dzisiaj za ogólną sumę \$11,000.

Dziewicza ta ziemia, porośla tak bujną trawą, że konia w niej nie dojrzy, daje znakomite plony. Z akra zebrać można 1 — 1¼ beli bawełny lub 80 — 100 bushli kukurydzy; pszenica i owies udają się; wołków niszczących kwiat bawełny nie mazupelnie.

P. Michalski posiada 100 sztuk bydła, które za opłatą roczną \$1.00 od sztuki pasie się swobodnie na żywnych stepach obszarników.

Radzi p. Michalski przybywać tu tym wszystkim, którzy posiadają jakiś fundusz na zadatkowanie ziemi i doczekanie się pierwszych zbiorów.

Od Fort Worth na zachód w powiecie Parker grunta są kamieniste, mimo to dobre.

Obrobionych pól mało, większość pod państwiskami.

Smutne natomiast robią wrażenie pola powiatu Palopinto, zwłaszcza w zachodniej jego części. Ciągna się tu długim szeregiem kamieniste góry i wzgórza, a w dolinach piasek.

Ziemi zdatnej do uprawy mało.

GORDON, TEX.

W takim położeniu leży miasteczko Gordon, liczące 600 mieszkańców.

Na okół widniejące wysokie pasmo gór, najeżone odłamami piaskowca robią wrażenie olbrzymich szczytów. Roślinności tu mało; drzewa karłowate.

W smutnem cichem miasteczku jest kilka sklepów kolonialnych, tyleż szynków, a trzy apteki czuwają nad zdrowiem mieszkańców.

Gordon od dłuższego czasu nie powiększa się, czemu dziwić się trudno, ciekawem jest jednak, że mieszkańcy jego, wśród których znajduje się dużo posiadających odziedziczone po swych przodkach krociowe fortuny, nie sięgają myślą ani pragnieniami po za te góry, a żyjąc z nią na dzień nie wychylają nosa nigdzie.

Żeby to przynajmniej wiedli oni życie wygodne i dostatnie, ale i to nie, gdyż brak tu niezbędnych artykułów żywności; — widocznie potrzeby ich nie odczuwają mieszkańcy.

Kto nie upiecze chleba, ten go w Gordon nie znajdzie, jarzyn i owoców brak zupełny, a mięsa jedynie wołowe-

go dostać można i to w pewnych godzinach. Domo-rosły dostawca tego produktu, nie mający wyobrażenia o rozgatkowaniu mięsa, sprowadziwszy pół wołu, tnie go za porządkiem.

Na ten upośledzony od natury zakątek zagniewały się i niebiosy.

Deszcze w Gordon należą do zjawisk epokowych, a starsi pamiętają czasy, kiedy przez dwa lata z rzędu nie było żadnego opadu. Wodę, z którą w normalnych warunkach trzeba obchodzić się oględnie, sprowadzano wtedy z odległych miejscowości.

Nieraz chmury ciągną tędy, obfite deszcze leją na okół, tu jednak kropla nie padnie.

Dobrodziejstwem tej suchej okolicy jest trawa Johnson grass, która raz zasiana, pełni się długie lata, a jej korzenie szukają wilgoci i pożywienia na głębokości dochodzącej do 24 stóp(!) Fakt ten podaje z zastrzeżeniem co do jego wiarygodności. Johnson grass kosić można 3 — 4 razy do roku, zaś zebrane siano jedzą chętnie konie i bydło.

W mokrzejszych latach i to na nizinach udaje się trzcina cukrowa siano gęsto na paszę i przy sprzyjających warunkach kosić ją można 4 — 5 razy w ciągu roku.

Mieszkańcy cieszą się nadzieją, że Gordon będzie kiedyś sławnym miejscem kuracyjnym.

Dokopano się rzeczywiście wody o silnie metalicznym smaku, której parę szklanek sprawia tak zbawienne skutki, że komu miły sen spokojny, ten wieczorem pić jej nie powinien.

Z Polaków mieszka tu jedynie p. A. Gałęcki, właściciel składu maszyn do szycia i to tylko dla tego, że ani

w Thurber Junction, ani w Strawn odpowiedniego lokalu znaleźć nie mógł.

THURBER, TEX.

O 3 mile od stacyi kolejowej Thurber Junction, a właściwie miasteczka Mingus leży osada górnicza Thurber.

Zarówno cały teren jak i każdy na nim stojący dom czy budynek należą do kompanii węglowej.

Posiada ona: własną fabrykę lodu, hotel, restauracye, remizę, salun z halą dla amatorów trunków, oraz zasobne sklepy: spożywczy, rzeźniczy, ubrań, konfekcyi damskiej, obuwia, — słowem dostać tu wszystkiego można.

Monopolizując wszystkie gałęzie handlu, nie wynajmuje kompania mieszkania nikomu, ktoby jaki interes prowadzić chciał. O. Jermołowicz ma tu szewcki reperacyjny zakład, ale pod grozą wyrzucenia z osady nie wolno mu robić nowego obuwia.

Jest tu i szkoła kompaniczna, w której uczą siostry, a z nich jedna mówi po polsku.

Kopalnia w Thurber egzystuje dopiero lat 20; jej dzienna produkcyja wynosi 1,700 — 2,000 ton.

Pokład węgla grubości 18 — 30 cali znajduje się na głębokości 105 — 131 stóp pod powierzchnią.

Ogółem pracuje tu 1,500 górników, w tej liczbie około 200 Polaków, z których 60 familijnych, reszta samotni.

Zarobek górnika wynosi \$2 — 3.50, czasem dochodzi \$4.00 za ośmio godzinny dzień pracy.

Pracuje on leżący, a podłożywszy szufel pod ramię wyrąbuje lupek z pod warstwy węgla, która następnie bądź sama spada, bądź rozbija ją się prochem.

Warunki te zdobyli górnicy przed 5-ciu laty za pomocą długotrwałego strajku.

Obecnie pracują na zasadzie kontraktu zawartego pomiędzy unią a kompanią.

Wynagrodzenie za swą robotę otrzymują górnicy książeczkami czekowemi, w których są kupony 5 i 10-cio centowe.

Czekami tymi płacą oni w sklepach kompanicznych. Okolicznym kupcom walorów tych brać nie wolno. Górnik, chcący w kasie kompanii wymienić czeki na gotówkę, traci 10% od sumy przedstawionej do zdyskontowania.

Dodatną stroną Turber jest obfitość wody.

Kompania posiada kilka olbrzymich rezerwoarów, do których ścieka woda deszczowa z gór, a następnie za pomocą rur rozprowadzona po domkach górniczych.

Mieszkańcom części osady położonej na wzgórzu dowożona jest woda po cenie 10c. za beczkę.

STRAWN, TEX.

Pomiędzy Mingus a miejscowością Lyra, zwaną zarówno Mineral City, aż do podnóża gór ziemia jest nieco lepsza. Spotyka się tu dużo farm, z których kilka należy do Polaków.

Susza i tu daje się od dłuższego czasu we znaki. Dość szerokie łóżysko rzeki Palopinto suche, zaledwie gdzieś niegdzie w głębszych jego miejscach stoi brudna, pokryta pleśnią woda.

Osada Strawn w ładniejszym znajdująca się położeniu i nie tak ciśnie, jednostajnie zabudowana, jak Tauber, sympatyczniejsze robi wrażenie.

Tutejsza kompania węglowa ma również swoje sklepy, nie będąc jednak właścicielką osady pozostawia górnikom swobodę przy nabywaniu artykułów codziennej potrzeby.

Metalowe czeki wartości od 5c. do \$1.00 mogą kursować wszędzie, ale przy zamianie na gotówkę trzeba i tu tracić 10%.

Od trzech lat, pracując równocześnie w kopalni, prowadzi tu sklep spożywczy A. Wasilewski, który zdobywa sobie coraz to większą klientelę.

Pokład węglowy gruby na 22 — 30 cali znajduje się na głębokości 450 stóp.

Warunki pracy i eksploatacji też same są co w Thurber, z tą tylko różnicą, że w niektórych szybach z powodu nadmiaru gazów prochu używać nie wolno.

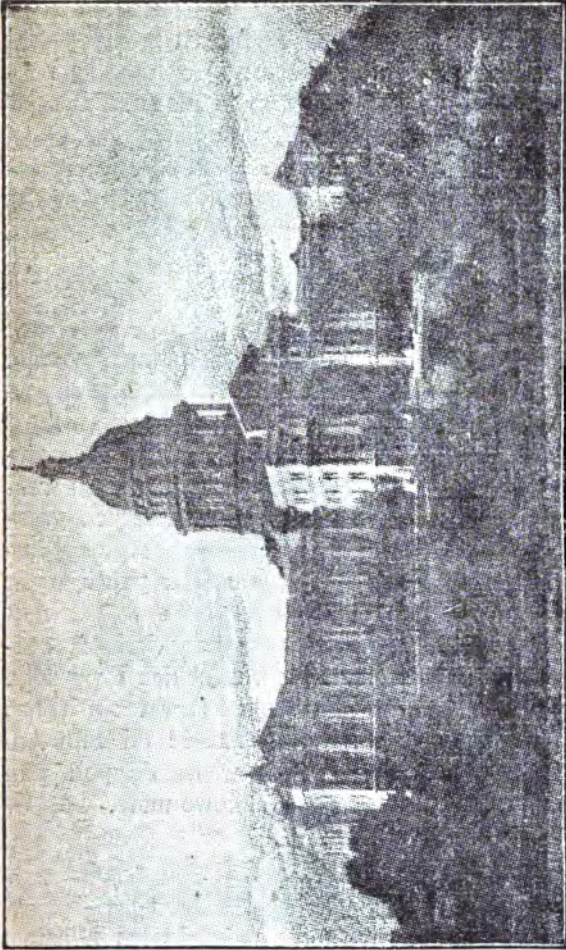
Ogółem pracuje tu około 800 ludzi.

Polskich górników jest 100, z liczby tej 70 familijnych.

Z powodu małej ilości zamówień, roboty idą 3—4 dni w tygodniu, ale górnik ma zawsze wolne wejście do kopalni, gdzie może prowadzić pracę przygotowawczą.

Niektórzy chwalą się tu zarobkiem, dochodzącym do \$6 dziennie, inni znów skarżą się, że czasem zaledwie \$25 miesięcznie wyrobić można.

Podobno pierwsi przyjmują tylko w rachubę dzień ładowania przygotowanego już przez się węgla, zaś drudzy, trafiwszy na ubogi pokład zbyt mało czasu poświęcają niekorzystnej pracy.



Stanowy Kapitol w Austin, Tex

Z tego co słyszałem, przeciętny zarobek górnika w Strawn oznaczyć można na \$100 miesięcznie,

Przed dwoma miesiącami przybył tu młody polski kapłan ks. Fr. Kowalski, wychowaniec plockiego seminarium (Król. Polskie), który osiadłszy na stałe w Strawn do Thurber dojeżdża.

Mało wymagający, czynny ks. Kowalski zjednał sobie parafian, a i na mnie, chociaż rozmawialiśmy z sobą nie zbyt długo bardzo sympatyczne zrobił wrażenie.

AUSTIN, TEX.

Na drodze pomiędzy Fort Worth a San Antonio, nad rzeką Slus leży stolica Teksasu Austin, licząca 40,000 mieszkańców.

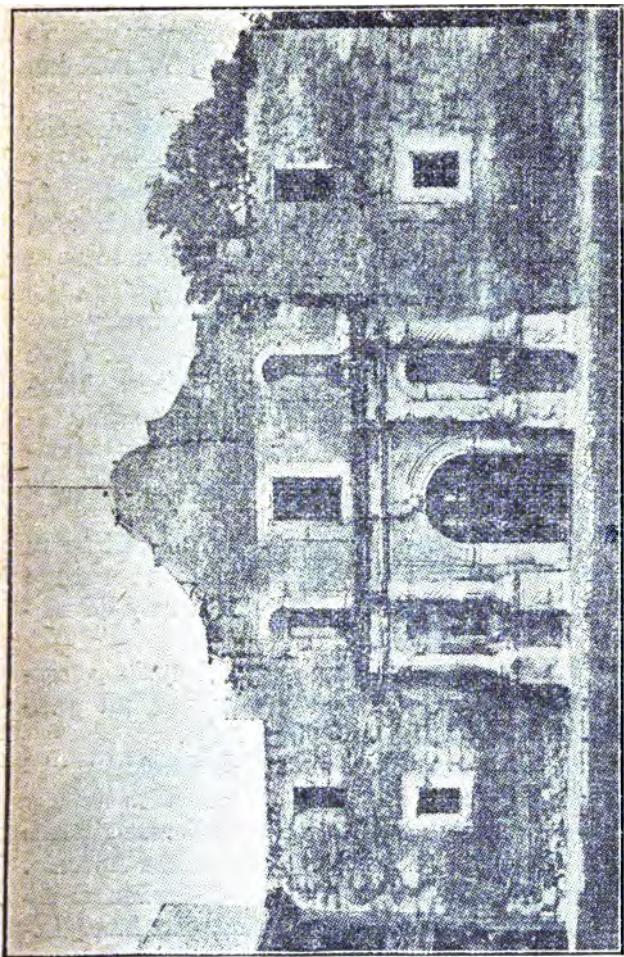
Szerokie, gęsto zasadzone ulice miasta obficie zlewane są codziennie wodą, dzięki czemu panuje tu wzorowa czystość. Austin posiada dużo okazałych gmachów, po nad którymi króluje wspaniała stylowa kaptol, jeden z najpiękniejszych gmachów publicznych w Stanach Zjednoczonych.

Miasto położone na dość znacznej wyniosłości otaczają gęste gaje pełne smukłych, wysokich cyprysów. Jedyny w Teksas uniwersytet ulokował się tutaj.

Na całym dystansie, dzielącym Austin od San Antonio, grunta są dobre, a z nich większość pod pługiem; pastwisk spotyka się stosunkowo mało.

SAN ANTONIO, TEX.

Najstarszem, a równocześnie największem miastem Teksasu zarówno pod względem zajmowanego obszaru



Alamo, dawny kościół, zbudowany w roku 1718, w którym obecnie mieści się muzeum m'ej-
strowych zabytków przeszłości.

jak i zaludnienia jest San Antonio.

Już w drugiej połowie 17 stulecia zatrzymywały się tu ekspedycje wojskowe, zaś w roku 1716 ulokowali Hiszpanie na stałe swe załogi.

Właściwie pierwszymi, którzy osiedli się na stałe w dzisiejszem San Antonio byli misjonarze zakonu Franciszkanów. W roku 1713 pobudowali oni kościół i klasztor, a w ciągu następnych lat kilkunastu, mając po za sobą siły militarne postawili w różnych punktach miasta kilka jeszcze świątyń.

Przy pomocy wojska nawracali misjonarze gromadnie Idyan, licznie w tych stronach osiadłych. Przez cały czas trwania rewolucji Meksyku przeciw Hiszpanom San Antonio bywało widowiskiem krwawych bitew, a obydwie strony zawzięcie walczyły o posiadanie miasta, uważając je za znakomity punkt do strategicznych operacyj.

W roku 1813, kiedy Hiszpanie pod dowództwem markiza Arridondo zajęli miasto, miała tu miejsce straszna rzeź. Kto nie zginął został wtrącony do więzienia.

Zrujnowane przez rewolucję San Antonio zaczęło podnosić się po 1821 roku, a w parę lat później liczba mieszkańców dosięgła 5,000.

Dalszy jego rozwój wstrzymała nowa rewolucja, wynikła w roku 1835 na skutek dyktatorskich rządów Sa. Anna. W marcu następnego roku po krwawej walce wyparli Teksaszczyki dyktatora i zajęli San Antonio.

Jeszcze raz w roku 1842 udało się Meksykanom zająć miasto, wnet jednak wyparci zostali przez Amerykanów.

Szybki wzrost San Antonio datuje się od niedawna.

Kiedy przed 55 laty zatrzymali się tu pierwsi polscy osadnicy, liczba mieszkańców nie przekroczyła 5,000. Załedwie siedem domów było w owe czasy piętrowych, reszta małe, parterowe, a wszystkie koncentrowały się w pobliżu rzeki. W dzisiejszych gęsto zaludnionych dzielnicach rezydencyjnych poroziucane były tu i ówdzie meksykańskie lepianki.

RUINY NAJSTARSZYCH KOŚCIOŁÓW I KLASZTORÓW W SAN ANTONIO, TEX.

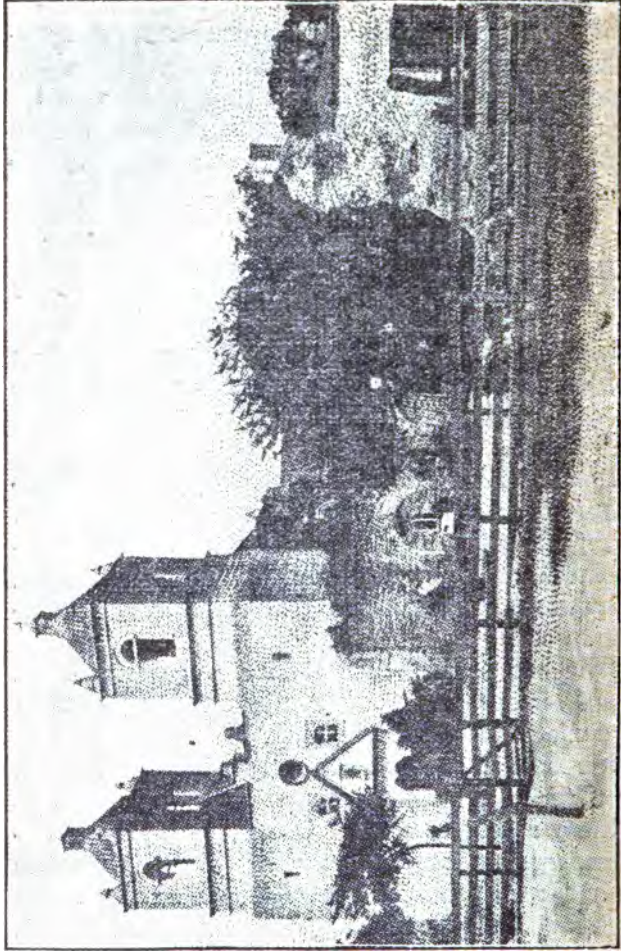
Dzisiaj San Antonio jest najpiękniejszym miastem Teksasu, liczącem 100,000 mieszkańców, a o wzroście jego świadczy powstających corocznie 500 nowych budowli.

Przez środkowe dzielnice miasta, w których skoncentrował się handel, płynie rzeka San Antonio, niezbyt szeroka i głęboka, ale czystą posiadająca wodę, która w swym biegu robi tyle nagłych zwrotów, że na przestrzeni paru bloków kilkakrotnie się ją spotyka.

Była ona dawniej dużo głębszą, a nawet splawną, dopdki miejscowe wodociągi nie zabrały jej wody za pomocą studzien artezyjskich.

San Antonio ginie w zieleni drzew, bujnie rosnących na ulicach i w podwórzach domów.

Kiedy z balkonu hotelu "Omala," gdzie się zatrzymałem, spojrzę namiasto, to widzę załedwie najbliższe budynki; nieco dalej wierzchołki dachów, a wszystko w dalszej perspektywie zda się być gęstym lasem. A jednak są to szczelnie zabudowane dzielnice miasta, kryjące się w cieniu liściastych drzew.



Ruiny kościoła w San Antonio, Tex., budowanego w roku 1713.

Bogata dzielnica nandlowa leżąca pomiędzy ulicami: Commerce, Houston i placem Alamo, posiada stosunkowo jeszcze mało wielopiętrowych budynków; przeważają jednopiętrowe, nawet parterowe, mimo że cena stopy frontu liczy się na tysiące dolarów.

A jednak w tych na pozór niewielkich domach mieszczą się potężne, znakomicie prosperujące interesa handlowe, które robią olbrzymie obroty.

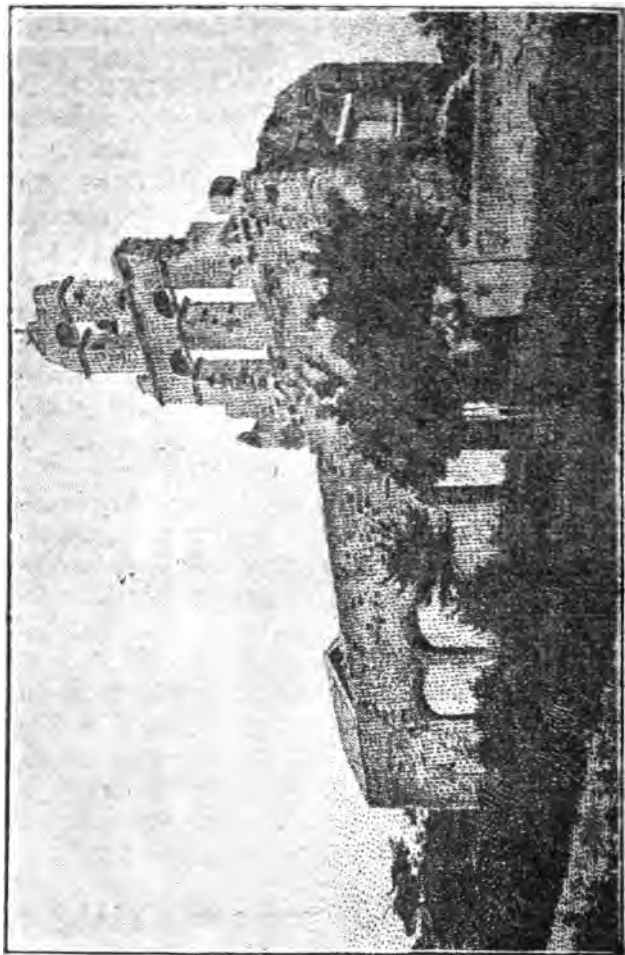
Stagnacya nie dała się tu odczuć, nawet w handlu panowało wyjątkowe ożywienie; a to dzięki temu, że ostatnie dwa lata w południowo-zachodnim Teksasie należały do urodzajnych; bawełna i kukurydza dały wyjątkowo dobre plony, zaś szybko wznoszące plantacye cebuli i warzyw zdobyły korzystny zbyt na północy.

Przemysł fabryczny słabo jest w San Antonio reprezentowany i ogranicza się wyłącznie do zaspokojenia niektórych miejscowych potrzeb. Na liczbę zakładów przemysłowych jest tu ich dużo, z wyjątkiem jednak browarów, są to małe fabryki, zatrudniające po kilkunastu, najwyżej kilkudziesięciu pracowników.

Próby ożywienia tutejszego przemysłu fabrycznego nie udały się, gdyż północni potentaci potrafili zawsze zgnieść inicjatywę w zarodku. Wreszcie przy małym zaludnieniu Teksasu i łatwym znalezieniu pracy u farmerów fabryki byłyby w większej zależności od robotnika;— tu strajkierowi łatwiej byłoby przetrwać dłuższe bezrobocie.

Na Meksykanów, których w San Antonio i okolicy jest dosyć, przy stałej systematycznej pracy liczyć nie można.

Są oni bodaj jeszcze więcej lekkomyślni od czai nych,



Pułny kościół w San Antonio, Tex., budowanego w roku 1720.

a poczuwszy w kieszeni trochę grosza rzucają robotę, by mieć czas na stacjonarne zarobku. Dopiero głód zmusza ich do ponownego podjęcia pracy.

Drogię jest południe dla podróżującego, zwłaszcza w podobnych jak ja warunkach, zaś San Antonio przewyższa pod tym względem inne miasta. Hotele wraz z życiem "American Plan" nieco taniej wypadają, ale z takich nie zawsze korzystać mogą, pilnowanie się godzin jedzenia kosztowałoby swobodę mych ruchów, jadam więc gdzie się da i często wskutek tego placę "frycowe."

Na pierwszy obiad w San Antonio zaszedłem do szumnie zareklamowanej "The Original Mexican Restaurant" chcąc równocześnie zapoznać się z Meksykańczykami i ich kuchnią.

Podano mi "tamales" t. j. masę z mąki kukurydzanej, upieczonej w takimż liściu, i następnie odrobinę mięsa, pływającego w paprykowanym sosie, tak zw. "Chile," wreszcie niedogotowany placek "tortilla," obłany papryką stanowił trzecie i ostatnie danie.

Wszystkiego tego razem za dużo było jak na zakąskę, a zbyt mało, by najskromniejszy zaspokoić apetyt. Kiedy wychodząc zapytałem obsługującego Meksykańczyka, co zamierzają dać na kolację, odrzekł mi z dumą, że tu trzy razy dziennie podaje się identycznie jedno i toż samo.

Zwabiony dźwiękami orkiestry, zaszedłem na kolację do amerykańskiej restauracji. Muzyka doskonała, zato porcyjki na pół zimne i mikroskopijne.

Zapominając o zapowiedzianym bojkocie co pruskie, udałem się następnego dnia do niemieckiej ja-

dlodajni, odznaczającej się tem, że dają dużo, świętowo i tanio.

Drożyżna w teksaskich restauracjach niczem nie da się usprawiedliwić, gdyż mięso tu nie jest droższe niż gdzieindziej, zaś jarzyny, nabiał i drób o wiele są tańsze.

Ludność San Antonio składa się z 20,000 Meksykańczyków, 15,000 Niemców, 5,000 czarnych, resztę stanowią Amerykanie i nielicznie reprezentowane inne narodowości. Polaków jest tu kilkuset, nie wszyscy jednak przyznają się do swego pochodzenia.

Nastarszym w mieście zamieszkałym Polakiem jest Tomasz Kiołbasa.

Po krótkim pobycie na kolonii Panna Marya przybył p. Kiołbasa do San Antonio i osiedlił się tu na stałe, a spróbowawszy różnych zajęć i przeszedłszy wiele kolei dorobił się dość znacznej fortuny.

Sam dom, w którym mieszka, położony w handlowej części ulicy Commerce wart jest \$50,000. 70 letni p. Tomasz rad jest widzieć u siebie rodaków i spieszy im z pomocą, gdy tego zajdzie potrzeba. Młodszy jego brat ś. p. Piotr Kiołbasa tu również rozpoczął swą karierę.

Pracując w jednym z mniejszych hoteli, uczył się wieczorami. Wzięty do konfederacyi przeszedł z niej wkrótce w szeregi północnej armii amerykańskiej, w której dosłużył się rangi oficera. Powróciwszy następnie w te strony był jakiś czas nauczycielem i organistą w kolonii Panna Marya.

Dalsza karyera na bruku chicagoskim zmarłego skarbnika miasta ogólnie jest znana.

Przedsiębiorców polskich w San Antonio jest kilku. Duży sklep kolonialny i składy zboża posiada T. Morgott; E. Dobrowolski ma zakład blacharski; W. Dobrowolski prowadzi biuro sprzedaży nieruchomości i jest właścicielem dużych plantacyj cebuli w południowym Teksasie; J. Molgoczewicz prowadzi salon; A. Zyzik zakład pogrzebowy. Są to wszystko poważni i zamożni kupcy, prowadzący swe interesa solidnie i posiadający wyrobienie handlowe. Nadto kilku Polaków w charakterze subiektów pracuje w sklepie departamentowym Joske Bros. wielu po fabrykach, reszta gdzie się da.

Dla rzemieślników pole do pracy jest tu bardzo ograniczone, znajomość angielskiego niezbędna, a płaca niewielka.

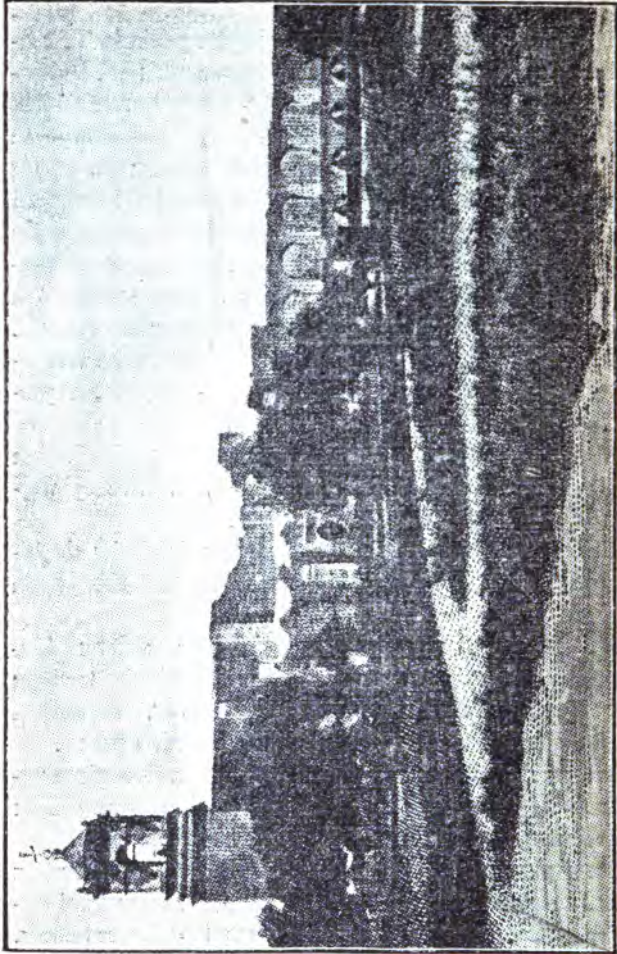
Ostatnie wypadki w Rosyi wyrzuciły na bruk San Antonio sporo polskiej młodzieży, z której większość przybyła wprost z Japonii.

Emigranci ci, będący przeważnie bez środków do życia, zanim trafili do swoich zwrócili się do tutejszych Żydów.

M. Shapiro, właściciel niewielkiego sklepu bławatnego przy ulicy Commerce trzymał u siebie w ciągu paru tygodni dwunastu młodych Polaków, dopomógł im do przeżycia tego czasu i szukał dla nich pracy.

W ten i inny sposób dopomagali sporadycznie przybywającej naszej emigracyi i inni Żydzi, a mianowicie: S. Wolfson, Dolkowicz, Dr. Burg i Dr. Robinson.

Tu z przykrością zaznaczyć należy, że niektórzy z tych, co przeżyli ciężkie chwile dzięki żydowskiej pomocy, dzisiaj starannie omijają swych dobroczyńców. "Jak bieda, to do Żyda" — mówi nasze stare przysłowie.



Ruiny kościoła w San Antonio, Tex., budowanego w roku 1730.

W wojsku, którego w San Antonio jest dużo i ma tu ono wspaniałe koszary służy 10 Polaków, dwóch Rosjan i kilkunastu Żydów. A. Polak (podwójny Polak) pracujący od lat 30 w intendenturze wojskowej, ma pod swoją opieką magazyny wojskowe.

Największe interesa handlowe znajdują się od lat dawnych w rękach Żydów.

Synowie ich tu urodzeni, lub wychowani zamerykanizowali się, starzy jednak ojcowie chętnie przyznawali się i przyznają do polskiego pochodzenia.

Kiedy mowa o Żydach, to na zasadzie zebranych faktów i osobistych spostrzeżeń powiedzieć o nich muszę słów kilka.

Jeżeli izraelici zaciągnęli ongi dług wdzięczności względem Polaków, a właściwie Kazimierza Wielkiego, który prześladowanym udzielił przytułku i opieki, to następne pokolenia, nie idąc za przykładem wielkodusznego króla, całym szeregiem upokorzeń kazały sobie płacić ten dług, wraz z lichwą.

W miarę jak sprytni, zabiegliwi, solidarni Żydzi za pomocą krańcowej oszczędności dochodzili do fortun, niechęć i nienawiść rosły względem nich.

Zauważano im, że bogacą się naszą krwawą pracą, tymczasem zbierali oni tylko skrzętnie to, co my nieopatrznie wyrzucaliśmy, wykorzystywali te źródła, z których my czerpać nie potrafiliśmy.

Robione przez Żydów kapitały i rucho-
miczne i pozostające w kraju stworzyły handel, zapoczątkowały przemysł.

Zamiast przyswajać sobie żydowską oszczędność, solidarność i spryt handlowy, społeczeństwo polskie

traktowało i dzisiaj jeszcze traktuje Izraelitów tak, jak południowi Amerykanie czarnych.

Więcej już w owe czasy kulturalni od dzisiejszych Negrów Żydzi, mający po za sobą historię i dużo życiowego doświadczenia, zamiast uleźć lub zginąć w nierównej walce, postanowili za pomocą bogactw zająć należne stanowisko wśród pogardzającego nimi społeczeństwa.



Tomasz Kio'basa, z San Antonio, Tex.

W drodze do zdobycia niezbędnego, decydującego o ich losie majątku nie przebiali wprawdzie oni w środkach, nie rządili się sentymentem ani żadną etyką, dziwić się temu jednak trudno,— w ich mniemaniu pogardzający nimi ogół na względność nie zasługiwał.

W taki sposób pogardzany przez szlachcica, wyśmiewany przez dworską służbę pachciarz, przymierający nieraz z rodziną z głodu, byle mieć dla dziedzica na zawołanie gotowy grosz stawał się z czasem właścicielem dóbr lekkoomyślnego utracjusza.

Zarzucaamy Żydom, którzy dążyli do znaczenia i fortuny arogancyę, jedynie jednak za pomocą tej arogancyi mogą oni nakazać sobie szacunek wśród tych, którzyby radzi ich lekceważyć, lub pokazać tem samem, że o ich względy nie dbają.

W drugiej połowie ubiegłego stulecia, gdy młodzież żydowska porzuciła hede:ry i jęła garnąć się do nasych szkół, zaś jej ojcowie zaznaczając swą solidarność w walkach o niepodległość składali na ołtarzu ojczyzny swe życie i mienie, ujawniła się w naszym społeczeństwie pewna dążność ku asymilacyi.

Jak ten objaw przyjęła inteligencya żydowska, posłużyć bodaj może za dowód wryty w nowej synagodze w Warszawie przy ul. Tłómackiej następujący napis: "Izaliż nie jeden jest Bóg, dlaczegóż więc wrogować mamy między sobą?"

Pierwsze kroki na drodze zbliżenia dwóch narodów nie były sympatyczne.

Zbankrutowani materialnie arystokraci brali bogatych Żydów za zięciów, lub żenili zblazowanych swych synów z Żydówkami; w każdym razie pierwsze lody zostały złamane.

Niestety na tem się tylko skończyło.

Falszywi patrioci i nasi szowiniści narodowi podnieśli alarm, dowodząc, że przez zbliżenie się do Żydów zatracimy nasze cechy narodowe, naszą indywidualność. Na czele tego anty-semickiego ruchu stanął Jan Jeleński.

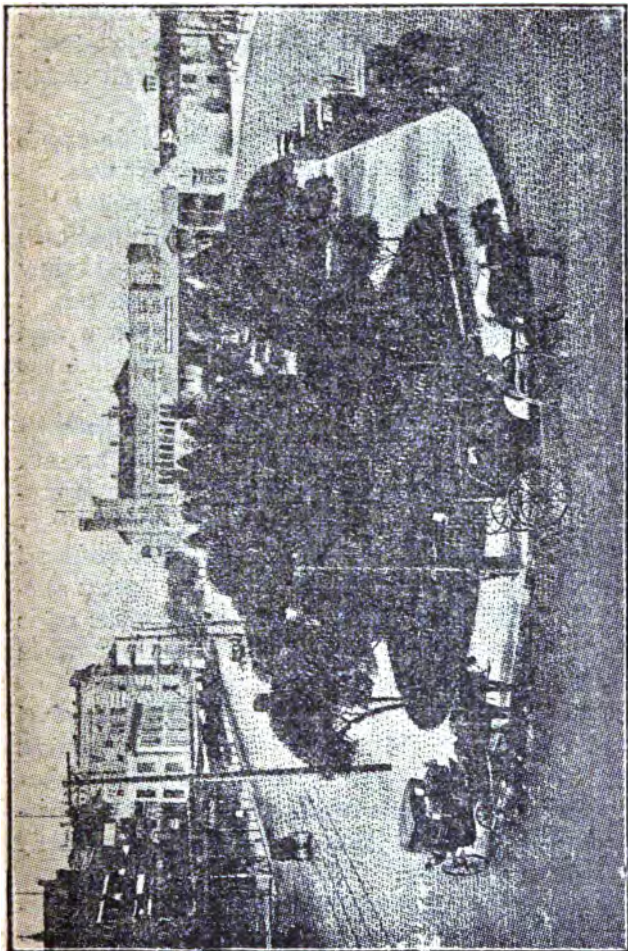
Ten mniemany patriota a właściwie spryciarz, znający słabostki naszego społeczeństwa, trafił w sedno rzeczy dzięki czemu, odrazu zyskał poparcie.

Jego pismo "Rola" znalazła przedewszystkiem zwolenników wśród tych wszystkich, którzy wlaszszy nieopatrznie w żydowskie kieszenie radzi byli, iż znalazł się ktoś, co ich lekkomyślność wziął w obronę i w ich imieniu wierzycielom nawymyślał.

To też największy kontyngent prenumeratorów dostarczyła "Roli" szlachta, a że pismo redagowane było w duchu religijnym, poparło go i duchowieństwo.

Kto był ten "Jaś poczciwy," jak nazywali Jeleńskiego zwolennicy "Roli," dość powiedzieć, że był on zawsze pupilem moskiewskiej cenzury, że plwając na Żydów, do zdobycia ogłoszeń, zapelniających dwie trzecie jego gazety, używał wyłącznie żydowskich agentów.

Chętnił się Jeleński, że nie reklamował firm żydowskich i mógł to robić z całą bezczelnością, wiedząc, że żaden izraelski kupiec, bodajby we własnym interesie nie dałby "Roli" swego ogłoszenia. Skoro jednak w jakiejkolwiek firmie anonimowej pracowały



Plac Alamo w San Antonio, Tex.

żydowskie kapitały, tam wnet zjawiał się zaufany redakcyi "Roli" i dawał do wyboru: "albo dajcie do brze płatne ogłoszenie, lub opublikujemy kto jesteście."

Dla miłego spokoju i dobra interesu ulegał każdy terrorowi i wolał opłacić się.

Tacy i podobni Jeleńskiemu warcholi ważne często odgrywają rolę w dziejach naszego społeczeństwa.

Na zbliżeniu się Żydów z Polakami korzyści byłyby po naszej stronie. Przyswojeniem sobie wielu ich cnót wypełniłyby się nasze braki. Czy i co zyskaliby wzamian Żydzi byłoby ich rzeczą, zdaje się jednak, iż po za zadowoleniem ambicyi, jaka przychodzi w ślad za zdobyciem majątku, skorzystałby oni niewiele co więcej.

Popatrzmy, jakie odnosi korzyści inteligentna młodzież żydowska, gdy chce wejść w stosunki z naszą. Zamiast do swego kółka rodzinnego prowadzą ją protektorzy do knajp i w życie zakulisowe, gdzie młody izraelita, wyzbywając się swych lepszych cech traci lekkomyślnie ciężko zapracowany grosz przez swego ojca. Większość tych spostrzegłszy zawczasu gdzie idzie, cofa się ze złej drogi, ale nie wszyscy; wielu zwichnęło w ten sposób swą karierę.

A jednak ci Żydzi, którzy stanąwszy tu na wolnej ziemi obracają się daleko swobodniej od nas, zamiast mścić się na tych, którzy dla nich mieli tylko pogardę, lub korzystać z odwetu, dopomagają mniej zaradnym polskim przybyszom, radzi są ich widzieć i uważają za swojaków.

W St. Louis zapytałem prasującego mi na oczekaniu ubranie żydowskiego krawca, skąd pochodzi. Okazało się że przed 15 laty przyjechał z War-

szawy. Gdy mu przypomniałem rodzinne jego strony, nie posiadający się z radości Żyd nie chciał przyjąć zapłaty za wykonaną robotę. "To co mi pan opowiedział--odrzekł, gdy nalegałem o rachunek--war-
te jest dużo więcej niż ta odrobina mej pracy."

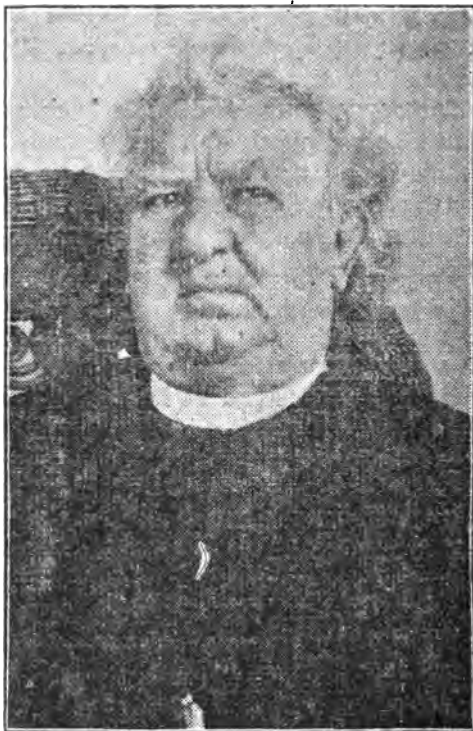
Ten i wiele jemu podobnych faktów dowodzą, że choć my przywykliśmy uważać izraelitów za kosmopolitów, to jednak oni przyłgnęli sercem do swej przybranej ojczyzny i pozostawili w niej cząstkę swego jestestwa.

Gdybyśmy zamiast stronić od Żydów i uciekać się do nich tylko w ostateczności, starali się przyswoić sobie ich dodatnie strony, a zwłaszcza solidarność, to przybywający tu polski emigrant nie chodziłby po omacku, uniknął wielu niepowodzeń, które niejednego wyko-
leliły i zepchnęły na bezdroża.

Polska parafia ukonstytuowała się w San Antonio już w roku 1860. Dojeżdżali tu księża Rozwadowski i Przysiecki, zaś w roku 1866 osiadł na stałe ks. W. Barzyński, który odprawiał dla Polaków nabożeństwa w kościele San Fernando. Kościół polski zbudowany został w roku 1867, zaś w roku zeszłym powiększony. W roku 1886 objął parafię Św. Michała ks. L. Dąbrowski, a przeniesiony w dwa lata później do parafii Św. Jadwigi administrował nią w dalszym ciągu.

Gdy wiek a zwłaszcza reumatyzm nie pozwoliły ks. Dąbrowskiemu na pełnienie obowiązków na kolonii, przybył roku 1897 do San Antonio, osiadł tu na stałe i ku zadowoleniu swych parafian pasterzuje po dziś dzień.

Urodzony w Warszawie w roku 1844, tam ukończył szkoły, a następnie kurs filozofii miejscowego seminarium. Prześladowany przez Moskali za udzielenie pomocy powstańcom wyjechał do Rzymu, gdzie po ukończeniu teologii otrzymał święcenie kapłańskie i pozostał tam kilka lat.



Ks. Ludwik Dąbrowski

Nie mogąc wrócić do Królestwa, udał się następnie do Galicji, gdzie był wikaryuszem.

Do Ameryki przybył ks. Dąbrowski w roku 1886. jest dobrym patriotą, przykładnym księdzem i miłym w obejściu człowiekiem.

Przy kościele św. Michała znajduje się szkoła, którą na gruncie do parafii należącym postawiły Urszulanki. Gdy z powodu klauzury zakonnej nie mogły tu dłużej pozostawać, oddały budynek siostrzemu zakonu Boskiej Opatrzności, ale z tem zastrzeżeniem, że stale utrzymywać będą przynajmniej jedną polską siostrę.

Kościelno - narodowe Towarzystwo Św. Wojciecha, liczące 60 członków, posiada własną halę, na której jednak angielski umieszczono napis. Kasa Towarzystwa płaci \$75 pośmiertnego, a przez czas choroby otrzymuje członkowi \$2 tygodniowej zapomogi.

ST. HEDWIG, TEX.

Na kolonię św. Jadwigi zwaną dawniej Martínez,jechać można odchodzącą raz dziennie koleją lub traktem.

Wybrałem ostatnią drogę, aby bliżej przypatrzeć się polskiej gospodarce, zwłaszcza że ziemie naszych farmerów już na połowie drogi spotkać można.

Pierwsze 10 mil prowadzi doskonała szosa, jaką w Ameryce rzadko spotkać można, a idąca dalej droga nie należy do najgorszych.

Te en dzielący San Antonio do miejsca gdzie zaczęli osiedlać się Polacy, w owe czasy był do sprzedania po bajecznie niskiej cenie, lecz brk na nim było d zawa

nietylko do budowy, ale nawet na ploty, a drut kolczasty nie był jeszcze wtedy znany.

To było jedynym powodem, że pierwsi nasi osadnicy nie zajęli tych gruntów, które obecnie poszły do wysokiej ceny.

Niebawem nabyli je niemieccy koloniści, a tym sama przyroda przysłała wkrótce z pomocą.

Sko-ro przestano palić trawy, a wraz z nimi latorośle drzewa "moscat'owego," ostatnie rozrosły się, dostarczając pod dostatkiem pali na ploty.

Posuwając się dalej znaleźli Polacy dęby i te zachęciły ich do osiedlenia się.

Ujechawszy 11 mil od San Antonio, spotyka się grunta M. Machuli, których ogółem posiada on 2,000 akrów, tyleż ma jego sąsiad A Stanuś, zaś idący za nimi Kulesia gospodarzy na 700 akrach.

Wśród polskich pól dojechałem do kościoła, w pobliżu którego ulokowały się sklepy.

Pierwszy z nich należy do Niemca, trzyma on jednak polskiego subiekta ; następny ma L. Lubożański; właścicielem trzeciego jest nasz prenumerator A. Strzelczyk, — u niego znajduje się miejscowe biuro pocztowe. Pan Strzelczyk jest równocześnie właścicielem 500 akrów ziemi, którą obrabiają dzierżawcy.

Najdawniej osiadłym w tych stronach Polakiem był kapitan wojsk polskich rewolucyi 1831 roku ś. p. Dorstyn, który przybywszy tu około 1835 roku żył z polowania na sarny i dzikie indyki.

Choć nie stary jeszcze, ale sterany życiem kapitan, żonały z Amerykanką, znanym był ze swej prawości i ogólnie przez tubylców szanowany.

Starzy ludzie, którzy pamiętają go dobrze twierdzą,

że był bardzo przystępnym i miłym w obejściu, a na każde wezwanie spieszył, by dopomóc Polakom przy zawieraniu umów z amerykańskimi obszarnikami.

Jakie było właściwe nazwisko kapitana Dorstyn nie wiadomo, nikt go o niego nie pytał, sam on jednak wspominał, iż przybywszy tutaj, i mając do czynienia wyłącznie z Amerykanami skrócił je.

Z żyjących po dziś dzień pierwszych osadników na kolonii św. Jadwigi najstarszym i bodaj jedynym, który może pamiętać pierwsze kroki tutejszej imigracji jest Tomasz Kozub.

Jako 16-letni młodzian przybył on wraz z rodzicami do Ameryki w roku 1855 i osiedlił się w St. Hedwig. Krzepki i czerstwy mimo 70-ciu lat p. Kozub pamięta dobrze ubiegłe czasy i zna dokładnie dzieje rozwoju tutejszego polskiego osadnictwa.

“Kiedy przybyliśmy gromadnie do San Antonio — opowiada p. Kozub — większa część gromady ruszyła dalej do Panny Maryi, gdzie już rok wcześniej osiadła spora garstka naszych Górno - Ślązaków, my w liczbie 13 rodzin osiedliśmy tutaj, dając początek kolonii św. Jadwigi.

Nazwiska tych założycieli są: F. Tudyk, M. Tudyk, A. Pierdola, M. Pierdola, Fr. Kozub (mój ojciec), A. Kozub, J. Zając, M. Cybis, W. Anioł, P. Kaczmarek, W. Stanuś, J. Michalski i T. Krawiec.

Zastaliśmy step, na którym tu i ówdzie rosły gube rozłożyste dęby, ale nie wysokie.

Kto miał gotówkę, przystąpił zazwyczaj do kupna ziemi, inni wydzierżawili grunty, a niektórzy służyli u Amerykanów.

Sialiśmy kukurydzę, jarzyny na własną potrzebę, a

głównie hodowali bydło. O uprawianiu bawełny nie miał tu jeszcze nikt wyobrażenia.

Pomarkowane bydło chodziło zupełnie swobodnie po olbrzymich stepach, przed nadejściem zimy szło w lasy, a z nastaniem wiosny kierowało się tam, gdzie na przód zazieleniała trawa.

W takich warunkach traciliśmy zupełnie kontrolę nad naszym dobytkiem.

By je odnaleźć trzeba było robić dalekie wyprawy, których rezultat bywał różny. Czasem znajdowało się swe bydło z przychowkiem, często jednak traciliśmy go bezpowrotnie.

W roku 1857 przystąpiliśmy do budowy kościoła, na który obszarnik pozwolił nam zabrać potrzebną ilość dębów.

Gdy nasi rozpoczęli tu pracę zjeżdżali się okoliczni Amerykanie, by podziwiać jak przy braku odpowiednich narzędzi spuszczałyśmy grube dęby, obabiali na kloce, a zdjawszy koła z jednej strony wozu wtaczali nań i wieźli wołami.

Niewielki kościół stanął prędko; zbudowaliśmy go sami, bez niczyjej pomocy.

Po roku 1865 uwolnieni Negrzy przybyli w te strony, a kupiwszy małe działki ziemi zaczęli uprawiać bawełnę.

Od nich nauczyliśmy się siać i zbierać ten produkt, będący dzisiaj podstawą naszego tu gospodarstwa.

Obszarnicy obawiając się stagnacji, wobec braku niewolników proponowali nam kupić najlepszych guntów po niskiej cenie i na dogodnych warunkach spłaty, ale nie skzystaliśmy z tego, przypuszczając, iż nie posiadają oni formalnego tytułu własności.

Jedno azowo większa imig acya, podobna do tej z jaką my przybyliśmy nie miała już następnie miejsca, każdego jednak roku przyjeżdżało po kilka i więcej rodzin, z któ-ych utwo-zyła się dzisiejsza g omada.

P. T. Kozub ojciec 18 dzieci, z któ-ych 10-ro jest już na swoim chlebie posiada 500 akrów ziemi nad rzeką Cibola i liczne inwenta ze.

Późniejsi przybysze, korzystając z doświadczenia starych osadników podorabiali się przedzej.

M. Gorlonka, który tu przyjechał przed 20 laty posiada 400 akrów doskonałej ziemi wyplaconej, wartości \$15,000, oraz sporo gctówki.

Toż samo można powiedzieć o p. A. Strzelczyku o wiele później osiadłym. Nowa imigracya, znajdując z łatwością g. anta do wydierżawienia, składa pieniądze na kupno farm.

Blisko lat 10 kolonia św. Jadwigi nie miała stałego księdza. Dojeżdżał tu ks. A. Rczwadowski, później ks. J. Przysiecki.

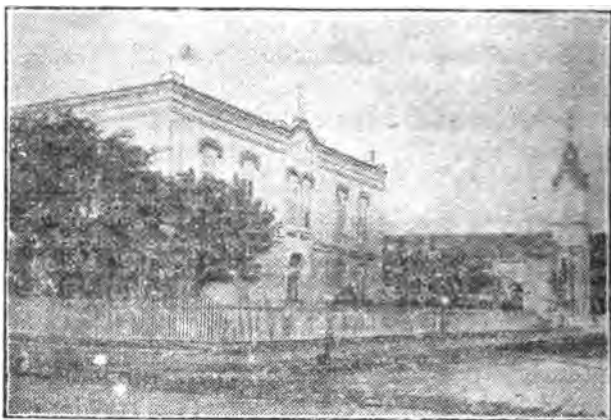
Pierwszym stałym proboszczem był ks. F. Orzechowski, a następcą jego ks. F. Zwiardowski Zmartwychstaniec, przy którym stary kościół został rozebrany i postawiony nowy z kamienia, na ziemi ofiarowanej przez: M. Pierdołę, J. Mochalskiego, A. Tudyka i T. Klawca.

Przez lat blisko 20 tutejszą parafią zarządzali Zmartwychstańcy, a po ich usunięciu się przybył ks. L. Dąbrowski, obecny proboszcz w San Antonio, który pełnił

sze obowiązki od 1887 — 1899. Jego następcą ks. T. Jaroń, dzisiejszy pastor w Kościuszkowicach do 1905, później zastąpił go ks. Sz. Urbanek, zaś po jego śmierci objął parafię obecny proboszcz ks. P. Mosler.

Ks. P. Mosler urodzony na Górnym Szląsku przybył do Ameryki jako młody misjonarz i niebawem przeznaczony został proboszczem na kolonii św. Jadwigi.

Do parafii Stej Jadwigi należy dzisiaj 209 polskich rodzin, nie licząc 100 meksykańskich, mieszkających w bliskiej okolicy, które nie wnoszą stałych opłat na utrzymanie kościoła, płacąc jednak każdego azowa za obsługę religijne.



Kościół polski św. Michała i szkoła do której uczęszczają dzieci polskie w San Antonio, Tex.

Obecnie kosztem \$5,600 odbywa się restauracja kościoła wewnątrz i zewnątrz, oraz buduje nowa wspólna wieża.

W szkole, do której uczęszcza 150 dzieci polskich kolonistów, uczą 4 siostry, z których tylko jedna jest Polką.

BANDERA, TEX.

Leży o 53 mile na zachód od San Antonio w pięknym malowniczym położeniu, otoczona ze wszech stron wysokimi górami.

W mieście liczącem 2,200 mieszkańców interesów handlowych polskich niema.

W jednej z najstarszych kolonii Bandera wśród Niemców i Amerykanów mieszka obecnie 50 polskich rodzin.

Już w roku 1858 stanął kościół, ale stałego polskiego kapłana nie miał przez długi czas, aż wreszcie osiadł tu Zmartwychstaniec ks. K. Kucharczyk i pozostał czas dłuższy.

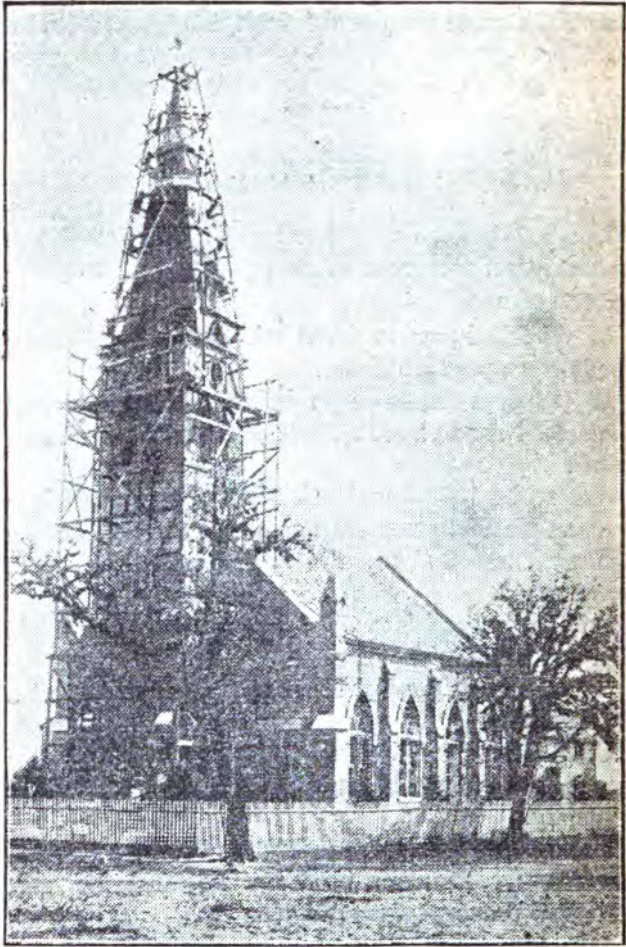
Po jego wyjeździe znów lat kilkanaście nie miała Bandera polskiego księdza.

W roku 1899 przybył i pasterzował tu dwa lata ks. W. Matysiak.

Odkąd ten opuścił parafię dostała się ona w ręce niemieckich księży, którzy opiekują się nią po dzień dzisiejszy.

Biskup oświadczał się parokrotnie Polakom z chęcią posłania na Bandere polskiego kapłana, ale nasi koloniści propozycyi nie przyjęli.

Jaka właściwie tego przyczyna dowiedzieć się nie mogłem.



Kościół św. Jadwigi w St. Hedwig, Tex.

FLORESVILLE, TEX.

Polskich farmerów osiadłych wśród inonarodowców można spotkać prawie na całej przestrzeni Teksasu. Mieszka też ich paru w okolicy Floresville, leżącego o 32 mile na południe od San Antonio.

W samym mieście jest jeden tylko Polak L. K. Niewierski, Warszawianin, powstaniec z 1863 roku.

Skazany na dłuższe osiedlenie w Syberji został po rocznym tam pobycie ulaskawiony, ale nie mogąc znieść doznawanych szykan ze strony ciężącego nad nim dozoru policyjnego wyjechał do Ameryki.

Czas jakiś mieszkał p. Niewierski w Boston, Mass., później w stanie Missouri, zaś od 25 lat osiadł w Floresville, Tex., gdzie prowadzi zakład zegarmistrzowski.

FALLS CITY, TEX.

O 50 mil od San Antonio ku południowi leży Falls City, założone w 1884 roku, po przeprowadzeniu drogi żelaznej San Antonio & Arankas Pass.

Okolo 100 rodzin liczące miasto posiada dużo silnych interesów handlowych, a wszystkie one prawie znajdują się w polskich rękach.

Ogromny sklep zatrudniający 10 subjektów, duże składy zboża i bawełny, bank, sortownie bawełny, nadto wielkie obszary ziemi posiada tu Polka, wdowa D. Szulc.

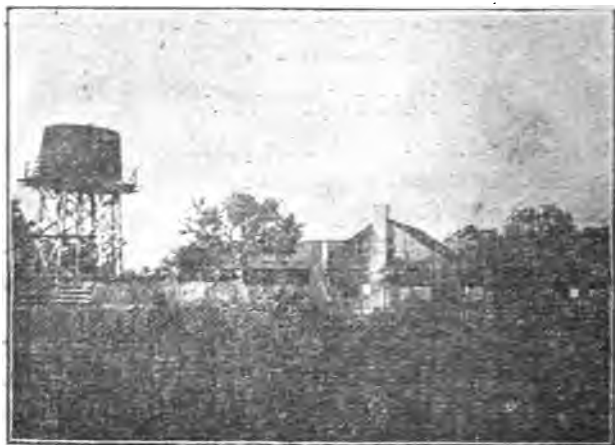
Owdowiawszy, otworzyła ona sklepik na Kolonii Panna Marya, gdzie dorobiła się, a następnie przeniosła swój interes do Falls City.

Majątek pani Szulc obliczają obecnie na \$400,000.

Chciałem poznać tą dzielną niewiastę, lecz jej syn Jan, zarządzający interesem, który acz pono mówi po polsku rozmawiał ze mną po niemiecku, nie chciał mię do niej dopuścić.

Duży skład drzewa budowlanego, oraz farmę posiada B. Kowalik, sympatyczny bardzo człowiek i zdolny kupiec.

Po za tymi są tu następujące polskie interesa: F. Nieświec, F. Kołodziej i F. Labuś posiadają sklepy spożywcze i bławatne; E. F. Pawelek — aptekę; P. Mańka, F. Pawelek — saluny; F. Nieświedz — sortownię bawełny, wreszcie, M. Pola — — remizę (stables).



Zagroda F. Nieświedza, w Falls City, Tex.

Falls City, zwłaszcza w ostatnich latach, wzrasta szybko.

Polskie farmy, poczynając od miasta ciągną się mil kilkanaście ku wschodowi, pomieszane z czeskieimi, morawskimi i niemieckimi.

Z wyjątkiem kilku starszych osiedli tu przeważnie młodzi ludzie przybyli z Panna Marya.

Poznałem tu między innymi milego staruszka J. Wiaterka, znanego przez długie czasy i sławnego w okolicy zestawiacza połamanych kości.

Wielu bardzo ludzi, zamieszkałych w tych stronach uniknęło kalectwa dzięki tylko umiejętności p. Wiaterka. Po za tą specjalnością w żadne leczenie nie wdał on się.

Pozazdrościł ostatnimi czasy sławy naszemu operatorowi miejscowy lekarz Amerykanin, a nie mogąc w inny sposób pozbyć się współzawodnika zapłacił mu, byle tylko p. Wiaterek nie uprawiał dalej swej specjalności. Nasz rodak pierwszy raz na swej umiejętności zrobił dobry interes, gdyż za dokonywane operacje nie brał.

Dopiero w roku 1902 stanął kościół polski w Falls City.

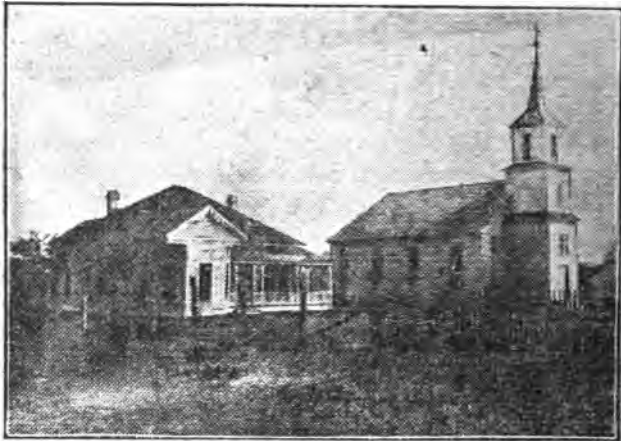
Pierwszym księdzem, który tu dojeżdżał, był ks. St. Przyborowski; obecnie parafia posiada stałego proboszcza w osobie ks. J. Jachtla.

Polskich rodzin należy do kościoła 55, a nadto około 20 czeskich, niemieckich i meksykańskich.

Z sympatycznym wielce kapłanem poznałem się w Częstochowie, dokąd przybył, by dopomódz koledze w spowiedzi.

Pochodzi on z Tarnowa i do tej dyccezyi należy po dzień dzisiejszy, a pobyt swój w Teksasie uważa za czascwy.

Pierwsze dwa lata po przybyciu do Ameryki był ks. Jachtel wikaryuszem w Newark, N. J., a tyleż czasu postępuje, już w Falls City.



Kościół polski i plebania w Falls City, Tex.

CESTOCHOWA, TEX.

Do oddalonej o mil 7 od Falls City Częstochowy jechać trzeba końmi.

Pela na tej drodze dobre, dużo spotyka się czarnej ziemi, a wszystkie starannie obrobione.

Przeszłości oddzielnej tej dzisiaj kolonii, stanowiącej część rozległej ongi Panny Maryi opisywać osobno niema potrzeby, gdyż łączy się ona ściśle z historią swej macierzy.

Najstarsza z żyjących jeszcze mieszkanek, wdowa

Fr. Bronder, licząca obecnie 93 lat, osiadła tu wraz z mężem w roku 1854.

Równocześnie przybyli Sz. Bronder, mimo 82 lat wieku czerstwy jeszcze staruszek, opowiadał mi, że wraz z nim i bratem osiedlili się tu w tym czasie: F. Wiaterek, J. Brol, F. Mszyk, Fr. A. i M. Pawelki, J. F. i J. Gawliki, W. Jarzębek, P. i J. Pawliki, J. i A. Brysie, S. Tycman, K. Kożekwa i J. W. Mutza.

Ta gromadka wraz z braćmi ks. L. Moczygęba założyła najstarszą i zarazem pierwszą w Stanach Zjednoczonych rolniczą kolonię.

Grunta początkowo były tu bardzo tanie; Sz. Bronder i J. Gawlik kupili 2,000 akrów, płacąc po 75c. Długo czas można było nabywać w tych stronach ziemię po \$1—2, ale ludzie nie mieli pieniędzy.

Obecnie za akier zapłacić trzeba \$18—30.

Sz. Bronder posiadacz 1,000 akrów ziemi obrabiał tylko 30 akrów, zaś resztę obrócił na pastwisko, na których chowa 150 sztuk bydła.

Miasteczko Częstochowa, posiadająca dawniej dwadzieścia domów, po założeniu Falls City podupadło i ma ich dzisiaj zaledwie kilka.

Handel miejscowy reprezentują: sklep kolonialny polski, także amerykański i salon J. W. Pawelka.

Parafię w Częstochowie przy współudziale 50 kolonistów założył ks. F. Zwiardowski, Zmartwychwstańce w roku 1883, a równocześnie na gruntach ofiarowanych przez A. Jarzembka i T. Mutza stanął obecny kościół.

Po usunięciu się Zmartwychwstańców objął parafię ks. T. Moczygęba, i pozostawał w niej do 1893. Na-

stępcą ks. Moczygeby był w ciągu 5 lat ks. T. Jaroń, zaś po jego wyjściu w ciągu paru lat zmieniło się kilku księży, aż wreszcie parafia powierzona została ks. St. Przyborowskiemu, proboszczowi Panny Maryi, który, obsługując obecnie dwa kościoły, obrał sobie Częstochowę za stałą siedzibę.

Do parafii częstochowskiej należy dzisiaj 85 rodzin.

Ks. Stanisław Przyborowski.

Urodził się w Tarnowie, gdzie ukończywszy gimnazjum wstąpił do miejscowego seminaryum.

Zagrożony chorobą piersiową za radą lekarzy udał się do Galveston, a po otrzymaniu tam święceń kapłańskich mianowany został w roku 1898 proboszczem w Panna Marya.

Miły, łatwy w obejściu, gościnnie, a przytem rzadko przykładowy jako kapłan zjednał sobie ks. Przyborowski miłość i szacunek swych parafian.

Bardzo praktycznie urządzono się tu ze szkołami.

Jest ich w parafiach ks. Przyborowskiego cztery, a mianowicie: w Częstochowie, w miejscowości zwanej Pułaski, u św. Jana i w Pannie Maryi, wskutek czego dzieci kolonistów uczęszczając do najbliższej, nie mają daleko.

Uczą siostry i nauczycielka rządowa, obecnie panna A. Kolodziej.

Zarówno siostry uczące po polsku i angielsku, jak i nauczycielka wykładająca wyłącznie język angielski mieniają się, a przechodząc kolejno z jednej szkoły do drugiej, zatrzymują się w każdej po kilka miesięcy.

Mimo uprzejmej propozycji ks. Przyborowskiego, by u niego zanocować udałem się wieczór na odległą o milę farmę Jana Gawlika, gdzie zostałem zaproszony i bardzo serdecznie podejmowany.

Po spożyciu wieczerzy gospodarze, 10-ciu ich dorosłych synów, oraz przybyły sąsiad J. Broll, bardzo sympatyczny rozsądny kolonista, zasiedli ze mną do gawędy, która przeciągnęła się do północy.

Zachowanie się zebranych było wzorowe.

Z ciekawością słuchali mych opowiadań, zadając od czasu do czasu pytania, lub robiąc rozsądne i trafne uwagi świadczące, że ci ludzie posiadają dużo wrodzonej inteligencji, wiele wiadomości, a nadewszystko myśleć potrafią. Nawet 13-to letni najmłodszy syn pp. Gawlików nie chciał mimo nawoływań iść spać i wytrwał do końca.

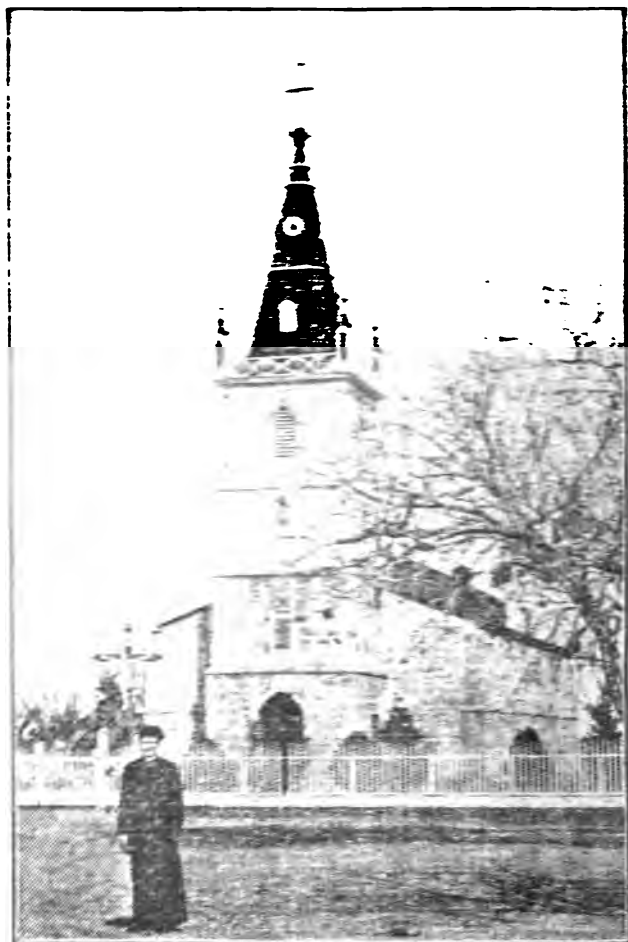
Gdy zwróciłem uwagę na spóźnioną, porę odezwali się wszyscy jednogłośnie: "słuchalibyśmy Pana z chęcią noc całą."

Przedsiębiorczy i rozumny gospodarz Jan Gawlik, korzystając z przechodzącej przez jego grunta rzeki Cibola nawadnia sztucznie 30 akrów, z których 10 przeznaczą na plantacje cebuli, zaś na reszcie sioje kukurydzę i sadi ogrodowizny.

Posiada on maszynę parową o sile 60 koni, a poruszana przez nią pompa, wyrzucając 1,200 galonów wody na minutę jest w stanie nawodnić 4 akry pola dziennie.

Cebula wymaga dość dużego nakładu pracy.

Przedewszystkiem należy zasiać nasienie i przygotować flance.



Kościół św. Jadwigi w Częstochowie, Tex.

Na jeden akier potrzeba ich 135,000, a sadzić je trzeba rękoma.

Jeden człowiek na obsadzenie akra potrzebował by miesiąc czasu.

Do obradłania zasadzonej cebuli używane są specjalne, ręczne plużki.

O ile deszczu niema, pola cebulowe nawadniać trzeba sztucznie co 2 tygodnie.

Ale praca ta, która obliczając na gotówkę wynosi \$100 na akier, doskonale się opłaca, skoro z akra zebrać można 400—650 buszli cebuli, zaś obecna jej cena na tutejszym rynku wynosi \$2.25 za buszel.

Ze zbytem produktu niema kłopotu, gdyż istnieje w San Antonio unia cebylana, która po cenach giełdowych przyjmuje każdą dostarczaną ilość na export do New Yorku.

Na plantację cebuli stokroć zyskowniejszej i pewniejszej niż kapryśnej bawełny nie wszyscy mogą sobie pozwolić. Trzeba mieć przedewszystkiem blisko rzekę, a następnie grunt o naturalnym niwelu, po którym można by rozprowadzić wodę.

W Częstochowie mieszka dużo poważnych, zamożnych gospodarzy, posiadających znaczne obszary ziemi. J. Pawelek ma jej 1,300 akrów, K. Moczygęba, Józef Gawlik, K. Korzekwa, J. Pawlik po 900, J Biela 500 — takich jak ostatni jest więcej.

KOŚCIUSZKO, TEX.

Sięgająca swem założeniem zaledwie ćwierć wicku

kolonia Kościuszko oddaloną jest od Częstochowy o 6 mil konnej drogi.

Starych osadników mało, posuwały się tu przeważnie dzieci i wnuki pierwszych farmerów z Panny Maryi w poszukiwaniu nowych terenów pracy.

W pobliżu kościoła w Kościuszko stoją tylko dwa domy, z których w jednym mieści się sklep spożywczo-bławatny F. Nieświeca.

Najdawniej zamieszkałym w kolonii jest W. Lisy.

Przybył on jako młody chłopiec, wraz z imigracją 1855 roku.

Wzięty do szeregów konfederackich przeszedł z nich po 8 miesiącach do armii północnej, a przydzielony do 16 korpusu kowaleryi służył wraz z P. Kiołbasą do roku 1865.

P. Lisy, posiadający swą farmę w pobliżu kościoła, mieszka w Kościuszko od czasu założenia tej kolonii.

Licząca obecnie 72 rodzin parafia założoną tu została w roku 1898.

Pierwszym proboszczem był tu ks. W. Matysiak, obecnie pasterzuje ks. T. Jaroń, Galicyanin, przybyły Ameryki przed 17 laty.

Zacny ten kapłan, jak powiadają ludzic, cały swój dochód po zaspokojeniu skromnych potrzeb oddaje na kościół i oświatę.

Przyjęty przez ks. Jaronia ciepło i serdecznie spędziłem w jego towarzystwie pół dnia na milej pogodance, a wyjeżdżając żalowałem bardzo, że czas nie pozwalał na dłuższą u proboszcza gościnę.

Dwie tu są szkoły, jedna przy kościele, druga o 2½ mili dalej na tak zwanym Borysowie.

Podobnie jak w Częstochowie kolejno uczą w nich

to siostry, to rządowy nauczyciel p. W. Urbańczyk, który podług opinii ks. Jaronia doskonałym jest pedagogiem.

O 8—10 mil od Kościszko ku południowi dwóch amerykańskich obszarników posiada 24,000 akrów ziemi, którą ofiarują na parcelację po \$15—18 za akier.

PANNA MARYA, TEX.

Jadąc kołmi z Kościszko do Panny Maryi, odległej o mil 12, trzeba było jeszcze raz być w Częstochowie, gdzie miałem sposobność poznać kilku starszych farmerów i dowiedzieć się od nich wiele nowych szczegółów, które zużytkuję w dalszym ciągu niniejszego opowiadania.

Ze wszystkich stron gęstym otoczone lasem miasteczko Panna Marya miłe i zarazem smutne robi wrażenie.

Panuje tu cisza klasztorna, a z murów poważnej, otoczonej starymi dębami świątyni, kamiennego szkolnego budynku i opuszczonych domów wieje jakaś powaga.

W dzień powszedni rzadko przybędzie kto do jednego z dwóch sklepów, po za właścicielami których, mieszka w miasteczku bodaj jedna jeszcze rodzina. A i w dzień świąteczny, kiedy lud tłumnie zjedzie się na nabożeństwo, nie słyhać gwaru.

Znalazłszy się w tem cichem ustroniu, mimowoli przychodzą na myśl i rysują w wyobraźni poorane troską oblicza pierwszych pionierów polskiej koloniza-

cyi w Ameryce, ich walka z przyrodą i niedostatkiem, ich wysiłki i zabiegi około zdobycia lepszego, spokojniejszego jutra.

Cicho tu i smutno, a w tej majestatycznej ciszy miło jednak pomyśleć jak ci pierwsi, których większość spoczywa dziś w mogile nie darmo żyli, nie darmo pracowali, a choć nie każdy doczekał się owoców swych zabiegów, to za to ich dzieci i wnuki, zająwszy zaszczytne stanowisko w tutejszej okolicy nie znają dziś biedy.

Miasteczko Panna Marya jak świadczą o tem opuszczone murowane budynki, mieszczące dawniej sklepy, były przed laty o wiele ludniejsze, obecny zaś swój upadek, zarówno jak Częstochowa zawdzięczają założeniu Falls City.

Gdyby byli Polacy zgodzili się ustąpić nieco swych gruntów pod budowę kolei, której stację tu proponowano, Panna Marya nie byłaby dzisiejszem uroczem zaciszem, wrzało by tu życie.

Co do mnie wolę to pamiątkowe miejsce widzieć takim jakim jest obecnie.

Gwar miejski był by profanacją tego zakątka złanego potem i łzami pierwszych wygnańców, którzy chroniąc się przed biedą i uciskiem szukali tu swobody i kawałka chleba.

Inicytorem, a właściwie tym, który przyspieszył i ściągnął w te strony naszą emigrację był ks. Leopold Moczygęba, rodem z Wielkiej Płoźnicy na Górnym Szląsku.

Po ukończeniu seminaryum w Rzymie, gdzie na-

stępnie przebywał lat 7 jako ksiądz zakonu OO. Franciszkanów, został ks. Moczygeba w roku 1851 wysłany przez kongregację na misyc do Ameryki.

Był on jakiś czas w Bronsfield, Tex. później Castraville, Tex. wreszcie w roku 1855 przybył w okolice San Antonio.

Przejechawszy olbrzymi stan Texas i widząc mało zaludnione obszary, ziemię dobrą powziął ks. Moczygeba myśl osiedlenia tu swojaków, którym ucisk pruski dawał się już w owe czasy we znaki, a posiadane małe działki roli prędzej czy później zmusiły by następnego pokolenie do szukania chleba po za ojczyznym zagonem.



Praca na irygowanej plantacji cebuli p. J. Gawlika,
Częstochowa, Tex.

Myśl w zasadzie była dobra, ale nie znając należyście miejscowych stosunków zły wybór zrobił ks. Moczygęba. nie dla tego by miejsce gdzie założoną została kolonia Panna Marya gorszem było od innych, lecz że właścicielem tych obszarów był chciwy zysku amerykański bogacz J. Twohyg, który na nieświadomości kapłana postanowił dobry zrobić interes.

Na skutek wiadomości posłanych przez ks. Moczygębę na Górny Śląsk, w roku 1854 jako pierwsza awangarda przyjechali jego bracia: Józef, Antoni, Jan i Gustaw Moczygębowie, a z nimi J. Michalski i J. Zajac. Nieco później przybyli: bracia Przybysze, Urbańczyk, Wajss, Dziuk, Krawiec i wielu innych.

Otrzymawszy od swego zakonu zapomogę w sumie \$3,000, kupił ksiądz 300 akrów gruntu, z których 275 rozparcelował między najwięcej potrzebujących przystąpił do budowy kościoła.

Skromna murowana świątynia, bez posadzki i sufitu z powodu braku fachowych robotników ukończoną została w następnym roku. Proboszcz zamieszkał na poddaszu zakrystyi.

W roku 1855 po 8-io tygodniowej podróży w porcie Indianola w pobliżu Galveston, który wraz z miasteczkiem zniósł huragan w 1886 roku, zarzuciły kotwicę dwa żaglowce "Otto Ten" i Wesor," na pokładzie których znajdowało się 700 polskich imigrantów.

Było między nimi wielu posiadających gotówkę, i ci wieźli z sobą rozebrane w pakach wozy i narzędzia rolnicze. Wóz w owe czasy kosztował tu \$280.

Z Indianola do San Antonio prowadził szeroki trakt, po którym ciągnęły wozy, naladowane drzewem i innymi towarami.

Tym traktem jechali Polacy, to najętymi furmankami, to już na własnych wozach zaprzężonych w woły.

Kiedy po dwutygodniowej podróży stanęli w San Antonio, 13 rodzin oddzieliło się od gromady i zwróciło do dzisiejszej św. Jadwigi, zaś reszta jechała dalej do odległej o mil 70 Panny Maryi, gdzie pierwsi osadnicy urządzili się już jako tako, a nadcwszystko stał kościół.

Nie znalazłszy żadnego pomieszczenia obozowali przybysze w cieniu rozłożystych dębów, zaś równocześnie przystąpiono do budowy szałasów z pali i chrustu, których dachy poszyto snopkami z trawy.

Ciężkie były te pierwsze chwile, ale dzielni Słazacy nie upadali na duchu. Zamożniejsi pomagali biednym, a wszyscy razem krzątali się około przygotowania roli na własne potrzeby.

Obszarnek Twohyg podzieliwszy swe pola na wązkie, dwie miłe długie pasy, zaofiarował je Polakom po cenie \$5—10 za akier, kiedy nieco dalej w dzisiejszej Częstochowie można było dostać tej samej wartości grunta za 75c. do \$1.00 akier.

Kto miał pieniądze kupował od Twohyg'a ziemię, zarówno bowiem ks. Moczygębie, jak i osadnikom, przywykłym do wysokich cen gruntu w Starym Kraju, cena przez niego naznaczona nie wydawała się zbyt wygórowaną.

Największą biedę mieli ludzie z chlebem.

Mąka pszenna była za droga, a z kukurydzanej, o którą trudno było, nie umieli zrobić pieczywa.

Z czasem zaradziły temu brakowi ręczne młynki do mielenia kukurydzy, oraz odpowiednie tygle do wypiekania placków.



Kościół w kolonii Panna Marya, Tex.
Parafia sięga swem założeniem roku 1854, a zatem jest naj-
pierwszą polską parafią, jaka się ukonstytuowała w Ameryce.

Zdawało się, że już wszystko zmierza pomału ku lepszemu, aliści w roku 1856 nastąpiła niepamiętna w dziejach Teksasu susza; — 14 miesięcy nie było zupełnie opadów.

Zasiewy porzuciły, bydło w poszukiwaniu paszy rozbiegło się po lasach, a ceny produktów tak wzrosły, że za beczkę mąki płacono \$24.00 a buszel kukurydzy kosztował \$3.00.

Zony i dzieci biedniejszych szły na służbę do miasta, lub do obszarników, którzy niejednokrotnie zamiast umówionej zapłaty wyganiali ich grożąc rewolwerem. Zamożniejsi zjadali swe oszczędności, aż wreszcie gromada na punkcie biedy zrównała się.

Całego ogromu tej niedoli opisać niepodobna, a chociaż krzepiono się i pomagano sobie wzajemnie ogół popadł w zwątpienie.

Wielu w tym czasie opuściło te strony i przeniosło się do Missouri, gdzie o 50 mil od St. Louis założyli tak zwany Kraków.

Ks. Moczygęba robił wszystko co można, by zażegnać biedę: dodawał odwagi, starał się podtrzymać na duchu zrozpaczonych, ludzie jednak potrzebowali chleba.

W miarę wzrastania niedoli powstawało coraz silniejsze rozgorzczenie przeciw księdzu; które rosnąc zamieniło się w obelgi i groźby. Dziwić się temu trudno, rozpacz nie zna granic.

Nie mogąc żyć w podobnych warunkach ks. Moczygęba opuścił te strony na zawsze. A jednak wszystko przemawia za tem, iż miał on jaknajlepsze zamiary, za dowód czego posłużyć może bodaj ta okoliczność, że



Kościół św. Jadwigi w Częstochowie, Tex.

Na jeden akier potrzeba ich 135,000, a sadzić je trzeba rękoma.

Jeden człowiek na obsadzenie akra potrzebował by miesiąc czasu.

Do obradlania zasadzonej cebuli używane są specjalne, ręczne plużki.

O ile deszczu niema, pola cebulowe nawadniać trzeba sztucznie co 2 tygodnie.

Ale praca ta, która obliczając na gotówkę wynosi \$100 na akier, doskonale się opłaca, skoro z akra zebrać można 400—650 buszli cebuli, zaś obecna jej cena na tutejszym rynku wynosi \$2.25 za buszel.

Ze zbytem produktu niema kłopotu, gdyż istnieje w San Antonio unia cebylana, która po cenach giełdowych przyjmuje każdą dostarczaną ilość na export do New Yorku.

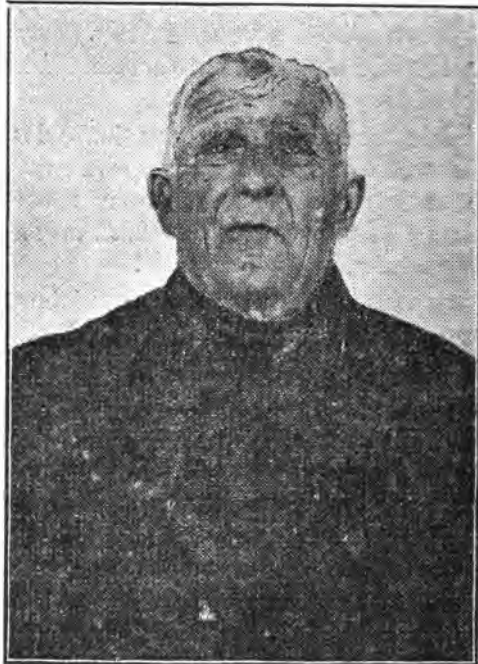
Na plantację cebuli stokroć zyskowniejszej i pewniejszej niż kapryśnej bawełny nie wszyscy mogą sobie pozwolić. Trzeba mieć przedewszystkiem blisko rzekę, a następnie grunt o naturalnym niwelu, po którym można by rozprowadzić wodę.

W Częstochowie mieszka dużo poważnych, zamężnych gospodarzy, posiadających znaczne obszary ziemi. J. Pawelek ma jej 1,300 akrów, K. Moczygęba, Józef Gawlik, K. Korzekwa, J. Pawlik po 900, J. Biela 500 — takich jak ostatni jest więcej.

KOŚCIUSZKO, TEX.

Sięgająca swem założeniem zaledwie ćwierć wicku

przedewszystkiem sprowadził tu swych braci i krewnych, oraz swojaków, wśród których się wychował.



J. Moczygęba.

Jeden z najpierwszych osadników w Panna Marya, Tex., a zarazem najstarszy człowiek na Kolonii. Liczy lat 94.

Kiedy w te strony przybyła nasza imigracja, stale osiadłych Indyan już nie było, w pewnych jednak odstępach czasu przebiegało tędy plemie Lipan'ów, a

kradnąc bydło, zwłaszcza konie, zabijali i skalpowali tego, kto im stawał na drodze.

Z rąk Indian męczeńską śmiercią miał zginąć polski wyrostek, pasący owce amerykańskiego obszarnika, ale i ten pojedynczy wypadek zda się być legendą.

Stokroć gorszem od Lipon'ów były amerykańskie bandy, które kradły i uprowadzały dobytek w biały dzień, w oczach kolonistów, pewnie swej bezkarności.

Po wojnie domowej tutejsza amerykańska młodzież jakby mścąc za przegraną z Północą niepokoila czas jakiś polskich kolonistów. Były to szumowiny tutejszego społeczeństwa.

Widząc powolność Polaków, upiwszy się dla kurażu, awanturnicy przebiegali okolicę strzelając do domów, podczas nabożeństwa próbowali wjeżdżać na koniach do zakrystyi, a wszedłszy do kościoła zachowywali się nieprzyzwoicie. W czasie tych burd jeden mężczyzna i kobieta odnieśli rany.

Długo nasi znosili cierpliwie te zaczepki, kiedy jednak raz po nabożeństwie rozzuchwalona zgraja zjechała licznie na koniach, a towarzyszyły jej na bryczkach damy, które chciały przypatrzeć się pogromowi Polaków, nasze chłopcy, wzięwszy się w kupę, rozpedzili hołotę i sprawili napastnikom tegie łanie.

Kto wie na czem by się to wszystko skończyło, gdyż koloniści zaczęli się zbroić, gdy by nie nadciągnął z San Antonio oddział kawalerji, który obozując w okolicy Panny Maryi blisko rok wywieszał wystrzelą grasujących bandytów a na warcholów rzucił postrach.

Pomału Kolonia Panna Marya rosła w dobrobyt, ku czemu dopomogła niemało bawelna.

Na nowiznach dawała ona znakomite plony, zwłaszcza, że nie było w owe czasy raczków (gatunek wołka) robiących dzisiaj spustoszenia na bawełnianych polach.

O ile jednak dawniej bawełna dawała plon obfity, o tyle ceny jej były niskie, — spadały one nieraz do 3c. za funt.

Z tem wszystkim za ten produkt otrzymywali koloniści pożądaną gotówkę.

W roku 1875 mieli Polacy już swoich urzędników: E. Rzepa naznaczony został sędzią pokoju i Kasprzyk konstabłem, A. Dziuk komisarzem powiatowym.

Dzisiaj w okolicy Panny Maryi, jest dużo zamożnych farmerów, a ziemie acz już w części wyniszczone dłużej uprawą rodzą jeszcze nie najgorzej.

Jak już wyżej powiedziałem parafia w Pannie Maryi, najpierwsza polska w Stanach Zjednoczonych założoną została w roku 1854.

Ks. Moczygęba opuściwszy te strony w 1857 roku zwrócił się do Kentucky, następnie mieszkał w Chicago, później założył parafię w Lemond, Ill. i był jej proboszczem, wreszcie osiadł w Detroit, gdzie zmarł w roku 1891. Był on jednym z fundatorów detroickiego seminarium.

Opuuszczoną parafię w Pannie Maryi objął ks. A. Rossakowski, a po jego ustąpieniu w roku 1862 kr. J. Przysiecki, który w rok później spadłszy z konia poniósł śmierć na miejscu.

Na skutek starań galwestońskiego biskupa czynio-

nych w czasie jego pobytu w Paryżu, oraz interwencji ks. A. Jałowieckiej Zmartwychstańcy wysłali w roku 1866 do Teksasu księży: A. Bakanowskiego, W. Baczyńskiego i kleryka F. Zwiardowskiego, który następnie w Galveston otrzymał święcenia kapłańskie.

Biskup zapłacił za nich przejazd statkiem i koleją do miejsca, zagwarantował każdemu z księży rocznej pensji 800 franków i dał zakonowi wyłączne prawo co do zajmowania istniejących już parafii polskich, oraz wszystkich jakie kiedykolwiek powstaną, zastrzegając sobie jednak, że Zmartwychstańcy dostarczą potrzebną ilość księży.

Wkrótce po wyświęceniu ks. Zwiardowskiego powstała pomiędzy nim, a jego przełożonym ks. Bakanowskim nieporozumienia; obydwaj pisywali na siebie skargi, śląc je do Rzymu i Galvestonu.

Następstwem tego było odwołanie ks. Bakanowskiego, który jednak nie usłuchał swej władzy, a dowiedziawszy się od p. Kiołbasy o szybkim wzroście chicagowskiej Polonii, zamiast do Rzymu pojechał do Chicago, gdzie zapoczątkował potęgę Zmartwychwstańców.

Miejsce jego jako przełożonego i zarazem proboszcza w Pannie Maryi zajął ks. Zwiardowski

Przy nim, w roku 1877 został rozebrany chylący się ku ruinie kościół i pobudowany nowy z ciosawego kamienia.

Stosunki pomiędzy biskupem galwestońskim a Zmartwychwstańcami zaostrzały się, gdyż ostatni mało dbając już o Teksas przenosili punkt swej ciężkości do szybko wzrastającego, a rokującego większą przyszłość

Chicago, zaś w tutejszych polskich parafiach, których liczba wzięta była za skończoną.

W roku 1880 teksaska misja Zmartwychstańców uznała swą rolę za skończoną. Ks. Zwiardowski powołany do Rzymu nie usłuchał wezwania, a udawszy się w głąb kraju przez lat 8 nie dawał znaku życia.

Miejsce jego zająłznaczony przez biskupa ks. Pelczar, który zamieszkałszy w Częstochowie do Panny Maryi dojeżdżał.

W roku 1888 zjawił się ks. Zwiardowski i osiadł w Pannie Maryi, ale już nie jako proboszcz i tu zmarł w roku 1895.

W 1891 roku objął parafię ks. T. Moczygęba, po nim w roku 1896 ks. T. Jaroń następnie ks. E. Niedbalski.

Po wyjeździe ostatniego w ciągu paru lat zmieniło się tu kilku księży, aż wreszcie parafia Panny Maryi powierzona została ks. S. Przyborowskiemu, który mieszkając w Częstochowie tu dojeżdża.

Wieczór w Pannie Maryi spędziłem bardzo przyjemnie w towarzystwie ks. Przyborowskiego, który tu nadjechał i wraz z nim nocowałem na plebanii.

Następnego dnia udałem się do jednego z najpoważniejszych tu kolonistów A. Dziuka mającego swą posiadłość o 5 mil od miasteczka, gdzie goszczony po staropolsku przez gospodarza i jego sympatyczną rodzinę pozostałem do drugiego dnia.

Aleksander Dziuk.

Zamożny dziś i ogólnie poważany gospodarz przybył do Ameryki chłopięciem.

“W 18 roku życia — opowiadał p. Dziuk — przymusem zostałem zaciągnięty w szeregi konfederatów i wysłany do Arkansas. Wraz ze mną byli wzięci: F. Moczygęba, J. Bryś, T. Kołodziejczyk i J. Lisy.

Zywiono nas, zwłaszcza z początku źle, a uzbrojeni byliśmy w stare flinty zabrane kolonistom.

Ja pozostałem w wojsku konfederatów aż do ukończenia wojny, a kiedy powróciłem pod rodziną strzechę nawet matka nie poznała mię.”

Ziemie p. Dziuka ciągnące się nad brzegiem rzeki San Antonio w malowniczym znajdują się położeniu. W gęstym gaju gwarno od świergotu ptactwa, po nad którym króluje teksaski słowik, zbliżony śpiewem do naszego, który cały wieczór aż do północy wywodzi swe trele, a po paru godzinnej przerwie rozpoczyna je na nowo.

Są tu i jaskółki z nieproporcjonalnie długimi ogonami, a ich przybycie z południa, gdzie odlatują na zimowe miesiące jest znakiem niezawodnym, że przy-mrozków już nie będzie.

W HOBSON, TEX, gdzie oczekiwałem na pociąg, by udać się do dalszych polskich kolonij wśród Niemców i Czechów mieszkają dwie tylko polskie rodziny.

Dobra ta ziemia, którą umierający Twohyg przekazał testamentem biskupowi w San Antonio, była dłuższy czas do sprzedania po niskiej cenie i na dogodnych warunkach spłaty, ale Polacy z ogólnej ilości 17,000 akrów nabyli zaledwie 1,200, czego dzisiaj bardzo żałują.

YORKTOWN, TEX.

Zwany przez Polaków Jordanem leży od Panny Maryi o 37 mil na wschód.

W czystym i dobrze zabudowanym miasteczku, liczącem 1,500 mieszkańców są trzy polskie handle: sklep spożywczy i wyrobów siodlarskich J. Kołodzieja, kolonialny F. Notzyna i bławatny T. Bocka, a nadto W. Radzieński i J. Kozielski mają tu dużą kuźnię.

Mieszka w Yorktown polski lekarz Dr. Niewierski, syn powstańca z Floresville, ale komunikując się po za praktyką wyłącznie z Amerykanami nie najlepiej mówi po polsku, a jego dzieci nie znają zupełnie ojczystego języka.

A jednak osiedli tu Słazacy acz znają angielski, polską tylko posilkują się mową, do której nie wtrącają zupełnie cudzoziemskich wyrazów.

W dalszych i bliższych okolicach miasta, gdzie osiedlać się zaczęli Polacy od 1860 roku mieszka ich obecnie 160 rodzin.

Z pierwszych przybyszów żyją jeszcze: J. Beduarcz, L. Kościelska 90-letnia staruszka, wdowa R. Kołodziejka i 82 lata liczący J. Ledwig. Na resztę składa się już młodsze pokolenie.

O milę od miasta w ładnym położeniu stoi polski kościół, a przy nim: plebania, szkoła i dom dla sióstr.

Parafia w Jordan założoną została w roku 1868, a choć od czasu do czasu zatrzymywali się tu polscy księża, żaden z nich nie pozostał dłużej.

Pierwszym, który osiadł na stałe był ks. R. Magott. Następnie cztery lata pełnił obowiązek proboszcza

Jordanu ks. H. J. Wołyniewicz, znany z późniejszych swych przygód w Paranie ((Brazylia). Po opuszczeniu Jordanu mieszkał on czas jakiś w San Antonio, gdzie robił dobre interesa jako agent wina "Gomozo."

Obecnie pasterzuje tu ks. T. Moczygęba, syn Józefa z Panny Maryi, a bratanek ś. p. ks. Leopolda.

Parę razy byłem na plebanii, gdzie każdorazowo ze strony proboszcza doznałem życzliwego bardzo przyjęcia.

Nie skorzystawszy z serdecznego zaproszenia ks. Moczygęby pojechałem wieczór na farmę kolonisty J. Ledwiga, przy którym mieszkają jego rodzice rozmowni i weseli staruszkowie.

Wieczorem przybyło kilka osób z miasta, pragnących poznać się ze mną; — ożywiona gawęda trwała do późnej nocy.

Ziemia w okolicy Jordanu acz lżejsza aniżeli w Pannie Maryi, trzyma jednak dłużej wilgoć, wskutek czego w latach suchych lepsze daje urdzając.

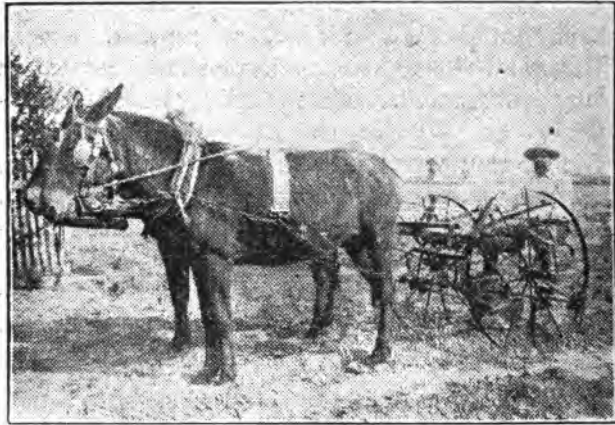
Wszyscy skarżą się jednogłośnie na "raczki", sprawiające ogromne spustoszenia na polach bawełnianych, zwłaszcza bliżej lasów położonych.

Owad ten, zimujący pod korą drzew, opuszcza swe legowisko w chwili, kiedy bawełna kwitnąć zaczyna, a po zniszczeniu co się da kwiatu, wżera się następnie w łądygi.

Jest on tak na zimno wytrzymały, że położony i trzymany w ciągu trzech dni na lodzie nie zamiera.

Największe spustoszenie robi raczek w latach mo-

krych, na silnie rozkrzewionych plantacjach bawelny, gdzie cień kryje go przed palącymi promieniami słońca.



Pierwsze obradlanie na polach Jana Bock.

Rząd stanu Texas naznaczył wysoką nagrodę za wynalezienie sposobu niszczenia tych szkodników, żaden jednak wynalazca jak dotąd nie zgłosił się.

Poważni gospodarze są zdania, że Polacy zbyt dużo swej roli i pracy poświęcają kapryśnej bawelnie, której plony nie zawsze wynagradzają sumę poniesionych trudów. Gdy deszcz po zasianiu bawelny przyjdzie za późno kielkujące ziarno nie wydobędzie się już na wierzch; gdy za dużo opadów w czasie jej wzrostu — źle, jeżeli ich za mało — jeszcze gorzej.

Obradlać bawelnę stosownie do jej krzewienia się trzeba 5—8 razy, okopywać motyką 2—3.

“Daleko lepsze osiągnęlibyśmy korzyści z cebuli, innych ogrodowizn, wreszcie hodowli była—powiadali mi doświadczeni farmerzy — zwłaszcza, że ceny tych produktów, a szczególnie nabiału znacznie się ostatnimi czasy podniosły.”

W Yorktown powstała fabryka masła, która za funt śmietany płaci do 27c. jak dotąd jednak najczęściej jej dostawą zajmują się niemieccy koloniści. Przyjdzie niebawem i na naszych kolej, ku czemu zaczynają się już przygotowywać.

MAYERSVILLE, TEX.

Końmi z Yorktown jedzie się 12 mil do kościoła-pol-



Kościół św Józefa w Upper Mayersville, Tex.

skiego w Upper Mayersville, odległego od miasta Mayersville jeszcze o 3 mile.

Nasi przybyli w te strony w roku 1856, a w ślad za nimi szli Niemcy, którzy następnie liczebnością przewyższyli Polaków. Obecnie w tej okolicy mieszka 120 rodzin niemieckich i polskich tylko 50.

Polskiego kapłana nie było tu dawniej, dopiero przed paru laty przybył ks. E. Wróbel i zamieszkał bliżej miasta, gdzie znajduje się niemiecko-katolicki kościół.

Nabożeństwa odprawia proboszcz kolejno w obu kościołach, raz dla Polaków drugi raz dla Niemców.

Pełen zawsze humoru ks. Wróbel podejmował mię z wielką gościnnością i koniecznie na dłużej chciał u siebie zatrzymać.

Ziemia w okolicach Mayersville, wskutek konkurencji jest droga, obszarników tu nie ma, to też nabyć można gotową tylko farmę.

Do najdawniej osiadłych w tych stronach należą J. Wasser, J. Długi, A. Szeffler, D. Plaszczyk, F. Sieffer, A. Szklasz P. Olejnik, R. Ludwik i A. Bock.

LOEKHART, TEX.

W okolicy Lockhart oraz Kely, Tex., odległym o 65 mil ku północy od San Antonio, mieszka około 40 polskich rodzin.

Jest to jedna z młodszych polskich kolonii w południowo-zachodnim Teksasie.

O 5 mil od stacyi znajduje się polski kościół Niep. Pocz. N. M. P. do którego dojeżdża raz na miesiąc ks. L. Dąbrowski z San Antonio.

Jednym z najdawniej tu osiadłych jest J. Bosiewicz, który przybywszy przed 18-tu laty posiada dzisiaj dobrze zagospodarowaną farmę.

Do zamożniejszych w tych stronach należą: L. Pieniążek, J. Dzierżanowski, Malinowski, Zawadzki i inni.

Posuwając się z San Antonio, ku południowi, tuż poza miastem pola obsadzone są jarzynami, a dalej ciągną się plantacje bawełny, kukurydzy i trzciny cukrowej.

Ostatnia w teksaskiem gospodarstwie odgrywa bardzo ważną rolę.

Zasiana gęsto trzcina cukrowa rośnie tak szybko, że kosić ją można 4—5 razy w ciągu roku. Wysuszone i zebrane w stogi trzcinowe siano jest doskonałą i pożywną paszą dla inwentarza, podkarmianego w stajniach i oborach.

“Johnson grass” która przez mieszkańców suchych i mało urodzajnych okolic Gordon, Tex. uważaną jest za dobrodziejstwo, na plantacjach południowego Teksasu stanowi plagę, gdyż krzewiąc się z niesłychaną szybkością i wypełniając kompletnie swymi korzeniami górną warstwę ziemi, na głębokości dwóch stóp, gęszczy wszystko inne.

Zakażonego przez “Johnson grass” pola oczyścić niepodobna, należy go tylko oddzielić od innych za pomocą głębokich rowów, oraz niszczyć starannie już w zarodku przedostające się korzenie.

Jedynym sposobem wypłcenia tej rośliny jest pozostawienie zajętych przez nią przestrzeni w zupełnym spokoju w ciągu 5 — 7 lat, a wtedy sama wyginie.

Im dalej na południe tem ilość uprawionej ziemi zmniejsza się stopniowo, a na olbrzymich obszarach rosną "moseet'y" i krzewią się kaktusy, o płaskim okrągłym liściu.

Mimo że grunta co do jakości gleby są dobre, jednak z powodu długotrwałej suszy pomiędzy drzewami ziemia naga, miejscami żdźbła trawy nie widać.

Konie, bydło, i kozy w oczekiwaniu świeżej paszy żywią się liśćmi drzew i kaktusów. Ostatnie je inwentarz dość chętnie, o ile opali się ostre jak szpilki kolce, gęsto pokrywające powierzchnię liścia kaktusowego. Do opalania kolców używają farmerzy zazwyczaj specjalnych gazolinowych maszynek.

Minąwszy miasto Cotula, w którym, acz założone zostało przez naszego rodaka Kotulę, Polacy nie mieszkają, po nad rzeką znajdują się plantacje cebuli.

Ogromne tu przestrzenie nietkniętej jeszcze ziemi oczekują nabywców, to też gdy pociąg stanął na stacyi Cotula agenci zrzucili pasażerów ilustrowanymi prospektami, zachwalającymi okoliczne tereny.

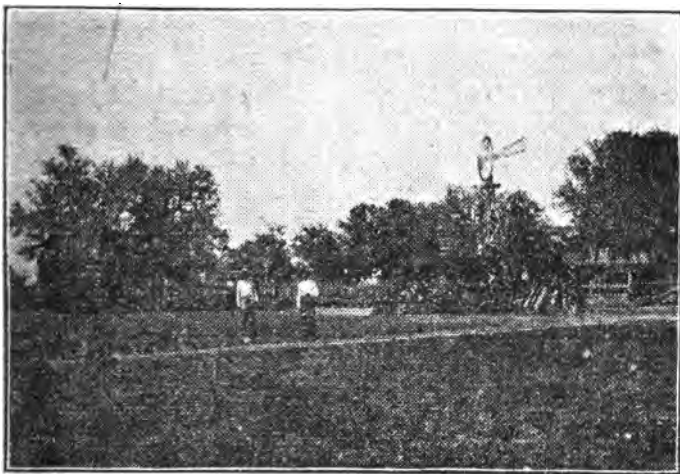
Ze grunta są dobre, świadczą o tem obfite plony cebuli, ze względu jednak na brak deszczów, które są tu rzadsze, aniżeli w okolicach San Antonio, ten tylko może liczyć na pewne zbiory, kogo stać na zaprowadzenie sztucznego nawodniania pól.

Właściciele ziemi, dotykającej rzeki mogą urządzić irygację za pomocą pomp parowych, na oddalonych gruntach, wypadło by wiercić studnie artezyjskie.

Posuwając się dalej ku granicy meksykańskiej farmy spotyka się rzadko, a na nich niewielkie przestrze-

nie gruntu przygotowanego pod zasiewy, które oczekują pory deszczowej.

Na kilka mil przed Loreda olbrzymie obszary znakomicie zirygowane obsadzone są wyłącznie cebulą. Wody do nawodnienia dostarcza rzeka Rio Grande, stanowiąca granicę pomiędzy Teksasem, a Meksykiem.



Zagroda J Długiego jednego z zamożniejszych farmerów polskich w kolonii Upper Mayersville, Tex.

W początku kwietnia odbywa się zbiór cebuli, a jakie daje ona tu plony świadczą dziesiątki wagonów

napelnionych pudłami, z których każde zawiera buszel cebuli, wagi 50 funtów.

Spostrzeżenia moje, dotyczące Teksasu, pisane pod wpływem pierwszego wrażenia, uogólnić muszę i dopełnić niektórymi jeszcze danemi.

Największy północno amerykański stan Teksas, liczący 170,247,040 akrów przestrzeni, a zatem równający się pod względem obszaru Austrii i Szwajcaryi razem wziętych, posiada zaledwie $3\frac{1}{2}$ miliona mieszkańców.

Zaludnienie Austro-Węgier z Bośnią i Hercegowiną wynosi około 47 milionów, Szwajcaryi 3 miliony 300 tysięcy, razem na takimż obszarze, którego około $\frac{1}{6}$ stanowią bądź niedostępne, bądź nieurodzajne góry żyje z górą 50 milionów ludzi.

Cyfry powyższe wskazują, że dużo tu jest jeszcze miejsca dla kolonizacyi, zwłaszcza, iż grunta na ogół biorąc są urodzajne, zaś nieużytków, w ścisłem znaczeniu tego słowa bardzo mało.

Klimat Teksasu jest ciepły, w okolicach San Antonio, a zwłaszcza dalej ku południowi gorący, jednak z wyjątkiem miejscowości położonych w pobliżu rzek, gdzie bywają malarye, jest on zdrowy.

Wielu zagrożonych suchotami w suchem i nadzwyczaj czystem teksaskiem powietrzu odzyskało w zupełności zdrowie, a wielka liczba starców, dochodzących setki świadczy, że powietrze tu zdrowe.

Zimy właściwie niema w Teksas, zdarzają się jednak przed i po Nowym Roku przymrozki, którym towarzyszy parodniowe zimno.

Mimo że letnie upały dochodzą do 100,⁰ a nawet przewyższają nieraz tę cyfrę, nie dają się one jednak tak we znaki jak na północy z powodu małej ilości wilgoci w powietrzu, zaś wypadki słonecznego udaru nie są tu znane.

Ziemie na olbrzymiej przestrzeni tego stanu spotyka się najrozmaitsze, poczynając od bogatych czarnoziemów aż do mniej urodzajnych piaszczystych, naogół jednak biorąc są one żyzne, długie lata mogące rościć bez nawozu.

Wielu jest zdania, że mierzwa raczej szkodzi niż pomaga teksaskim polom.

Twierdzeniu temu przeczą doświadczeni gospodarze, dowodząc, że nawożone pola w tych samych warunkach daleko lepiej przetrzymywały długotrwałe susze i dały o wiele lepsze plony. Gdyby do tutejszej ziemi zastosować bodaj w części europejską kulturę rolną, większa część Teksasu była by ogrodem.

Sporadyczny brak deszczu, to znów nadmierne gwałtowne opady należą do słabych stron, z którymi świeżo osiadający kolonista liczyć się musi.

Zagospodarowany farmer w latach suchych, zapowiadających nieurodzaj, zwraca większą uwagę na produkta gospodarstwa domowego, szukając tą drogą kompensaty strat, poniesionych na plantacjach.

W najgorszym razie ziemia wyżywi i da tyle by niezbędne zaspokoić potrzeby.

Skarżą się zarówno nowi przybysze, jak i dzieci starych osadników na wysokie już dzisiaj ceny ziemi nie biorąc pod uwagę, że proporcjonalnie do tej zwyczajki podnosiły się ceny produktów rolnych, zwłaszcza gospodarstwa domowego, a wszystko co ma do sprzeda-

nia farmer znajduje obecnie łatwy zbyt, o który dawniej bywało trudno.

Sądząc z tego, co się widzi w Teksas, wnosić by należało, że przyszłość naszej imigracji nie leży w miastach, ani zbiorowiskach fabrycznych, gdzie robiąc konkurencyę stalej ludności coraz gorzej jesteśmy przez nią widziani, lecz w osiedlaniu się na roli, której na olbrzymiej przestrzeni Ameryki tyle jeszcze leży odlegiem.

Przybywający do fabryki lub kopalni polski imigrant, zazwyczaj zawodowy rolnik, jako nie znający miejscowego języka — jest niemową, nieobeznany z pracą, do której się bierze — traktowany za nie rozumiejącego ignoranta, a że zarabiając mało i nie posiadając zasobów żyje zazwyczaj skromnie i mieszka jak się da, zyskuje u zagospodarowanego Amerykanina nazwę niechluj.

Jakżeż różnem jest traktowanie tego samego polskiego przybysza, szukającego pracy na roli.

Skromniejszy we własnem życiu i jego potrzebach tubylec, wiedzący z własnego doświadczenia, że odrazu zagospodarować się trudno, uważa za zupełnie naturalne, jeżeli młody farmer mieszka czas pewien w naprędce skleconej budzie i śpi na zbitej z desek narze. A gdy zobaczy jak nasz chłop, ujawszy pług w garście i przemówiwszy po polsku batem do koni, wywraca skibę za skibą, to ten mniej obowiązkowy, mniej obyty z pracą rolną Amerykanin zamiast pogardy poczuje respekt dla swego współzawodnika.

Kiedy pracujący po fabrykach Polacy wynaradawiają się, nieraz nawet chętnie, kaleczą ojczyzną mówę, wplatając w nią wszystkie polapane i poprzekrę-

cane angielskie wyrazy, to żyjący długie lata na farmie szanuje swe polskie zwyczaje, kocha swój język.

Kiedy wielu z pierwszych swą gwarą naraża się na pośmiewisko Amerykanina, a litość dobrego Polaka, nie mówiąc już o tych, którzy poduczyszy się miejscowego języka wypierają swego pochodzenia, to równocześnie tutejszy farmer, acz władza dobrze angielskim mówi chętnie po polsku, a w najdłuższej rozmowie nie wtrąci do niej jednego obcego wyrazu.

A i moralność o wiele wyżej stoi pośród osadników rolnych, aniżeli miejskich.

W ciągu 55 lat istnienia polskich kolonij w południowym Teksasie nieznaną jest wypadek puszczania się dziewczyny na złą drogę, mimo że podług ogólnego twierdzenia gorący klimat podnieca namiętność.

Polskie męzatki i dziewczyny gromadami szły do miasta na służbę w czasie pamiętnej suszy, gdzie mimo pokus potrafiły uszanować swój honor.

Tu dziewczyny nie wodzą tuzinami kawalerów po parkach, by przeżyte oddać rękę ostatniemu, lecz doszedłszy do właściwego wieku wychodzą za mąż, a jako uczciwe żony i matki dzielą pracę mężów około roli i gospodarstwa domowego. Tu męzatka nie okrada męża, by umknąć w świat z bortnikiem.

Toż samo odnosi się do młodych ludzi. Rozpusta wśród nich jest rzeczą bodaj nieznaną, a przynajmniej nie praktykowaną. Młodzieniec żeni się wcześniej i staje przykładnym mężem, dobrym ojcem, pracowitym gospodarzem.

Było nieco pośród starych osadników takich, którzy przywiozłszy nałóg ze starego kraju pili tu za wiele przy zdarzonej okazji. W drugim pokoleniu liczba

tych zmniejszyła się, a w trzecim nadużywających trunków jest bardzo mało, za dowód czego posłużyć może upadek karczem w niektórych koloniach, mimo że nie istnieją w tym względzie żadne zakazy.

Przeciętny młodzian polski Południowego Teksasu jest umiejącym uszanować swą godność gentlemanem, jednostką patrzącą na życie trzeźwo, poważnie i rozumnie. Nie wyzbył się on dobrych cech swego narodu, porzuciwszy natomiast ujemne, przyswoił sobie na ich miejsce od Amerykanów godne naśladowania.

Aczkołwiek wśród tutejszych farmerów prócz Górnoślązaków spotyka się także polaków z pod dwu innych zaborów, to jednak nie słyhać by sami dzielili się na: Prusaków, Rusków i Austryaków. Zrozumieli oni, że podobną seperacją uprawiali by sami i sankcyonowali dokonane na nas gwałty, jakimi były rozbiory Polski.

Tak jak dużą jest zasługa naszych farmerów, jeżeli potrafili ku dobremu wykorzystać sprzyjające im okoliczności, tak z drugiej strony nie można bezwzględnie potępić tych, którzy znaleźli się w mniej korzystnych od nich warunkach.

Polacy szukający pracy po fabrykach, jak to już poprzednio zaznaczyłem, w gorszym znaleźli się położeniu, aniżeli ich bracia osiedli na roli.

Brak jakiegokolwiek organizacyi, która by ułatwiła przybyszom pierwsze kroki na obczyźnie, ciężka praca nie zabezpieczająca spokojnego jutra, bezrobocia i idąca za nimi wędrownka z miejsca na miejsce, złe traktowanie przez zwierzchników i tubylców — wszystko to razem i wiele innych jeszcze przyczyn złożyło się

na to, że zamiast iść naprzód stoimy wciąż na martwym punkcie, o ile nie cofamy się wstecz.

Jeszcze gorzej ma się rzecz z tymi, którzy nas mają reprezentować w przyszłości — z naszą młodzieżą.

Wychowana na ulicy, kształcąca się następnie przy narożnikach szynków, pozbywa się wszystkiego co mamy najlepsze, a przyswaja sobie w zamian przywary amerykańskich szumowin społecznych.

Na ten smutny objaw nie tyle już wynarodowiania, ale demoralizacji patrzymy spokojnie, nie znalazłszy ani też szukając jakiegokolwiek rady.

A jednak odrodzenie się nasze, zajęcie jakiegoś stanowiska narodowego w tym kraju, nie tyle leży w nas samych, ile właśnie w tem młodem, tu wychowanem pokoleniu.

Liczący się z groszem i trzeźwo patrzący na życie teksascy farmerzy praktyczniej daleko urządzają się, aniżeli ich bracia w północnych stanach.

Weźmy bodaj kościoły.

Koloniści przystępujący tu do budowy czy to świątyni, czy innych ubikacyj parafialnych mają zazwyczaj potrzebny na ten cel fundusz już gotowy, a o ile uciekają się do kredytu, to w bardzo małych rozmiarach.

Teksaskie skromne kościoły nie stawiane są na to, by imponowały tubylcom swemi rozmiarami, niebotycznymi wieżami, lecz na rzeczywistą chwałę Bożą.

Za to niema tu nieporozumień i swarów, nieznane są zaburzenia parafialne, które w północnych stanach, na tle stosunków finansowych powtarzają się sporadycznie.

Większość tutejszych kapłanów, pozostawiając parafianom zupełną swobodę pod względem zarządu funduszami parafialnymi, nie chce z publicznym groszem mieć żadnej styczności, w zamian za co zyskuje spokój.

To jest bodaj najgłówniejszą przyczyną, że zazwyczaj pomiędzy plebanią a kolonistami panuje najzupełniejsza harmonia, oparta na obopólnym zaufaniu.

Skromny dom plebanijny w polskich teksaskich koloniach dostępny jest dla każdego. Jednakiego w nim doznają przyjęcia zarówno ten co niesie grosz na ofiarę, jak i nie mający nic w zanadrzu.

Księża tutejsi otrzymując \$40—50 miesięcznej pensyi, wypłacanej im przez komitet kościelny, za posługi religijne biorą mało, zadawalając się tem, co parafianin z dobrej woli ofiaruje.

Mimo tych skromnych dochodów nie szukają oni po za kościołem żadnych interesów, uważając przyjmowanie udziału w jakichkolwiek przedsiębiorstwach za nieliczące z powołaniem kapłana.

Ponieważ sprawy pieniężne spoczywają w rękach komitetu, przeto ambona służy przede wszystkim do głoszenia słowa bożego.

Mówiono i pisano wielokrotnie o niebezpieczeństwach, na jakie narażony jest podróżujący po Teksasie.

Są to wszystko bajki z tysiąca jednej nocy, powstałe w bujnej wyobraźni domorosłych turystów.

Daleko tu bezpieczniej zagłębiać się można w stepy i lasy, niż w północnych stanach chodzić po ludnych ulicach wielkich miast.

Przez cały czas mego pobytu w Teksas nie natknąłem się na nic nawet podejrzanego, mimo dalekich wycieczek, mimo błądzenia wieczorami po odległych miejskich zakątkach.

Amerykańscy mieszkańcy niektórych powiatów, mający pomiędzy sobą do załatwienia różne zatargi, wiążące się z przeszłością, mordowali się wzajemnie i mordują po dzień dzisiejszy, ale cudzoziemców, nie wchodzących im w drogę pozostawiają w spokoju.

Nieprawdą jest również, jakoby farmer miał prawo strzelać do każdego, ktokolwiek by śmiał wejść na jego terytoryum, bez pozwolenia. Chyba że wtargnąłby taki po za ogrodzenie, okalające zabudowania, a i w tym wypadku, chcący użyć broni musiałby mieć jakieś dowody, dotyczące złych zamiarów przybysza.

Wolno nawet przechodzić przez druczane płoty, okalające grunta farmera w celu polowania, a o ile by tego właściciel nie życzył sobie, winien w widocznych miejscach wywiesić odnośne napisy. Względem przekraczającego podobny zakaz nie wolno używać gwałtu, można tylko swych pretensyj dochodzić sądownie.

Nietylko noszenie przy sobie rewolweru, ale nawet sprzedaż tej broni surowo jest wzbroniona w obrębie stanu Teksas, natomiast każdy może posiadać broń myśliwską, bodajby nawet karabin.

Młodzież polska z okolic San Antonio, trzecie już pokolenie, mając poza sobą dużo doświadczenia i nieco przedsiębiorczości amerykańskiej nosi się z myślą osiedlenia w Meksyku, gdzie ziemie są tańsze, a robotnik za bezcen, zatem z mniejszym udziałem osobistej pracy dorobić się łatwiej.

Za złe nie można brać młodym tych planów. Kto wie czy nie utorowali by oni z czasem nowych dróg dla naszej emigracji.

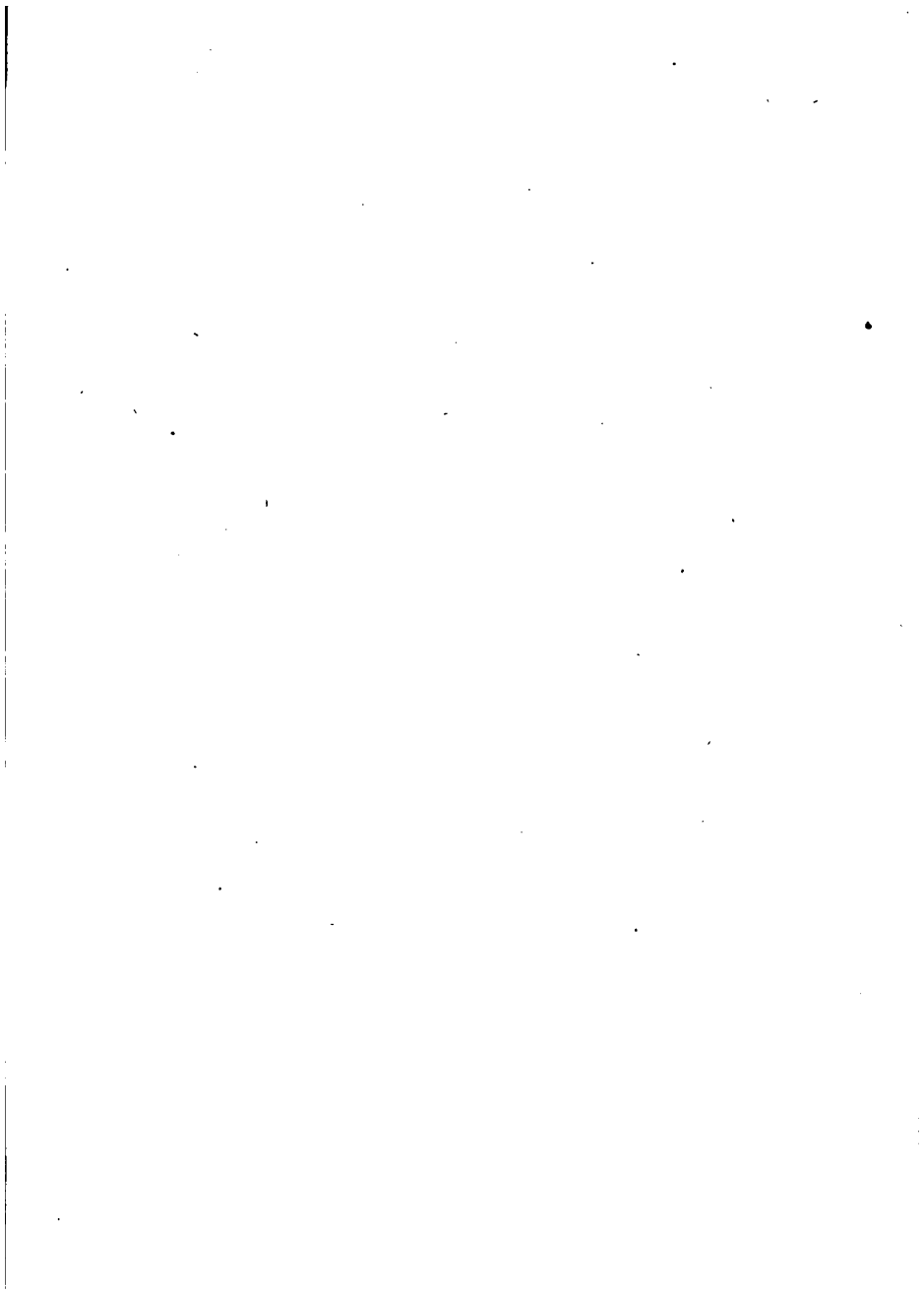
Do spełnienia tej misji doskonale nadawaliby się oni, gdyż ryzykują mało, w każdej okoliczności potrafią sobie dać radę, przyzwyczajeni są do gorącego klimatu, znają nieco język hiszpański, a nadewszystko mieli by bliską pomoc rodziców i krewnych, pozostałych w Teksasie.

Nie chciałbym, by czytający me notatki o Teksasie wywnioskowali, iż staram się ich namawiać do osiedlenia w tym stanie. Moim obowiązkiem jest dać sprawozdanie, każdy zaś powinien się kierować własnym rozumem i upodobaniem.

Kto przywykł do miasta i jego rozrywek, temu spokojne życie na farmie mogło by się wydać nazbyt jednostajnym, zwracam natomiast uwagę nowych przybyszów, tych mianowicie, którzy pracy znaleźć nie mogą, że na farmach teksaskich rąk do pracy potrzeba.

Kto niema nic, znajdzie służbę u farmera. Kogo stać na przeżycie kilku miesięcy dostanie od niego grunt, ziarno na zasiew, żywy inwentarz, i paszę dla niego, wzamian za co odda właścicielowi połowę zbioru bawełny i kukurydzy. Kto ma nieco gotówki, ten może dzierżawić grunt, lub za jego używanie odda $\frac{1}{4}$ część zebranej bawełny i $\frac{1}{3}$ kukurydzy. W obydwóch ostatnich wypadkach ogrodowizna i produkta gospodarstwa domowego należą niepodzielnie do dzierżawcy.

KONIEC.





E 169 .N48

Notatki z podróży po Ponoce]

Stanford University Libraries



3 6105 041 538 286

E169

N48

Stanford University Libraries
Stanford, California

Return this book on or before date due.

MAY - 1 1978

